

K. A. KOWALEWSKA

MAGIE SYLWETKI MARIO

KONTRA
BARDZO ŻLI
LUDZIE



PW2010

PIJANY SKRYBA

K. A. Kowalewska
PIJANY SKRYBA

Oficyna wydawnicza RW2010 Poznań 2011
Redakcja: Joanna Śłużyńska
Korekta: Robert Wieczorek
Redakcja techniczna: zespół RW2010
Copyright © Katarzyna Kowalewska 2014
Okładka Copyright © Maciej Haskeer Kaźmierczak
Copyright © for the Polish edition by RW2010, 2014
Wydanie I

ISBN: 978-83-7949-115-5

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie całości albo fragmentu – z wyjątkiem cytatów w artykułach i recenzjach – możliwe jest tylko za zgodą wydawcy.

Aby powstała ta książka, nie wycięto ani jednego drzewa.

Oficyna wydawnicza RW2010
Dział handlowy: marketing@rw2010.pl
Zapraszamy do naszego serwisu: www.rw2010.pl

PATRONAT MEDIALNY



Dla Miśka, ponieważ zawsze chciałam mu coś dedykować.

Przez żołądek do Obierca

Zanim nauczyłem się pisać, wiedziałem już, w którym miejscu układa się sztuce deserowe i że ostrze noża należy skierować w stronę talerza. Do zupy nie wolno podawać alkoholu, a do ryb pasuje tylko wytrawne białe wino. Ani razu nie miałem ochoty zastosować zasad etykiety przy stole, choć zdarzały się chwile, jak dziś, kiedy powinienem był je sobie wziąć do serca. Za późno się jednak zorientowałem.

– *Bon appétit!* – zachęciła Kinga i umieściła mi przed twarzą talerz rozłożysty jak kapelusz Hanki Bielickiej.

Z naczynia powiało grozą. Gapilo się na mnie pięć par czarnych oczu. To ty jesteś winien naszej śmierci przez zanurzenie w skwierczącym tłuszczu – mówiło spojrzenie różowych robali. Mogłem iść o zakład, że chciały ze mną wyrównać rachunki. Kierunek, jaki wskazywały ich odnóża i wąsy, nie pozostawiał wątpliwości. Nigdy dotąd w konfrontacji z robalem nie odniosłem porażki, ale z tymi stworzeniami nie miałem odwagi się spierać. Tu i tam wychylały się czerwone szczypce, których zadaniem było ucinać wszelkie dyskusje.

– Maciek, wszystko w porządku? Nie smakują ci owoce morza? – spytała Kinga głosem *à la* szlifierka, na który zwróciłem uwagę już na imprezie zapoznawczej, ale wtedy postanowiłem dać jej szansę. Szlifierka szlifierką, ale dziewczyna miała biust jak Mariah Carey. I oczy. Uśmiech też. Przyznaję się, przede wszystkim biust. Ale wyobraźcie sobie sytuację: z głośników leci *I can't live, if living is without you*, a słowiańska Mariah kołysze biodrami i...

– Halo, Ziemia do Maćka!

Szlifierka.

– No co ty! – zełgałem mechanicznie, bo w myślach wciąż ścisnąłem biodra wokalistki. Musiałem jednak puścić, ponieważ oddział marines na talerzu czekał na mój ruch, a szefowa sztabu generalnego traciła powoli cierpliwość. – Owoce morza są super – dodałem dla większej wiarygodności, ale Kinga nie połknęła haczyka.

– Nawet nie spróbowałaś. – Wskazała na komplet sztuców zawiniętych w czystą serwetkę.

– Po prostu podziwiam twoje dzieło. Doskonała kucharska robota. O, proszę, niniejszym zaczynam.

Wziąłem do ręki widelec i podłubałem w rukoli. Pomiedzy liśćmi czekały na mnie dalsze atrakcje. Konkretnie: glutowate spirale z mackami. Przełknąłem ślinę i rozejrzałem się za torebką, jakby co. W zasięgu wzroku nie znalazłem niczego odpowiedniego. Trudno, najwyżej wykorzystam siatkę ze strojem na siłownię. Przed spaniem chodzę na bieżnię, więc wziąłem ze sobą manele. W razie gdyby Mariusz zapytał, co się stało, rozegram to miękko. Spojrzę na wymiociny jak na integralny element koszulki i powiem:

– Dałem z siebie wszystko, aż wypłułem płuca.

– Prosto na koszulkę? Nie lepiej było skoczyć do klopa?

– E tam, łajza, a nie biegacz, kto robi sobie przerwy w trakcie maratonu.

Chyba wyjdę z tego z twarzą, prawda? Okej, obetrę najpierw papierem.

– Z twojej miny można wyczytać co innego – zauważyła Kinga, odgrywając faceta po wypiciu setki, która mu nie weszła.

Zrobiła na mnie wrażenie ta młoda dama w niebieskiej bluzce. Jej mina doskonale obrazowała sytuację, z jakimi przychodziło mi się mierzyć co weekend. Mariah Carey, której nieobce są ludzkie troski. Macieju, Kingo, oto połączył was los. Nie ma sensu walczyć z tym uczuciem. Tylko te owoce morza psuły odbiór na moim radarze zgodności. Ale Mariah śpiewała: *But I guess that's just the way the story goes. Widać tak jednak musi być.* Mariah zna się na rzeczy. Wybiorę najmniejsze żyjątko – zamknę oczy, wstrzymam oddech – i połknę w całości. Czym takie macki mogłyby mi zaszkodzić?

Witajcie z powrotem, koleżanki z głębin – pomyślałem, a Kinga uśmiechnęła się i zachęciła gestem do jedzenia. To mi dodało odwagi. Naprowadziłem widelec na obiekt i zastygłem. Między dwiema pomarańczowymi skorupkami ujrzałem cipki. Poważnie. Klasyczne cipki z ich pofalowaną architekturą, tylko o innej kolorystyce. Żółtawo-bure.

– O, widzę, że jesteś amatorem małży – podchwyciła Kinga, podczas gdy ja szczyrzyłem się do talerza.

– Nie inaczej! Bez małży to danie byłoby jak listonosz bez roweru.

Jestem mistrzem porównań. Ktoś przegapił? Nie szkodzi, znajdzie się jeszcze okazja do wyrażenia podziwu.

– Wcinaj, zanim wystygnie – ponagliła kandydatka na moją drugą połowę pomarańczy.

Rozgarnąłem ostrożnie szczypcę. Robale zmieniły szyk. Większość z nich leżała teraz odnóżami do góry. Poddały się, wyciągnęły kopyta. Wziąłem akt kapitulacji za dobrą monetę i wyłowilem widelcem jedną z cipek. Zafalowała, jak galaretka Gellwe, smak nieokreślony, i wywinęła się z powrotem na talerz. Musiałem działać. Kinga oparła brodę na splecionych dłoniach i zaczynała nabierać podejrzeń. Nie ma sprawy, moja droga, zaraz się przekonasz, jakim to jestem amatorem małży.

Zdecydowanym ruchem wbiłem widelec w losowo wybraną treść talerza. Macki i dwie cipki. Dam radę, choć miałem nadzieję na rukolę. W podobnych sytuacjach przypominam sobie starego kurdupła zapoznanego na wczasach, pana Kazia, który każde zdanie, zamiast kropką, kończył stwierdzeniem: *trzeba lubić, co się ma.* Nawet wtedy, gdy zrzucił z podestu dyrygenta, wskutek czego pożegnał się z etatem w Filharmonii Narodowej. Zdecydował wówczas, że rozpocznie karierę puzonisty w Miejskiej Orkiestrze Dętej w Szydłowcu. A na koniec powiedział: *tak, tak, trzeba lubić, co się ma.* I tyle go widzieliśmy.

Kinga tymczasem, *maître cuisinier*, wyglądała na coraz bardziej zniecierpliwioną. Nie trzeba było mieć dyplomu z psychologii, żeby to zauważyć. Nie przełknęła ani kęsa z własnego talerza. Wytrzeszczała na mnie oczy i czekała.

Nie mogłem przedłużyć tej chwili w nieskończoność, zwłaszcza że Mariah Carey w ułamku sekundy przepoczwarzyła się w Rowana Atkinsona, za którym nie przepadałem. Czułem również, że jeszcze chwila i obleję jakiś test. Dlatego połknąłem na raz to, co miałem na widelcu. Proszę, dokonano się. Mogliśmy zatrzymać stoper. Niech zagrzmia trąby, oto Maciej Borowski przeżył cud jedzenia.

Byłoby cudownie zacząć teraz świętować, lecz niestety zamieniliśmy się rolami. Teraz nie Kinga, a ja wybałuszałem oczy. Zalew Obierecki. Nagle przypomniał mi się ten znajomy aromat mułu i butwiejącego zielska w moim rodzinnym Obiercu. Tkwiący w podświadomości, bo oto stanęło mi przed oczami wspomnienie brunatnego paskudztwa, które dryfowało po tafli wody. Z Piotrkim, kumplem z dzieciństwa, skakaliśmy na dechę z pomostu. On już był w wodzie, ja się rozpędziłem, skoczyłem i siłą uderzenia wbiłem w powietrze wodorost, który wylądował koledze na czole. Chlast! Piotrek dostał z liścia, że tak powiem.

Zakryłem usta dłonią. Złapałem serwetkę i obejrzałem z nadzieją, że można z niej wykombinować worek. Nie można było, za mała. Zasłoniłem się drugą dłonią. Ciekawe, czy zmieszczę w obu całą zawartość żołądka. Zabułgotało mi w brzuchu. Cholera! Spojrzałem w dół i pogratulowałem sobie bezmyślności. Macki. Odnóża. Wąsy. Żołądek zaczął grać nowoczesny jazz. Zwalniał, przyspieszał, gubił rytm, odnajdował, przyłączały się nowe instrumenty.

Drzwi do łazienki – pomyślałem w ostatniej chwili. Na oko osiem długich kroków. Wystrzeliłem z krzesła. Pokonałem odległość w sześciu susach. Usain Bolt. Gdzie to pieprzone światło?! Nie znalazłem. Bryzg! Wizg! Na ścianę chlusnęła bura masa. Przyklęknąłem i wypuściłem głośno powietrze. Otarłem usta rękawem i pewnie zacząłbym się modlić, gdyby nie fakt, że jestem ateistą. Z tapety przy drzwiach do łazienki spływała pomidorowa i dwie ciemnożółte cipki.

Nadbiegła nieświadoma strat gospodyni. Matka Teresa przybyła mi służyć pomocą.

– Maciek, wszystko...? Jasna dupa! Moja tapeta w stylu safari! Ty gadzie! Co ty narobiłeś?!

W tym miejscu skończyły się uprzejmości. Amor wyfrunął przez uchylony lufcik, pokazując tyłek. Nastrój prysł. Kinga odciągnęła mnie od ściany i wywlekła do przedpokoju. Niewiarygodne, dysponowała siłą prasy hydraulicznej. Szlifierka i prasa w jednym. Kobieta-obrabiarka.

– Kinga, ja nie chciałem. Wszystko wytłumaczę – wymamrotałem, zasłaniając twarz ręką. Bałem się. Dla ratowania honoru udałem, że wycieram resztki jedzenia.

– Co wytłumaczysz?! Że na tym polegają twoje arystokratyczne maniery?!

– Jakie maniery? Ty mnie przypadkiem z kimś nie pomyliłaś? Ja Maciek jestem.

Chłopak z Obierca.

– Ach tak?!

– Ach tak. Lubię kolory jesieni i herbatę z imbirem. Naprawdę spoko ze mnie gość.

– Poważnie?! Nie zauważyłam – pomstowała dalej, a ja rozkładałem ręce. Zawahała

się na jeden oddech. – Zabierz tę swoją torbę Adidasa. Ha, ha! Nie było większego nadruku? I nie pokazuj mi się więcej na oczy.

– A pójdziesz ze mną jutro do kina? Będzie ciemno, w ogóle mnie nie dostrzeżesz.

– Wypad – podsumowała i wycelowała palcem w drzwi.

Nie pozostało mi nic innego, jak zabrać torbę i opuścić lokal. Dla ścisłości, logo Adidasa nie było takie duże. Piętnaście na trzydzieści. Bez przesady.

Zlazłem z czwartego piętra kamienicy i ruszyłem przed siebie. Było ciemno, deszcz siąpił, gołąb srał na gzymsie. Zaraz wzbije się w powietrze i narobi mi na głowę.

Zadzwoiłem do Mariusza. Sytuacja kryzysowa. W takich chwilach przyjaciel jest jak gąbka antystresowa. A że nie miałem jej pod ręką, żeby pouciskać, postanowiłem się wyżyć na nim. Z braku laku i kumpla przycisnąć się da. Odebrał po piętnastym dzwonku.

– Cieciu, co ty jej naopowiadałeś? – zapytałem, rezygnując ze wstępu. Uprzejmości wymienimy, gdy znajdzie się ku nim powód. Teraz zdobyłbym się jedynie na mocny uścisk dłoni, ale taki, który naprawdę miażdży kości. Niestety rozmawialiśmy przez telefon.

– O, kłopoty w rajku – odpowiedział i zaczął się śmiać.

Wsadziłem samsunga do kieszeni. Wyciągnąłem gumę Orbit. Odczekałem chwilę, w której Mario uniknął wysłuchania audiobooka pod tytułem „Opierdol”. Przyłożyłem słuchawkę z powrotem do ucha.

– Już? – spróbowałem wrócić do tematu.

– Maciek, ale heca! – wyła ta ściśnięta gnida.

Cieszę się, że rozjaśniłem twój wieczór, ale wróćmy do momentu, gdy odpowiadasz na pytania o laskę, z którą się spotkałem za twoją namową – pomyślałem.

– Nie mów, że zrobiła te owoce morza?! – ryczał.

– Zrobiła, kutafonie. A ja przyjdę zrobić z ciebie owoc jabłoni wyjątkowo kwaśnej odmiany. Nawijaj, bo muszę wiedzieć, o co chodzi. A jak nie wiem, w czym rzecz, to robię się nerwowy i minuty w pleju naliczają się podwójnie.

– Wiesz, powiedziałem jej o twoich szlachetnych dziadkach. Że mają w herbie jakiś obierak.

– Obierec.

Wiedziałem, że przebywa na imprezie i przy takich okazjach zazwyczaj nie pija herbaty, ale najwyraźniej, oprócz wódki, wypił fiolkę serum prawdy i, co gorsza, wielce go bawiło psychiczne znęcanie się nade mną.

– No coś tam. Powiedziałem też, że macie tyle kasy, co gościu od Polszitu.

– Mieliśmy. Moi starzy zostali hippisami i przepuścili wszystko w Afryce. Wiedziałeś o tym, bucu.

– Niby tak, ale jak bym nie podkoloryzował, to numer byłby słaby. Macieju, powinieneś mi dziękować. Reklamę ci zrobiłem. Pomyśl tylko, laska uważa, że jesteś... – przerwał. – Co tam?! No już! Sorry, stary, muszę lecieć, bo mnie kolejka ominie. Wpadaj do nas. Ja pierdzielę... – Rozłączył się.

Miałem do wyboru dwie opcje. Iść tam i spuścić mu łomot. Teoretycznie doskonały

pomysł, jednak Mariusz był trzy razy większy ode mnie. Wiadomo, jak by się to skończyło. Mariusz, przepraszam bardzo, czy byłbyś tak łaskaw, o ile ci to z niczym nie koliduje, i roztrzaskał moją twarz o własną pięść? Co ty na to, zainteresowany? Może jednak innym razem.

Z drugiej strony zarzygałem Kindze ścianę i miałem z tego powodu wyrzuty sumienia. Fajnie jest pozostawić po sobie ślad, ale lepiej, żeby wyrył się w sercu niż na tapecie w cętki. Kazik może się cieszyć z dyrygowania w Szydłowcu, ale mnie zadowoli dopiero orkiestra Opery Paryskiej. Taka jak tam, na czwartym piętrze. Niech ona przejmie batutę. Wracam! Przeprogramowałem GPS w głowie. Jako cel podróży wpisałem adres Kingi i zrobiłem w tył zwrot.

Super Mario

Nim się obejrzałem, doszedłem do Targowej. Deszcz chlusnął niczym z wiadra, by zepsuć mi fryzurę oraz zmoczyć bluzę, po czym przestał padać tak samo nagle, jak się pojawił. Przyjrzałem się temu zmokłemu chartowi, co udawał mastiffa, czyli sobie, i wyjąłem na próbę róg bluzy. Nie stała się ani odrobinę mniej mokra. Licha ze mnie wirówka. Z braku innych opcji winiłem za to Mario.

Zabluźniłem dwukrotnie, może dwudziestokrotnie. Pomachałem na pożegnanie Targowej, szerokiej praskiej arterii, na której nietutejsze dziewczyny mocniej ściskają torebki, a mężczyźni żałują, że bez blizny na twarzy gorzej wtapiają się w tło. Zawróciłem. Hej, pójdę do dziewczyny, pójdę do jedynej, bo uznała mnie za pajaca bez manier. Udowodnię jej, że nie miała racji. Pod warunkiem, że najpierw przestąpię jej próg. Piętnaście minut temu przekraczałem tenże, tylko w odwrotnym kierunku. Przy odrobinie szczęścia i kapce kreatywności uda mi się ten manewr powtórzyć. I to tak, że zakończy się happy endem.

Pomyślałem: co by zrobił Scottie Pippen, najlepszy niski wysoki skrzydłowy?

– Po pierwsze, kichałbym na klapniętą fryzurę i bluzę przemokłą od deszczu – odpowiedział mój wymaginowany przyjaciel.

Przybiliśmy pełną zrozumienia piątkę.

– Ale, Scottie, ty jesteś królem NBA, tobie kiepska fryzura ani nasiąknięta bluza nie mogą popsuć renomy, a mnie owszem. Spójrz tylko, jestem chudy, wręcz patyk. Moja fizis nie budzi szacunku.

– Matt, nic na to nie poradzę. Nie ja dostałem przydomek Magic, więc cudów nie czynię. Jestem tylko twoim wymyślonym kumplem. Pogadaj z tym prawdziwym.

Tak zrobiłem przed randką. Spytałem o radę Mariusza.

– Nałóż kilka warstw ciuchów – polecił don Mario, który zastępował mi ojca, ojca chrzestnego. Roztoczył nade mną parasol ochronny z pięści i szerokich pleców.

Nasza przyjaźń była wyjątkowa, dynamiczna, zmierzająca ze skrajności w skrajność. Raz kradliśmy konie, raz odmawiałem ostatni pacierz, mimo że wszystkich zapomniałem.

Poznałem Mariusza na siłowni, na którą przyszedłem pobiegać w rytm muzyki klubowej. Na co dzień nią gardziłem, ale tu nie miałem nic do gadania, nie ja decydowałem o ścieżce dźwiękowej. Poprosiłem chłopaka z obsługi, żeby ściszył, a on to uczynił. Ze strefy sztangi dał się słyszeć pomruk. Przyjąłem to za dobrą monetę. Znaczy, że sztangista też dawno chciał ściszyć, ale wstydził się lub nie mógł o to poprosić.

Odpaliłem bieżnię i zacząłem standardowy maraton. Z nudów wsłuchiwałem się w odgłosy dyskotekowej muzyki. Marsz rozgrzewkowy mnie znudził, więc przyspieszyłem. Zsynchronizowałem bieg z przyciszoną muzyką i mogłem się uznać za integralny element siłowni, gotowy osiągnąć swój joggingowy zen. Uderzenia butów w taśmę bieżni

zagłuszyły dźwięki z głośników. Bardzo dobrze, klasyka to to nie była, mała strata. Zrozumiałem jednak, że była to strata dla sztangisty.

Za późno. Dopiero po chwili zorientowałem się, że coś się zmieniło. Wyteżyłem umysł, by ustalić, co. Sapanie na ławce ucichło, a raczej się przeniosło. Ciężki wdech, głośny wydech. Słyszałem je teraz przy uchu. Odwróciłem głowę i pierwsze, co zrobiłem, to straciłem równowagę, a taśma pociągnęła mnie na ziemię.

Rąbnąłem tyłkiem na linoleum, wylądowałem na wznak i uzyskałem dobry widok na dwumetrowego bizona z drutem kolczastym na jednym ramieniu i węzłem boa na drugim. Maciek leży, któż pobieży? Wolałbym, żeby to jednak nie pobieżył on. Niestety stał nade mną i świecił okrągłą łysą czaszką. W ustach prezentował poczwórny garnitur zębów. Wytrzeszczone, bezrzęse oczy rozdzielał nos, wprasowany w owal prawdopodobnie w wyniku stoczonych walk.

Przypomniał mi się film z młodości. Dwóch hydraulików ratowało świat przed zagładą, a przy okazji seksowną panią archeolog *vel* córkę prawowitego króla krainy z innego wymiaru. Ścigał ich wielki, kwadratowy, napakowany bezmózg z małym, okrągłym, gadzim łepkiem. Długi płaszcz, kiepskie teksty i argumenty wyrażane za pomocą pięści.

– *Super Mario Brothers!* – przypomniałem sobie. Niestety na głos.

– Cooo?! – zagrzmiała góra mięsa, wyciągnęła rękę i podniosła mnie za koszulkę.

Strzepnąłem niewidzialny kurz, udając zrelaksowanego w jego wilgotnym uścisku. W środku trząsałem się jak ratlerek na mrozie. Ile zostało mi czasu? Czy to ostatnia wizyta w fitnessie? Na tym łąz padole? Sala zaczęła pustoszeć.

Taśma bieżni przesuwiała się dalej w jednostajnym rytmie. Głośniki pod sufitem wibrowały klubową rąbanką. Oto ścieżka dźwiękowa ostatnich minut Macieja Borowskiego – serdecznego przyjaciela zwierząt, który starszym sąsiadom nie odmawiał pomocy Kto żyje w sercu tych, którzy pozostają, nie umiera. Niech spoczywa w pokoju. Kompakty swe przekazują małej Andżelice spod piątki, dracena niech się zaopiekuje pani Wanda.

Sztangista nie pozwolił mi dokończyć testamentu, gdyż wolną ręką uderzył w panel bieżni. Taśma stanęła, sprzęt ucichł. Puścił mnie i trzepnął w ramię. Potrząsnął, sprawdzając, czy nie upadnę. Zachwiałem się, lecz zaraz znów poczułem jego uścisk. Zbliżył się o pół kroku. Strzelił powieką jak żaba i utkwiał we mnie gały. Uznałem, że powinienem coś powiedzieć.

– Wyglądasz jak z *Super Mario*. Wiesz, taki film z lat dziewięćdziesiątych – zagrałem *va banque*.

– Żartowniś, w mordę jeża! – odparł bezrzęsy i zwinął palce w pięść. Dłoń, którą wcześniej uderzył w panel, wyglądała na nienaruszoną. Przeciwnie niż urządzenie.

Przybiegł pracownik siłowni. Chudy, drewniany w ruchach chłopiec, podobny do mnie z figury, lecz bardziej mroczny, z czarną grzywką na pół twarzy i gorszą koordynacją ruchową. Podszedł i zaczął ostrożnie odginać palce bizona. Jeden po drugim, jakby były z plasteliny. Uwolniły koszulkę, a ja odetchnąłem pełną piersią. Chłopak z obsługi chyba

zapytał, co jest, ale tak cicho, że ledwie usłyszałem.

– Mario – powiedział po chwili. Tego byłem pewien. Imię, choć wymówione szeptem, zadudniło mi w głowie jak dzwon.

Oj, narozrabiałem. Wykrztusiłem o trzy słowa za dużo. Najwyraźniej nie ja pierwszy skojarzyłem sztangistę z filmem. Gdybym wiedział, że dostanę od życia jeszcze jedną szansę, obiecałbym poprawę, jednak przewracający gałami Mario nie wyglądał na dobrego samarytanina. Wyglądał na faceta masującego pięść, eks-koleżankę panelu od bieżni. Wstrzymałem oddech i naszykowałem kolana, żeby w razie czego uskoczyć, ale nie zainkasowałem żadnego ciosu. Bizon obrócił się do chłopca z drewna i wycedził zadziwiająco niskim głosem o harmonijnej barwie:

– Ten patyk śmiał się z mojej ksywy.

Miałem rację, prawidłowo zinterpretowałem problem. Tylko dlaczego w tej chwili nie triumfowałem?

– Skąd... miał... wiedzieć? – wycedził tamten. – On jest dla ciebie za cienki... ten patyczak. A ty jesteś... – zaciął się, poczerwieniał. Czy ktoś na sali potrafi udzielić pierwszej pomocy?

Drewniany dokończył bez słów, kładąc dłonie na wysokości własnego serca. Co to znaczy? Że bizon jest serdeczny? Dusza człowiek? Kuba Rozpruwacz?

– Aha – podsumował tamten, odgadując gest. Ja nie zostałem wtajemniczony.

– Jeśli mogę coś wtrącić – odezwałem się, uspokoivszy tętno – wcale nie jestem taki słaby, na jakiego wyglądam.

Lubię ryzyko. Bez niego byłbym nudnym wielbicielem prozy Dostojewskiego i spacerów po podmokłych rozłogach, a właśnie dostałem szansę poswawolić.

Bizon spojrział bezzęsyymi gałami na chłopaka z obsługi, który ukrywał twarz pod woalem z czarnej grzywki i zaczął rechotać tak, że nie miałem możliwości dokończyć wyjaśnień. Gdybym poszedł teraz wziąć prysznic, zmienić buty, nakarmić kota, wysadzić w powietrze Kapitol, cokolwiek, on nadal by rechotał jak żaba po haszyszu. Jestem pewien.

– Poważnie – nie dawałem za wygraną. Bizon także. – Niech szanowny kolega zmierzy się ze mną na bieżni. Jeśli odpadnie pierwszy, uznamy konflikt za niebyły i zawrzemy przymierze. Wszak zgoda buduje, a niezgoda rujnuje, a widzę jak na dłoni, że towarzyszu Mario... Czy mogę się tak do pana zwracać? Widzę, że towarzyszu z tych budujących raczej się wywodzi.

Grzywka jęknął, czyli wydał dźwięk stanowiący wizytówkę swojego wizerunku. Niejeden raz miałem się później przekonać, że odgadywaniem natury człowieka nie powinienem zajmować się zawodowo, bowiem rzadko trafiałem. Jednak w tym przypadku bezbłędnie rozpracowałem Sylwestra, bo takie imię nosił ów drewniany chłopiec. Odzywał się niewiele i jeśli już, to z trudem. Wolał trwać we własnym odosobnieniu, skryty pod czarną płachtą włosów. Przeczesał je na bok, odsłaniając jedno z wilgotnych od łez oczu. Posiadał i drugie w pełni sprawne oko. Mogę zaświadczyć, bom je widział

w użyciu, ale to ani czas, ani miejsce, żeby rozprawić na ten temat.

Bizon przeciwnie, niczego nie skrywał, świecił łysą czaszką, przewracał gałkami i jakby stopniowo odzyskiwał przytomność.

– A w dupę – stwierdził wreszcie. – Czemu nie.

Wgramolił się na bieżnię, pokręcił kostkami u stóp na rozgrzewkę i wrzucił szybki bieg. Zrobiłem dokładnie to samo, tylko o jedną bieżnię dalej. Ta, która nas dzieliła, była czasowo niedostępna.

Wspominałem wcześniej, że jogging uprawiam codziennie. Zapomniałem dodać, że biegam po dziesięć kilometrów. I to od lat. Zazwyczaj po Lesie Kabackim, ale wtedy, gdy się poznaliśmy z Mariuszem, zima trwała w najlepsze, a ja miałem słabą odporność. Dlatego na kilka miesięcy przerzuciłem się na siłownię. Ta była pierwsza z brzegu.

Biegliśmy może dziesięć minut, a łysy już tracił oddech. Gdybym powiedział, że zrobił się czerwony na twarzy, byłoby to poważnym niedoszacowaniem. Cała jego czacha, nawet za uszami i na czubku nosa, wyglądała jak dojrziała malina. Z czoła kapał mu pot, spływał właściwie strugami. Nawet drut na ramieniu i boa dusiciel wydawali się tracić kontury. Bizon zaczął sapać niczym lokomotywa i efektownie gubić krok. Ale złej baletnicy to i rąbek u spódnicy przeszkadza, więc nie komentował sytuacji. Biegł dalej, starając się wyglądać jak zawodowiec. Ziewając, przyspieszyłem licznik. Wydłużyłem krok i zacząłem biec sprężysto, lekko jak w stanie nieważkości. Bezrzęsy łypnął na mnie i złapał się uchwytów.

Niektórzy myślą, że uchwyty z przodu bieżni służą do podtrzymywania biegacza, który się zawziął, że nie spadnie. W rzeczywistości mierzy się za ich pomocą tętno. Zapуściłem żurawia na wyświetlacz bizona. Sto sześćdziesiąt siedem. Nieźle. To już kwestia czasu, kiedy wyzionie ducha. Docisnąłem licznik i tak spędziliśmy kilka kolejnych minut. Łysy utrzymywał się na skraju bieżni, nie dosięgając już panelu. Nie mógł nacisnąć guzika, żeby dotrzymać mi kroku.

Zanuciłem coś pod nosem dla podkreślenia efektu lekkości. Bizon nie wyglądał jakby chciał podchwycić melodię. W końcu poprosiłem tego z obsługi, żeby przykręcił klimatyzację.

– Ździebko tu chłodno – wyjaśniłem z uśmiechem.

Mój rywal był innego zdania. Puścił uchwyty, zabalgotał niby silnik junaka i odwrócił czerwony łeb w moją stronę. Przy takiej prędkości i takim zmęczeniu należy się skupiać na nogach, ale czy ma sens tłumaczyć rogaciźnie, jak używać kopyt? Zaplątał się i dokonał tego, co ja paręnaście chwil temu. Runął na glebę. Łup!

Biegłem nadal, obserwując kątem oka, jak Grzywka schylił się nad poległym i zaczął mu udzielać pierwszej pomocy. Łysy go odtrącił, podniósł się z podłogi, zatoczył, oparł o bieżnię, która tak bezwzględnie go potraktowała i ostatkiem sił wymierzył cios panelowi. Sprzęt do biegania nie cieszył się dziś jego estymą. Obijając się o ściany, dotarł do szatni i zniknął za drzwiami. A na zachodzie, czyli u mnie, bez zmian.

Wyszedł, już przebrany, ale wciąż z bordową twarzą, po jakichś piętnastu minutach.

Przycisnąłem guzik przyspieszenia i pomachałem, mówiąc:

– To co, jutro powtórka?

Bizon, choć wyglądał jak brat bliźniak stwora z filmu i choć nasze pierwsze *tête-à-tête* nie wróżyło dozgonnej miłości, okazał się wspaniałym przyjacielem. Sylwester, wielbiciel muzyki emo, a prywatnie brat Bizona, nie pomylił się, tytułując go duszą-człowiekiem. W piersi Mariusza biło gołębie serce, a wytatuowane łapska unikały przemocy, o ile nie prosiłem, by ją zastosował. Super Mario, jego ksywa pochodząca z filmu stała się naszym prywatnym żartem, chyba że ktoś postronny pozwolił sobie na głośny komentarz. Wtedy odwracałem głowę, znajdowałem sobie inne zajęcie, a kwestia przezwiska stawała się problemem kogoś innego. Poważnym problemem, którego rozwiązanie wymagało użycia radykalnych środków.

Mariusz nie odżegnywał się jednak od swojego miana. W ramach prowokacji kupił sobie wojskowy szynel po kostki, ciemnozielony, zaopatrzony w szereg kieszeni, który zakładał tylko na specjalne okazje. Na przykład założył go na rozmowę o pracę w call center, wywołując w dziale HR spore zamieszanie. Część komisji rekrutacyjnej bała się go, bo zakapior, inni się wahali, bo tolerancyjni – aż dali chłopakowi tekst do przeczytania.

Nie dokończył pierwszego akapitu, a komisja wbiła pieczęć „przyjęty”, ponieważ – jak wspominałem – mój przyjaciel posiadał zachwycający radiowy głos. Managerowie call center stwierdzili, że skoro Mariusza nie widać, poziomowi sprzedaży nie grozi spadek. Tak Super Mario został sprzedawcą polis i kredytów, często angażowanym do negocjacji z klientem zagranicznym. Elegancki głos i angielski akcent, zdobyty podczas pracy na budowie w Anglii, gwarantowały mu wysoki procent sprzedaży. Realizował się jako agent i częsty pracownik miesiąca, a w chwilach wolnych od pracy jako mój najlepszy kumpel i dorywczo ochroniarz. Nasza przyjaźń jest jedna na milion.

Koneser

Ach, te wspomnienia. Jak wspaniale potrafią umilić spacer po wilgotnej Ząbkowskiej. Tam, gdzie co druga latarnia gaśnie w obawie, że zdradzi przechodniowi jakieś sekrety. Brzeska, Markowska, malownicze przecznice, nawoływały: spocznij, wędrowcze, w moim cieniu. Miło cię gościć. Przyjaciele z okolicy dostarczą rozrywek, jakich świat nie widział. Nie uciekaj! Nie ma powodu do paniki!

Zarzuciłem torbę na ramię, ręce wsunąłem do kieszeni spodni, udając, że coś w nich trzymam, w sensie broń, choć w rzeczywistości trzymałem tylko komórkę. Szedłem, rozglądając się uważnie wokół. Podziwiałem spowite mrokiem kamienice. Tu zabite dyktą okno, tam pozieleniała brama. Zaciek goni grzyb, szara plama otula łupież tynku. Niebieska Madonna strzeże fasady poznaczonej dziurami po kulach. Kocie łby to tu, to tam, drzwi zamknięte na skobel. Kot myje się w cieniu klatki schodowej, pielęgnuje czarne futerko. Przy misce leży martwy szczur.

Pomyślałem o Kindze, o jej kibici smukłej, i odgrodziłem się od ponurego otoczenia. Byłem już o dziesięć kroków od jej drzwi, układając w głowie pojednawczy scenariusz rozmowy, kiedy nagle dostrzegłem dwóch facetów, którzy opierali się o mur z napisem *Łysy nadchodzi*. Obaj mieli ogolone głowy, nie wiedziałem więc, który z nich jest właściwym Łysym, czy już nadszedł i czy oznacza to dobre wieści.

Za późno się zorientowałem i nie miałem możliwości ich wyminąć, więc nasze ścieżki się przecięły. Ten z lewej był wyższy ode mnie o głowę i grubszy o kilka worków kartofli. Dumnie prezentował kurtkę z brązowych skórzanych łątek i czarne, kreszowe spodnie z kolorowymi wstawkami przy kostce. Pewnie nowe, choć niekoniecznie kupione. Spomiędzy spodni i kurtki wystawał owłosiony pępek. W ręku grubas trzymał butelkę Żywiec Zdrój. Płyn w środku miał dziwnie mętny wygląd, więc byłem pewien, że to nie woda. Bimber? Zaciągnął się śmierzącym papierosem. Aż tu go poczułem. Drugą fajkę zatknął za prawym uchem, trzecią za lewym. Co chwila je poprawiał. Oddychał świszcząco i raz po raz odchrząkiwał.

Drugi facet był niższy od kumpla i ode mnie, ale za to mocniej zbudowany. Jego postawa mówiła, że on tu rządzi, szefuje koledze, trzęsie okolicą i nie wiadomo, jaki interes prowadzi. Wolałem nie pytać. Pod srebrnym, matowym dressem nosił gruby, czarny golf. Z kieszeni wystawały rękawice piłkarskie. Na nogach miał czarne mokasyny. Nocny bramkarz elegant, gatunek na wymarciu. Wyrwał koledze butelkę z dłoni i pociągnął solidny łyk.

Próbowałem przejść koło nich jak gdyby nigdy nic. Na pewniaka, prężnym krokiem. Gdy już myślałem, że się obędzie bez rozmowy, Łatka zarzęził i zabrał głos:

– Ziomal, masz fajkę?

Wiedziałem, że to zwiastuje kłopoty. Ten facet był przecież chodzącym dystrybutorem

tytoniu, więc jego pytanie musiało mieć inny cel.

– Nie, nie palę – odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

– Kto pije i pali, ten nie ma robali – zauważył, na zmianę rechocząc i charcząc.

Co do robali w organizmie Łatki, miałem pewność, że mu nie grożą. Wszystkie wytruł. Na jego miejscu przejąłbym się inną jednostką chorobową. Zacząłbym od płuc.

– No to mamy problem – odezwał się niski, wciskając kumpłowi butelkę z mętną wodą.

Jednocześnie zredukował odległość względem mnie i przyjął postawę, którą na kursach asertywności określa się jako agresywną. Wiedziałem, co to oznacza, lecz nie zamierzałem się poddawać. Jeśli myślał, że grzecznie pokażę, co mam, że wyciągnę portfel, telefon i każę wybierać, wskażę miejsce, gdzie najlepiej wbijać nóż i kopać, był w błędzie.

Przypomniała mi się rada Mariusza. Nie zachęcał może do zachowania asertywnego, ale do niespodziewanego – owszem. A widząc tych dwóch, stwierdziłem, że najlepszą obroną może być zaskoczenie, bo – bez urazy – ale nie wyglądali na takich, którzy złapią w lot, o co chodzi.

– Jeśli nie chcesz za mocno oberwać, udaj trupa. Zrób zdechł pies – poradził Mariusz podczas jedynej lekcji samoobrony, jakiej mi udzielił.

Zaprotestowałem, bo poddawanie się bez walki uważam za rzecz niehonorową.

– Poza tym, Mariusz – powiedziałem – ty nie posłużyłbyś się taką techniką.

– Ja nie – odparł. – Ale spójrz na siebie, stary. Wierz mi, to działa. Nie wiem dlaczego, po prostu działa.

Też nie wiedziałem, lecz oto nadarzyła się okazja, aby sprawdzić. Nie robiłem sobie jednak złudzeń, to niejedyna wskazówka Mariusza, która przyniosła marny skutek.

Oddech Łysego wpadł mi w nozdrza. Skrzywiłem się, bo śmierdział wódką. Zrób to teraz albo będzie za późno – pomyślałem, zamknąłem oczy i runąłem jak worek z węglem. Upozowałem swoje ciało w niebanalny wzór. Nogi ułożyłem w taki sposób, że przypominałem zatrzymanego w kadrze biegacza. Prawą rękę wysunąłem, jakbym wisiał na krzyżu, lewą dłoń kurczowo zacisnąłem na uchwycie sportowej torby. Tej, której logo nie przypadło Kindze do gustu.

– Co jest?! – usłyszałem głos niskiego. – Człeniu! – Poczułem na żebrach jego kopniak.

Napiąłem wszystkie mięśnie, szykując się na jeszcze, ale na tym skończył się nasz kontakt fizyczny w wersji „ja cię kopię, a ty śpisz”. Podkurczyłem nogi, żeby jakoś odreagować ból, z nadzieją, że tego nie zauważą.

Jeden z łysych, sądząc po smrodzie potu i nikotyny – Łatka, ukucnął obok mnie. Wysapał ciężkie: *uch* i zabrał się do przeglądu kieszeni. Zakląłem w duchu, bo w lewej tylnej trzymałem portfel. Poczułem, jak przesuwa palcami po moim pośladku i podejrzenie długo trzyma na nim dłoń. Ta kieszeń akurat była pusta. Znowu sapnął. Wstrzymałem oddech, obawiając się tego, co może mnie czekać oprócz kradzieży. Wreszcie przesunął rękę, wymacał portfel, wyciągnął go i wstał z klęczek. Jest szansa, że się uchowam. Może już więcej nie ukucnie i nie sprawdzi, że z przodu mam telefon. I nie tylko telefon, do diabła! Usłyszałem rozrywanie rzepa i odgłos plastikowych kart lądujących na chodniku.

– Ta nie. Ta też. Nie, nie, nie. O! – Zagwizdał, przeglądając pełen pakiet moich danych osobowych, kart kredytowych i zniżek między innymi do Peek & Cloppenburg. – Pitbull, zobacz to. – Założyłem, że pokazał kumplowi, o co chodzi.

Pitbull to musiał być ten drugi. Określenie pasowało do króla rewiru. Przedmiotem, na który gruby zwrócił uwagę, był zapewne mój as z rękawa trzymany w portfelu. Chętnie wyjaśniłbym, co mam na myśli, ale musiałem się skupić na udawaniu trupa, na prowadzeniu mojego pojazdu, o ile wciąż miał zmierzać równą drogą, a nie zsunąć się ze skarpy w dół, do piekielnej otchłani.

Pitbull warknął, czemu towarzyszył tępy plask.

– Nie używaj przy nim mojej ksywy, idioto!

Śmieszny facet. Chciał pozować na obytego zbira. W dodatku cieszącego się poważaniem kolegów, którzy wykonują za niego całą zbójcecką robotę. Gdyby doszło do zdemaskowania, zapewne utrzymywałby, że w ogóle nie maczał w tym palców. Nawet jednej plastikowej karty przecież nie dotknął. To gruby zbierał fanty. Tylko o jakim zdemaskowaniu mówimy? Że znam jego przezwisko? A niby co miałbym zrobić z taką informacją? Popytać na Ząbkowskiej, czy nie znają faceta rasy agresywnej? Bo do budy mi potrzebny? Dom stawiam i pies do pilnowania by się przydał?

– Co tam pisze? – zainteresował się niski. Polonista.

– Ciemno. Nie widzę – odpowiedział gruby, po czym szurnął niezdarnie, zahaczając o moją prawą stopę.

Myślałem, że ją zdepcze dla przykładu, lecz nie zrobił tego. Pewnie się bał podejmować działania na własną rękę, bez porozumienia z szefem.

– Człeni, podejdź do latarni – polecił mu tamten.

Wydawał rozkazy, nie kiwając nawet palcem. Świetna strategia. Gdy będę chciał kogoś obrobić, wezmę kumpla, żeby załatwił za mnie sprawę. Mario już pewnie zaciera ręce.

– Ale ona jest daleko – zauważył niepewnie grubas.

Typ jowialnego koleżki, z inteligencją na bakier, zrobił się nagle poważny i chyba przestraszony, ale raczej nie ja tak na niego działałem.

– Boisz się, że ktoś cię po drodze napadnie? To my tu napadamy, idioto – zauważył niski.

Na chodniku szurnęło, ciężkie ciało uskoczyło i sądząc po jękach, z trudem odzyskało równowagę, więc uznałem, że Łatka uniknął kolejnego uderzenia w głowę. Potem rozległy się kroki. Stopy ciągnięte po chodniku wydawały odgłosy jakby nasze towarzystwo opuszczał nie człowiek, lecz słoń morski. Odchodził coraz dalej i dalej. Razem z nim oddalił się smród papierosów.

Niski został przy mnie. Słyszałem, jak przestępuje z nogi na nogę, stukając podkutymi blachą mokasynami. Z pozoru delikatne buty, a mogły czynić poważne szkody. Miałem się o tym przekonać niebawem. Czas dłużył mi się jak podczas oglądania z dziewczyną *Chirurgów*. Było zimno i mokro. Połową pleców przykrywałem kałużę, która się zebrała w załamaniu płyty chodnikowej. Czuję to załamanie pod prawą łopatką, ale nie mogłem

zmienić pozycji w obawie przed zdemaskowaniem.

Niski kucnął przy mnie i zaczął przeglądać torbę. Wymacał na spodzie pęk kluczy, jednak nie słyszałem, żeby je wyciągnął. Nic dziwnego, w środku znajdowały się fanty o wiele ciekawsze dla takiego sportowca jak on.

– O, zajebiste adidas! Zobacz, łajzo! – zawołał do Łatki, którego kroki powoli się do nas zbliżały.

– Bierzemy? – stwierdził tamten. Ocenilem, że znajduje się parę metrów od nas. Podszedł bliżej. – Mój numer, przydadzą się. Moje są takie dziurawe, że wyglądają jak głodne.

Cieszyłem się, że mam zamknięte oczy i nie muszę patrzeć, jak grubas wystawia brudne paluchy przez otwory w butach. Poczułem za to swąd dojrzałego sera i kwaśnego potu. Skrzywiłem się, ale nie zauważyli, zajęci kartką, którą tłuścioch znalazł u mnie w portfelu.

– Co tam napisali? – zainteresował się niski.

– Stary, to jakiś trefny gość – odrzekł grubas. – Piszą tu, że ma cukrzycę i żeby go odwieźć do szpitala. – Zaśmiał się. – Chyba żart. Że niby idziemy do lekarza i mówimy, że facet padł, więc skorzystaliśmy z okazji i go obrobiliśmy? A przypadkiem wyszło, że choruje na cukrzycę.

Odpowiedziała mu cisza. Nie byłem pewien, czy powinienem ją interpretować na swoją korzyść.

– Hej, co z nim zrobimy? – zapytał niepewnie spaślak.

– Lepiej go zostawmy – zdecydował niski.

To wszystko, co powiedział. Nie ukrywam, że mnie ten scenariusz odpowiadał. Miałem szansę uratować skórę. Co do reszty, to po prostu kilka dodatkowych spraw do załatwienia w urzędach.

– I tak nie mamy go czym zawieźć – zauważył Łatka.

Zaczynałem mu współczuć. Z uporem maniaka robił z siebie kretyna i zbierał kolejne cięgi od szefa. Nie zdziwiłem się, usłyszawszy charakterystyczny plask – efekt spotkania jego łysej głowy z dłonią niskiego, doskonale wyćwiczonego w piłkarskiej bramce.

– Matole, chyba nie myślałeś poważnie o tym szpitalu? – spytał niski retorycznie, a ja miałem nadzieję, że nie padnie odpowiedź.

Nie padła. Widać grubas w jakimś stopniu potrafił wyciągać naukę z reakcji na swoje zachowanie. Zauważył wręcz przytomnie:

– Tylko nie możemy go zostawić w tym miejscu. Teraz nikt nie idzie, ale już przestało padać. Ludzie zaczną się złościć i wtykać nos w nie swoje sprawy.

– Racja, człenu – zgodził się niski, choć był ostatnią osobą, jaką podejrzewałbym o przytakiwanie komukolwiek w jakiegokolwiek sprawie. – Zaciągnijmy go pod Konesera.

Tłuścioch ujął mnie pod pachy i przeciągnął parę metrów pod ogrodzenie historycznej wytwórni wódki. Wstrzymywałem oddech, żeby nie czuć smrodu. Niski szedł przed Łatką, więc mogłem uchylić powieki i zobaczyć, że ciągną mnie do cienia parkanu, i stwierdzić, że zbieram po drodze kępy mchu, a kamienie wsuwają mi się do tylnych kieszeni. Błoto

rozcieńczone w kałużach oraz twardsze grudy, które oparły się działaniu kwaśnego deszczu, niszczyły mi odzież i przenikały przez skórę do krwiobiegu. Natnijcie naskórek w dowolnym miejscu, a z rany wypłynie brunatna maź – pomyślałem.

Grubas upuścił moje sfigowane zwłoki pod ogrodzeniem i na odchodne postanowił zabrać torbę. Ja na to, jako praktykujący nieboszczyk, odpowiedziałem objawem pośmiertnego skurczu, o którym wyczytałem kiedyś w Wikipedii. Stwierdziłem, że idealnie nadaje się do moich potrzeb. Zacisnąłem dłoń na uchwycie z nadzieją, że uda mi się uratować dobytek. Przy odrobinie szczęścia wrócę stąd z workiem, pękiem kluczy ukrytym gdzieś w zakamarkach podszewki i szczęśliwymi spodenkami.

– O mamó! – zawyłem. Na szczęście uczyniłem to w duchu.

Niski wyeliminował objaw skurczu pośmiertnego, serwując mojej łapie porcję mokasy na cienkiej podeszwie, ale za to z ostrym nadzieniem. Dłoń, sprzeciwiając się mojej woli, zwiotczała. Grubas podniósł torbę i dokończył przegląd zawartości.

– Czego jeszcze szukasz? – Pitbull zignorował moje nieme jęki. Jemu, widać, też zależało, żeby się stąd jak najszybciej wynieść.

– Tak patrzę.

– To skończ. Ktoś idzie od Targowej.

– Ale te spodenki! – nie odpuszczał gruby, szeleszcząc siatką ze strojem na siłownię. Moja łapa, korzystając z okazji, zaczęła pulsować.

– Wbijesz się w nie? – Niski zarechotał nerwowo. – Dobra, weź. Opchniemy na bazarze. I nie zapomnij o adidasach.

Usłyszałem, jak rzuca czymś w kolegę. Tamten stęknął i posłusznie wepchnął buty do siatki.

– Wyjeb torbę. Badziew jakiś. Pełno dziur – zarządził niski.

Uchyliłem powiekę. Stali do mnie bokiem, więc mogłem obserwować, jak tłuścioch bierze zamach i rzuca torbę w stronę, w którą nie mogłem obrócić głowy. Nasłuchiwałem, gdzie polecą, żeby ją później znaleźć, ale zamiast pacnięcia, które wskazałoby orientacyjny kierunek, usłyszałem:

– A chuj, niech wisi.

Potem się odwrócili i ruszyli w nieznanym kierunku.

– Gdzie idziemy? – zapytał gruby, gdy odprowadzałem ich plecy wzrokiem.

– Ile miał w portfelu?

– Trzy dychy.

– Na kebab, człeniu, i na kolkę. Stać nas. – Zarechotał, ja zaś poczułem ból i głód.

Niewiele dzisiaj zjadłem, a to, co poskubałem u Kingi, wylądowało na ścianie w jej przedpokoju. Głód był konsekwencją sytuacji, w jakiej się znalazłem. Teraz jednak miałem pilniejsze sprawy na głowie. Zaryzykowałem zmianę pozycji, ale dopiero wtedy, gdy dookoła zrobiło się cicho. Na ulicy byłem tylko ja. Człowiek, który szedł od Targowej, najwyraźniej skręcił. Ulżyło mi, ubranie i rozkwaszony pomidor zamiast dłoni odbierały mi status anonimowego przechodnia. Przyciągałem uwagę jak mysz w klatce z węzami,

a wolałem pozostać incognito. Miałem w planach wdrapanie się na parkan Konesera, z którego zwisała torba Adidasa. Nie chodziło o żadne emocjonalne więzi, po prostu w środku znajdowały się klucze, a z nimi wejście do domu jest znacznie łatwiejsze niż bez. Nie marzyłem o niczym innym, jak wziąć prysznic i przespać resztę nocy we własnym łóżku.

Wstałem, zignorowałem swój wygląd i złapałem zdrową ręką za sztachetę. Wspiąłem się na murek i napotkałem dylemat. Oto torba znajdowała się w zasięgu mojej dłoni, tyle że jedną trzymałem się pręta, a druga, dzięki Łysemu, stała się bezużyteczna, więc zdecydowałem się na wyskok. Bez namysłu wzbilem się w górę, ściągnąłem torbę prawą ręką i upadłem na glebę. Kość ogonowa zderzyła się z chodnikiem. Jęknąłem bezgłośnie i poleżałem chwilę, póki nie ustąpił ból pięciu młotów górniczych urabiających moje ciało na miazgę. Ale klucze zdobyłem i to miało decydujące znaczenie.

Zwijąłem się spokojnie, jak typowa ofiara upadku z wysokości, wierzgałem konwulsyjnie nogami, napinając wszystkie nieużywane mięśnie. Ból właśnie zelżał, gdy kilkadziesiąt metrów w głąb Ząbkowskiej otworzyły się drzwi kamienicy i wyszła z nich niezła laska w czarnym prochowcu. Nie musiałem się wpatrywać, żeby wiedzieć, że to Kinga. Z poziomego chodnika zastanawiałem się, czy to dobry moment na dokończenie naszych zaległych spraw. Zważywszy jednak, że prezentowałem się nagannie, postanowiłem pozostać w cieniu i zagadnąć ją w bardziej dogodnym terminie.

Sprzątacze

Gdy pozbierałem z chodnika siebie i plastikowe karty, które nie zainteresowały łysych, po raz drugi tego wieczoru udałem się piechotą na Targową, by złapać tramwaj do centrum. Wsiadłem do drugiego wagonu i momentalnie pojąłem rozmiar klęski. Pasażerowie, nieliczni o tej porze, wydali pomruk dezaprobaty i po kolei, kierowani podświadomą obawą, przesiedli się do pierwszego wagonu. Do stacji metra dojechałem sam, umilając sobie czas wydłubywaniem żwiru z dłoni.

W podziemnym pociągu naciągnąłem na głowę kaptury obu bluz. W ten sposób stworzyłem barierę między swoją twarzą a twarzami dwóch par w średnim wieku, wracających z późnego spektaklu. W porównaniu z nimi mogłem na przykład wracać z poligonu. Skrzywili się i pograżyli w apatii, jak większość ludzi w metrze, którzy wyglądają, jakby stracili zasilanie. Uważam, że ma to związek z brakiem pejzaży do oglądania, a w tym momencie mieli do oglądania tylko mnie. Nie mogłem ich winić za taką reakcję, sam na ich miejscu wbiłbym wzrok w podłogę.

Ze stacji do domu droga była krótka, lecz zamiast zwykłej trasy wybrałem zaułki między blokami. McDonald's przy ulicy gromadził różne grupy, a ja wolałem nikogo już dziś nie mijać.

Udało się, na ósme piętro dotarłem po angielsku. Wyłuskałem z dziury w torbie klucze i otworzyłem zamek. Przystąpiłem próg, zamknąłem drzwi i przesunąłem zasuwkę. Byłem bezpieczny w domu. Brudny, ociekający deszczem, tu i tam krwią, ale bezpieczny we własnej chałupie. Tylko chałupa się zmieniła, znaczy nie przeniosłem się do równoległego wymiaru, jednak mieszkanie wyglądało inaczej, niż gdy je dziś opuszczałem. To pewne jak zwycięstwo Chińczyków w badmintonie. Mam swoje przyzwyczajenia, a układanie butów w równych rzędach na pewno do nich nie należy.

Ktoś u mnie gościł, gdy bawiłem na Pradze. Tylko kto? Śladów włamania nie zauważyłem, więc wykluczyłem łysych. Gdyby dodać mój czas oczekiwania na chodniku, aż odejdą, i gdyby udało im się złapać dogodne połączenie z Mokotowem, i tak nie zdążyliby wykonać u mnie idealnej złodziejskiej roboty. Nawet jeśli istniał jakiś specjalny zestaw do otwierania, a potem zamykania zamków, tak by wyglądały na nienaruszone. A może istniał? Kto wie, na obecnym poziomie rozwoju technologicznego? Nie, wykluczyłem ich po raz drugi. Na kebab się wybierali. Głodni faceci nie odkładają jedzenia na później. A co, jeśli wzięli na wynos?

Wszedłem do salonu.

– Bez żartów – powiedziałem na głos. Tego nie mogła zrobić para warszawskich oprychów. Tego nie mógłbym zrobić nawet ja. Oto, co zobaczyłem.

Salon był punktem centralnym mieszkania. Tak go chlubnie nazwałem, choć zajmował powierzchnię mniej więcej trzy na trzy. Kawalerka w całości liczyła trzydzieści metrów

z okładem, co mnie urządziło. Zwłaszcza że nie miałem wygórowanych potrzeb i że na lokal nie wydałem ani centa. Tak, centa, bo kupnem zajął się nie kto inny, jak hojny brat dziadka – Stanisław, emigrant do Ameryki.

Mając za plecami przedpokój, patrzyłem na kanapę zastawiającą okno z balkonem. Balkon zasługiwałby na to określenie, gdyby posiadał płytę, na której mógłbym stanąć, żeby podziwiać okolicę. Murarze jednak o niej zapomnieli, za to wbudowali kratę z żelaznych prętów. Dzięki niej nie groził mi upadek z wysokości. Niefunkcjonalny balkon zasługiwał tylko na to, żeby go czymś zastawić. Niebieska kanapa z Ikei idealnie się nadawała. Owszem, szybko straciła miękkość, ale nie śmierdziała stęchlizną jak poprzednia. Nie zapadałem się w niej do poziomu podłogi. Wychodząc, zostawiłem rozrzucony koc i piramidę poduszek, o którą opieram plecy, grając w Diablo. Kto kiedykolwiek miał do czynienia z Diablo, wie, że można przy tej rozrywce spędzić wiele godzin. Wygodne ułożenie poduszek to podstawa.

Teraz złożony w kostkę koc leżał z boku kanapy. Poduszki w zgrabnych rzędach, niczym u gospodyni angielskiej klasy średniej, opierały się o podłokietniki. Pośrodku ktoś ustawił dwa druciane kosze, które zwykle trzymam w szafie. Zwykle, bo teraz znalazły godniejsze miejsce.

W koszach przechowuję ważne dokumenty, z których wiele datuje się na czasy szkoły średniej. Wpadają do nich również faktury oraz papiery, które wrzucam na oślep, a potem zapominam o ich istnieniu i przeznaczeniu. Zebrała się tego niezła sterta. Rozważałem już dawno trzeci kosz, ale kiedy zajrzałem do środka, gwizdnąłem z podziwu dla ekipy porządkowej, która musiała nad nimi spędzić wiele godzin. Wszystko posegregowali w kupki. W jednym pojemniku ułożyli moje dyplomy, wyniki badań, powiązane gumkami listy z podziałem na nadawców i – o! – świadectwo z trzeciej klasy, w której dostałem rekordowo dużo dwój. Odwróciłem cenzurkę tak, by nie widzieć ocen, uznawszy, że to dobry moment do zastosowania zasady o leżącym, którego się nie kopie.

W drugim koszu sprzątacze umieścili rachunki. Chronologicznie i według usługodawców. Gdybyśmy mieli okazję się spotkać, podziękowałbym, ciastem ich poczęstował, bo na wierzchu spoczywał rachunek za internet z lutego. Nie mogłem go znaleźć i w rezultacie zostałem odcięty od sieci, więc w odwecie postanowiłem zmienić operatora.

Przez drzwi w prawej ścianie salonu wszedłem do kuchni, by kontynuować oględziny, a przy okazji wyciągnąć mięso z zamrażarki. Wciąż myślałem o łysych i o tym, że wybierali się na kebab – aż sam poczułem głód. Na szczęście w czasach kryzysu, czyli prawie zawsze, bo wypłaty z Ameryki rozchodziły się w rekordowym tempie, opanowałem sztukę przyrządzania podstawowych potraw na ciepło, w tym smażenia w środku nocy schabu. Mięso musiało się jednak rozmrozić, więc wrzuciłem je do jednego koryta zlewu, podczas gdy w drugim zacząłem obmywać dłoń. Skrzepy krwi i żwir schodziły bezboleśnie. Nie cierpiałem fizycznie, ale patrzyłem na efektownie rozdeptaną kończynę. Wyciągnąłem plaster, okleiłem kluczowe miejsca i mogłem w końcu ściągnąć bluzy

i spodnie. Nie nadawały się nawet na szmaty do podłogi. Plamy i przetarcia przekroczyły liczbę, którą potrafiłbym dodać na palcach. Zwinąłem ubrania w kłębek i cisnąłem do kosza na śmieci. Nie bez żalu, ale taki los odzieży, która froterowała chodniki po deszczu. Musiałem założyć coś nietkniętego. Udałem się do sypialni.

Wychodząc z kuchni, zauważyłem, że kalendarz ścienny wskazuje prawidłowy miesiąc, choć nie pamiętam, kiedy ostatnio przekręcałem kartki. Osobliwi to włamywacze, którzy niczego nie kradną, tylko sprzątajają tak, że mógłbym następnego dnia zaprosić gości.

Obszedłem łóżko, przeciskając się wąską szczeliną, by dotrzeć z salonu do sypialni po lewej. Przesmyk staje się o wiele szerszy, gdy złożę spanie, czyli nigdy. Przyzwyczailem się do precyzyjnego celowania. Moje kolana do otarć również. Sypialnia i salon to tak naprawdę jedno pomieszczenie, ale ktoś je przedzielił ścianką i dwuskrzydłowymi drzwiami. Zawsze zostawiałem drzwi rozsunięte. Mieszkałem sam, więc nie było się przed kim zamykać, chyba że śmierdziało z toalety, ale wówczas i to niewiele pomagało.

Obok łóżka trzymałem rzeźbę wysoką na plus minus metr. To jedyna pamiątka po ojcu. Krzysiek rzeźbił wyłącznie brzuchate dziwolągi, jakieś plemienne figury. Ta, jako jedyna, przedstawiała normalnego chłopca, więc mogłem ją postawić na widoku. Dzieciak z ciemnobrązowego drewna unosił w górę ręce, a w nich trzymał siekierę. Stał w lekkim rozkroku, panował nad balansem ciała i rąbał coś z zawziętością wystruganą na drewnianej twarzy. Rzeźba służyła mi jako wieszak na ubranie. Zarzucałem ją ciuchami, dopóki nie upadła. Teraz właśnie, gdy wygrzebywałem koszulkę do spania, leżała na podłodze. Zganiłem w myślach włamywacza, który niby się starał, ale o ubraniach zapomniał. A mógłby i je poskładać, czyż nie? Czy to tak wiele kosztuje? Spojrzałem na stertę, potarłem podbródek i momentalnie poczułem się wyczerpany. Róg kołdry odchyłał się zapraszająco. Dałem za wygraną.

Przeżyłem ciężki dzień. Głowa zmęczona kreśleniem listy podejrzanych włamywaczy prosiła o odpoczynek. Odłożyłem wyimaginowany długopis i kartkę, bo – prawdę mówiąc – wykluczysz niskiego i grubego, nie miałem innych pomysłów. Nic nie zginęło, więc o co robić aferę? Raczej nie o to, że sam będę musiał złożyć ubrania. Zgasiłem światło, padłem na wyrko. Obiecałem sobie, że jutro wrócę do tematu, pod warunkiem, że nie wynikną pilniejsze sprawy.

Nagietki

Ranek powitał mnie ostrym słońcem, krakaniem wron i koniecznością podsumowania szkód, jakie poniosłem na Pradze. Straciłem jedyne buty biegowe, szczęśliwe spodenki, w których ukończyłem maraton, oraz koszulkę. Neutralną, lecz dopasowaną do stroju. Niebieską. Sporym problemem była utrata portfela z gotówką i kilku ważnych kart. Z chodnika pozbierałem te, które łysi odrzucili, czyli członkostwo w klubie przyjaciół psów, wstęp na siłownię oraz kartę chipową do bankomatu. Widać plastikowy pieniądz ułatwiał użytkownikom życie i nie interesował złodziei o konserwatywnych poglądach na łup. Komórka przydała się, by zablokować kartę kredytową. Jak dobrze, że telefon schowałem do przedniej kieszeni. Umknął uwadze Łatki, który gustował w męskich tyłkach i nie obmacał reszty skrytek.

Mogłem się cieszyć, że na tym się skończyło, choć nieodżałowane zaświadczenie o cukrzycy posłuży teraz innym jako tajna broń. Szkoda, naprawdę szkoda, wydałem na nie majątek. Nie średnią krajową, ale blisko. Przeplaciłem, wiem, jednak ceny takiego dokumentu nie szacuje się według wartości rynkowej. Dzięki niemu udało mi się wczoraj ujść z życiem, choć ojcem sukcesu był również Mariusz, a konkretnie jego cenna rada. Ubrałem się bowiem, za jego namową, na cebulę: w koszulkę i dwie bluzy. Pierwotnie miałem w ten sposób wzbudzić pożądanie Kingi – jako mężczyzna o łagodnym usposobieniu, lecz o dużych gabarytach – jednak w efekcie zestaw posłużył jako lekka zbroja. Nawet gdyby Łysy więcej razy użył buta, by zbadać moją wytrzymałość na kopniaki, i gdyby do siły dorzucił kilka dodatkowych niutonów, istniała szansa, że nie odniósłbym większych obrażeń dzięki pancerzowi *diverse limited edition*. Przynajmniej taką żywiłem nadzieję.

Ze zbroją łączyły mnie od wczoraj bolesne wspomnienia. Zbyt przykre, bym mógł ją nosić z dawnym entuzjazmem. Dlatego spoczęła w koszu, w czyścucu pod zlewem. Pogrzeb odbędzie się w zsypie przy najbliższej okazji, czyli kiedy śmieci rozmnożą się w kubie przez pączkowanie i wysypią na podłogę.

Postanowiłem zadzwonić do Mariusza, by omówić bieżące sprawy. Nie mieliśmy ostatnio dla siebie czasu, jeśli miałbym się posłużyć kobiecą nomenklaturą. Ja randki, on ubezpieczenia na życie, kiedy tu się spotkać, a kumple jesteście na zabój. Pomyślałem, że prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie, trzeba pielęgnować relacje, bo kto nam pożyczy gotówkę w razie potrzeby. Problem związany z wypłacalnością miał się stać kołem zamachowym naszej przygody. Nim jednak do tego doszło, pragnąłem ponarzekać z przyjacielem na złe czasy dla wrażliwych facetów, którzy wobec kobiet zachowują się uczciwie, a lądują w błocie pod murem rozlewni.

Zanim wybrałem numer Mariusza, otworzyłem okno w kuchni, bo słońce świeciło mocno, a przechodnie poruszali się jeno w koszulkach. Nawet przekupka na bazarze po

drugiej stronie ulicy, zazwyczaj w waciaku i gumofilcach, dziś nawoływała klientów odziana zaledwie w kwiecisty fartuch. Niczym motyl powiewała rozłożonymi na ramionach obrusami. Wczorajszej wiosny dominowały chłód i wilgoć, a w ciągu jednej nocy na przełomie kwietnia i maja Warszawa przywitała lato.

Okno kuchenne oblewał chłodny cień. Musiałem się wychylić, żeby poczuć na skórze słońce i właściwie ocenić temperaturę. Najdalej sięgałem środkowym palcem, ale na moje potrzeby stanowił zbyt małą powierzchnię odbiorczą. Wspiąłem się na parapet, chwyciłem talerz anteny i wysunąłem dłoń kilka centymetrów dalej. Nie wystarczy – pomyślałem w chwili, gdy od ściany oderwał się zupełnie sprawny, lecz zlewający się z tłem termometr. Dopiero gdy spadał, przypomniałem sobie o jego istnieniu. Co zrobiłby Scottie Pippen? Wyciągnąłby swoje kilometrowe ramię i odczytał słupek rtęci w locie. Zamiast tego ja zachwiałem się i z trudem chwyciłem antenę drugą ręką. Oduściłem sobie dotykowe badanie pogody. Ogarnąłem okolicę wzrokiem, co pozwoliło mi na refleksję, że w salonie obok mam balkon, dużo bezpieczniejsze stanowisko do prowadzenia analiz.

Założyłem koszulkę producenta ciężarówek i wybrałem numer Mariusza, obserwując handlarzy za oknem. *Kujciak w cieście, kosiula dla pana, dobre, dobre, będzie pasiować.* To Wietnamczyk w skórzanym kaszkiecie. Peruwiańczyk na piszczalkach grał muzykę etniczną. *Przybyli ułani pod okienko.*

Mój przyjaciel odebrał i oznajmił, że pracuje na popołudniową zmianę, więc teoretycznie miał czas, lecz w praktyce nie mógł się ze mną spotkać. Tłumaczył zawile, dlaczego to niemożliwe. Nie mogłem się pozbyć wrażenia, że coś przede mną ukrywa, ale mu odpuściłem i zakończyłem rozmowę. Cóż innego mogłem następnie zrobić, niż oddać się lekturze *Men's Health*? Najbardziej w magazynie interesowały mnie męskie sprawy, takie jak jedenaście zasad przetrwania w hotelu czy artykuł o mężczyznach, którzy zapoczątkowali kulturystyczną rewolucję w Afganistanie. Zanim dotarłem do zwierzeń niejakiego Najiba Shayefa i wyobraziłem sobie trudy wstawania o czwartej rano, mycia się w studni oraz jedzenia kanapek z arbuzem, usłyszałem melodię *London Calling*, dzwonek w mojej komórce. Mariusz. Prosił o wybaczenie za poprzednią rozmowę. Brzmiał bardzo lirycznie. Przekonałby się, ile znaczy przyjaźń w Afganistanie, ten kulturysta od siedmiu boleści – pomyślałem pod wpływem przeczytanego artykułu, ale nie ma o co kruszyć kopii. Liczyło się, że znalazł dla mnie czas. Umówiliśmy się w knajpie na Dobrej, bo miał przebywać w okolicy.

Dotarłem na miejsce pierwszy. Zapłaciłem za Tyskie i usiadłem w okolicy okna, bo tam był największy luz – ale w cieniu. Nie uznawali w lokalu żaluzji, mimo że słońce parzyło przez szybę, za to stwierdzili, że przypodobają się gościom rozkręconymi grzejnikami. Z drugiej strony mogli uczestniczyć w akcji protestacyjnej przeciwko nadejściu lata. Tyle się dzisiaj mówi, że młodzież nie ma o co walczyć, więc opozycja wobec pogody była pretekstem do walki z wywołanym na siłę wrogiem tak samo dobrym jak każdy inny.

Kiedy Mariusz dotarł do baru, wsunąłem ostrożnie lewą dłoń do kieszeni, bo hołdowałem najlepszym tradycjom spotkań towarzyskich i przed wyłożeniem kawy na

ławę, praktykowałem wymianę grzecznościowych uwag. Poza tym prawdziwy mężczyzna z ranami się nie obnosi.

Przyjaciel, zignorowawszy temperaturę na zewnątrz oraz w środku, przybył w bluzie i zamiast się przywitać, zainteresować moim zdrowiem, zaczął się uskarżać na gorąco. Poradziłem mu, żeby zdjął okrycie, co czynią inni w jego sytuacji.

– Nie mogę – odparł stanowczo, ale zamiast udzielić wyjaśnień, pogrążył się w myślach.

– To nie narzekaj – stwierdziłem, na co Mario złapał się za ramię i zaczął pocierać rękaw, jakby nabawił się świerzb.

Kobiety w takich sytuacjach potrafią okazać empatię. Włączają jakiś szósty zmysł, zadają serię pytań pomocniczych i wychodzi szydło z worka. Przepytywany mężczyzna się otwiera, obnaża swoje wnętrze. Okazuje się, że myśli zaprzęta mu jeden problem: niezłe cycki. Gorzej, jeśli chodzi mu o za małe cycki albo zwisy. Jest nadzieja, jeśli stwierdzi, że w staniku wypadną lepiej, względnie, że tyłek robi robotę. To kwintesencja męskiego wnętrza. Ale czy powinniśmy się wstydzić, gdy w zamian dostajemy lamenty, spuszczone noski i ściągnięte w podkowę usteczka? Esemesa dziś nie napisałeś, że mnie kochasz! Pojedźmy do mamy. Rosolek zrobiłam z bażanta, którego tato upolował. Ale czego ty się boisz? To kochani ludzie! Ciebie też polubią, tylko tej koszuli w kratę czerwoną nie zakładaj. Marynarka i cieniutki golfik pod spodem najlepiej. Idealnie, pięknie, no daj buziaka w policzek. Ogól się, o rany, ty kudłaczu. I tak w kółko.

Dlatego zrobiłem sobie dłuższy urlop od pańienek, ale Kinga to co innego. Jej dam drugą szansę. Szkoda, że jej tu nie ma. Namówiłaby Mariusza do zwierzeń, bo ja umiałem tylko kręcić podkładką do piwa, aż upadła.

Łypnęliśmy na siebie w stylu „Co? Co?”. Mówiąc literacko: wymieniliśmy pytające spojrzenia, ale na niewiele się to zdało. Każdy się zapatrzył w inną stronę. W końcu Mariusz odchrząknął, czym przykuł moją uwagę. Następnie, rad z zainteresowania, lecz wewnętrznie pokonany, powoli podciągnął rękaw bluzy. Ukazało się ramię z drutem kolczastym, który dobrze znałem, lecz nie musiałem się wnikliwie przyglądać, by odgadnąć przyczynę jego przygnębienia. Wokół drutu bowiem, aż po łokieć, ktoś wytatuował mu żółte i pomarańczowe kwiatki z drobnymi płatkami.

– Nagietki – zauważyłem ze znawstwem.

Mariusz nie docenił mojego obeznania.

– Odpierdol się – powiedział, dopijając na raz Lecha, po czym przeszedł do wyjaśnień.

Obłoczki płynęły po niebie, studenci dźwigali książki z biblioteki uniwersyteckiej, na skwerze nieopodal zebrała się grupka meneli. Mariusz tymczasem pomstował na wczorajszych współbiesiadników, z których jeden okazał się mściwym pomiotem.

– Ten maszt złamany! Dopadnę go i wyrwę mu kłaki z brody! Nos ustawię na jednej linii z twarzą za pomocą pięści, a jaja rozbiję na patelni!

Wydedukowałem z objaśnień, że podczas imprezy, kiedy Mariusz przybrał formę bezkształtnego worka, ktoś wyjął maszynkę do tatuażu i ustroił mu ramię kwiatkami.

– Nie znam gościa, gównu mnie obchodzi jego życiorys, ale sądząc po robocie, wiem, który to pacan.

– Facet ma talent, nie da się ukryć – rzekłem, sumując liczbę nagietków. Dziesięć, chciałem powiedzieć, jednak Mariusz nie słuchał. Sobaczył nieprzerwanie, zachęcając dziewczyny obok do zajęcia stolika w innej strefie.

– Maciek, jaja na bok. Ja nie mogę się tak pokazać na ulicy – w końcu przemówił z sensem.

– Może idź do salonu? Poproś, żeby kwiaty w inny tatuaż wkomponowali. Smoka sobie walnij. Będziesz straszyl.

Mariusz, widać, przygotował się do naszej rozmowy, bo opuściwszy rękaw, rzekł:

– Byłem godzinę temu. Powiedzieli, że kwiatów za dużo, są za daleko od siebie. Dziara będzie rozległa i kosztowna.

– Jak bardzo? – spytałem dla formalności, ponieważ wiedziałem, co odpowie, zanim wciągnął powietrze.

– Tak, że mnie na nią nie stać.

– No to mamy problem – podsumowałem, pokiwałem znacząco głową i wychyliłem się na krześle, dając mu szansę na refleksję.

– Problem to mam ja i tamten Van Gogh.

– A nie możesz jemu kazać, żeby zamalował nagietki?

– Mógłbym, gdybym znał jego nowy adres w Leeds. Wiesz, jak tam trafić? – zapytał retorycznie. – Podobno to gdzieś na Żoliborzu. Ha, ha, ha. Nie da rady, jak wytrzeźwiał, spierdolił do Anglii. Zanim ustalę jego miejsce pobytu, w mieście się rozniesie, że Super Mario dogina z nagietkami na rękę.

Po zastanowieniu zgodziłem się, że perspektywa nie jest obiecująca, choć nie potrafiłem wejść w jego skórę. Należę do facetów, którzy nawet na widok igieł sosnowych odwracają wzrok, więc nie miałem tatuażu i nie musiałem się obawiać o swoje dobre imię w środowisku.

– Mariuszu, przyjacielu, zaczynam odnosić wrażenie, że dzielisz się ze mną tą nowiną, bo mam odegrać w sprawie jakąś istotną rolę.

– Owszem – odpowiedział Mariusz, drapiąc się po brodzie.

– Słucham zatem.

– Potrzebuję kasy.

– I ja mam ci ją pożyczyć, mimo że nie mam.

– Jak to nie masz?

– Tak to – odparłem i przypomniałem mu wieczór kawalerski kumpla, który odbył się w mojej kawalerce i zakończył gruntownym remontem. Kosztom remontu towarzyszyły drobne datki dla sąsiadów, jako odszkodowanie za straty moralne. – I tak właśnie straciłem całą kasę – zakończyłem opowieść.

– To chujowo – zauważył przytomnie Mariusz. – A nie zadzwoniłbyś do wujka Stana?

Wujek Stan

Stanisław Borowski-Obierec był starszym bratem dziadka. Wiedziałem o nim tyle, ile dziadek Tadeusz miał kaprys opowiedzieć.

Dawno, dawno temu, gdy skończyła się pierwsza wojna, bracia żyli w zgodzie w jednym domu. Tadeusz spał na dole, a Stanisław na górze. Pojęli za żony młode kobiety, które nie szukały waśni, bowiem również były siostrami, i to z szacownego chowu. Znały dobre maniery, śpiewały w kościelnym chórze i pomagały biednym. Organizowały bale noworoczne, na które każdy, niezależnie od urodzenia, dostawał zaproszenie. O balach rozpisywano się w lokalnych periodykach, również agronomicznych, nie szczędząc pochwał dla urody sióstr Aurelii i Danieli. A jedna była piękniejsza od drugiej.

Niestety krótką radość życia na wsi przerwał wybuch drugiej wojny światowej, która wezwała Stanisława i Tadeusza do wypełnienia obowiązku względem ojczyzny. Odbywwszy rodzinną naradę, wyściskawszy zapłakane żony, które na później odłożyły plany powiększenia domowego stadła, bracia postanowili udać się na front w celu dziesiątkowania sił nieprzyjaciela, choć Tadeusz, miłośnik literatury, nie widział dla siebie miejsca w okopie. Mógł co najwyżej robić karierę korespondenta wojennego, lecz nie znalazł etatu.

Zanim jednak włożyli mundury i dołączyli do pułku piechoty, zrobili to, co należało, by zadbać o powojenną przyszłość, albowiem przewidywali, że konflikt się wcześniej czy później skończy, a żyć będzie trzeba. Tylko z czego? Rozwieźli majątek zgromadzony w dworku, wzbogacając okolicznych wieśniaków o złote sztuce, porcelanową zastawę, wysokiej próby biżuterię i kilka drogich dywanów, które z dziada pradziada zdobiły ściany ich domu. Okoliczna ludność, która odmawiała opuszczenia ojcowizny, przyjęła bogactwa w zamian za obietnicę wynagrodzenia za ich przechowanie. Mieszkańcy Obierca znani byli bowiem z chytrości i smykałki do interesów.

Kosztowności, których woleli nie rozdzielać między chłopów, bracia zakopali w tajemnicy w pobliskim lesie i policzyli kroki, zaczynając od znanego li tylko im punktu. Miejsce symbolicznego pochówku oznaczyli nacięciem na drzewie. Dla pewności Tadeusz, utalentowany skryba i ilustrator, sporządził mapę, którą przedarł na pół i podzielił się ze Stanisławem. Żony broniły dworu, gołych ścian, których bracia nie zdołali zakopać, oraz swoich fatalaszków – wszak jaśnie panie powinny wyglądać nienagannie niezależnie od okoliczności.

Wojna się skończyła, bracia wrócili do Obierca i ledwo poznali swoją posiadłość, której ściana w pobliżu spiżarni została zniszczona przez wybuch. Ledwie też rozpoznali swoje żony, wymizerowane przedłużającym się konfliktem. Kobiety zastawiły meblami osmaloną dziurę w ścianie i przenieśli się do części domu, która pozostała w fundamentach. W sypialni na górze zawiesiły prowizoryczne firany z halki Aurelii. Tam

właśnie Daniela dokonywała żywota, bowiem zima zaskoczyła ją pękającym na zalewie lodem. Wpadła do wody po pas, a siostra wyciągnęła ją tylko dzięki temu, że zdołała się złapać przybrzeżnego krzaka. Niestety wskutek kąpieli żona Stanisława nabawiła się chronicznego kaszlu, który z biegiem czasu przeobraził się w suchoty, a po kilku miesiącach zebrał śmiertelne żniwo, mimo że Stanisław podjął osobistą akcję resuscytacyjną.

Jakoś trzeba było żyć i wrócić do normalności, a przede wszystkim odzyskać rozwieszony po okolicy majątek. Dworek wyglądał pozał się Boże. Ścianę przy spiżarni trzeba było dobudować. Z jednej strony inwestycja miała kosztować krocie, z drugiej bracia odetchnęli, że opłakany stan domu zniechęcił do szabrownictwa. Nie byli pewni, czy odebrane sztuce i dywany wystarczą na odbudowę, tak jednak zależało im na przywróceniu budynku do dawnej świetności, że na grzbiecie jedynej ocalałej kłaczy ruszyli na zbiórkę po okolicy. Wieśniacy niechętnie pozbywali się zdobionej jaśminowym szlaczkiem porcelany, na której podawali swoje pierwsze powojenne obiady. Ale naczynia naczyniami, a za coś trzeba kupić strawę, więc inkasowali zapłatę – i tak Borowscy odzyskali większość dóbr. Aurelia całe lato trzepała dywany deptane ubłoconymi trepami.

Tak jak przewidywali, odzyskane zastawy i elementy dekoracyjne Tadeusz i Stanisław musieli wymienić na narzędzia i materiały do remontu dworku. Roboty trwały w nieskończoność, inwestycja przypominała worek bez dna, starszy z braci coraz gorzej znosił sytuację. Dom kojarzył mu się ze zmarłą żoną. W dodatku Stanisław uważał się za światowego człowieka i w przeciwieństwie do Tadeusza nie zamierzał spędzić reszty życia na prowincji, więc pewnego ranka udał się na spacer i poczuł, że nic tu po nim. Na niego czas, zwłaszcza że Tadeusz i Aurelia zaczęli się starać o potomka, utrudniając Stanisławowi spokojny nocny odpoczynek. Z przyczyn, których mi nie objaśniono, upragniona latorośl odmawiała poczęcia i dopiero dekadę później, już po odejściu Stanisława, urodziła się ich jedyna córka Lidia, czyli moja matka. Stanisław jednak nie mógł tego przewidzieć, wszak nie posiadał zdolności wróżbiarskich. Jedyne, czego był pewien, to że musi opuścić dworek, jeśli pragnie przespać choć jedną całą noc. Dlatego pewnej niedzieli wezwał brata na naradę, która zakończyła się po trzech dniach i kilku litrach nalewki pigwowej. Udali się do notariusza, podpisali stosowne dokumenty, po czym Stanisław wyjął z kieszeni na piersi woreczek.

– Tadeuszu, umiłowany bracie. Tyś mi najdroższym kompanem. Przeżyliśmy razem co niemiara smutków i radości w teatrze zwanym życiem. Tu jednak nie ma dla mnie przyszłości. Daniela nie żyje, roboty po pas, a świat wielki czeka i macha na przywitanie. Dlatego przyjmij moją połowę mapy, odszukaj skarb i ukończ remont dworku. Ja emigruję do Ameryki, która mlekiem i miodem płynie, jak powiadał nasz wojenny przyjaciel, John Madness. Rzekł do mnie raz, że widzi moją przyszłość w produkcji konserw turystycznych, która to gałąź przemysłu wciąż w Ameryce raczkuje, więc jako człowiek przedsiębiorczy mógłbym się w niej wybić.

Tadeusz kochał brata i nie mógł się na to zgodzić, a zwłaszcza przyjąć prezentu

w postaci mapy do majątku, która należała się im obu jak jajku skorupka. Jednak Stanisław nalegał, zobowiązał się do wymiany korespondencji i wspólnego podejmowania decyzji, po czym dosiadł klaczy i pomachał Tadeuszowi dokumentami, które dostał od jakiegoś Francuza i które miały mu umożliwić wyjazd z kraju; następnie ruszył w kierunku Austrii. To był ostatni raz, kiedy mój dziadek widział swego brata.

Opowieść o wujku Staszku, którą dziadek raczył mnie w dzieciństwie, zdążyłem trzy razy zapomnieć. Aż do 25 stycznia 1998 roku. Wtedy uderzyła mnie jak tona cegieł.

Był to poranek po moich osiemnastych urodzinach; nie czułem się najlepiej. Mieszkałem w internacie w Warszawie i, jak to bywa w sytuacjach oddalenia od rodziców, hucznie ucziłem pierwszy krok w dorosłość. Stanisław zadzwonił na automat w korytarzu, przez co do dudnienia w głowie dołączył jazgot dozorczyńni, która kazała mi ruszyć zwłoki i w te pędy gnać do telefonu, bo zostało jej całe niesprzątnięte piętro i nie ma czasu odbierać.

Przeskoczyłem przez stertę kolegów, którzy waletowali na podłodze mojego pokoju. Po wczorajszej nocy dozorczyńni i ja mieliśmy być jedynymi osobami, które obudziły się przed południem. Pofatygowałem się na drugi koniec internatu, co kosztowało mnie skok ciśnienia w czaszce, rzut mdłości i utratę równowagi. W lewej ręce dźwigałem czajnik z wodą, w drugiej krzesło.

Robiłem to z przyzwyczajenia. Dziadek dzwonił do mnie raz na parę miesięcy i opowiadał takie historie, że wolałem mieć na czym siedzieć. Za krótki kabel od słuchawki uniemożliwiał korzystanie z podłogi, a opowieści były tak długie, że kilkakrotnie okrążyłyby Ziemię. Tadeusz był doskonałym gawędziarzem. Czytałem Kinga i jestem pewien, że dziadek pisałby lepsze powieści, gdyby chciał. Mistrz stopniowania napięcia, kandydat do nagrody literackiej za opowieść o poszukiwaniu skarbu w lesie. Tak, tego samego, który zakopali przed wojną i który przepadł jak kamfora.

Po wyjeździe brata z kraju, Tadeusz skleił mapę za pomocą prześwitującej taśmy i odtworzył narysowaną drogę krok po kroku, zaczynając od znanego tylko braciom miejsca. Odnalazł nacięcie na drzewie, kopał do wieczora i choć poświęcił trzonek łopaty, nie znalazł ukrytego majątku. Stałem oparty o ścianę, owinięty w ręcznik, i marzłem, kiedy mi o tym opowiadał, bo za oknem zima, a zadzwonił akurat, kiedy brałem prysznic. Dziadek szukał dalej, przekopał kawał lasu. Nie mógł wezwać pomocy, bo o takim skarbie lepiej w ciężkich powojennych czasach nie wspominać. Stwierdził, że albo majątek znalazł już nowego właściciela, albo – o czym Tadeusz wolał nie myśleć – Stanisław w tajemnicy zaopiekował się nim jeszcze przed opuszczeniem rodzinnych stron.

Dziadek nie ustalił, co się stało z zakopanymi drogocennościami. Wyprzedził to, co zostało, żeby ukończyć remont. Nigdy nie opuścił swojej twierdzy, której nowego wyglądu nie miałem okazji podziwiać. Nie interesowało mnie, jak wygląda dworek przywrócony do dawnej świetności, nie jeździłem w odwiedzin. Sporadyczny kontakt z dziadkiem przez telefon to wszystko, co mogłem zrobić dla rodziny. Dzwonił on. Opowiadał, angażował się, jakby miał względem mnie jakieś plany. Na chwilę zapominałem, z jakiego powodu dzieli

nas taka odległość i dlaczego nie mam nic przeciwko temu.

25 stycznia 1998 roku byłem na tyle nieprzytomny, że zapomniałem, iż dziadek od roku nie żył. Przeskoczywszy przez stos kolegów, odruchowo wyciągnąłem spod biurka krzesło, na którym usiadłem przy automacie. Połknąłem paracetamol, popiwszy go wodą z czajnika.

– Słucham – odparłem po chwili.

Nastawiłem się na głos dziadka Tadeusza, ale zamiast niego usłyszałem człowieka, który również nie był młody. Problem polegał na tym, że nie miałem pojęcia, kto mówi.

– Stan Borovsky-Obieretz. Twój wujek, brat Tadeusza – przywitał się.

Z początku nie powiedziałem nic, bo wolno tego dnia kojarzyłem, jednak po chwili otrząsnąłem się i rzekłem w odpowiedzi:

– Witam.

Wujek Stan oświadczył na wstępie, że jest pewien mojej tożsamości, bowiem głos mam niczym Tadeusz, gdy był plus minus w moim wieku. Własną tożsamość Stanisław, obecnie Stan, potwierdził, przytoczywszy słowa, które wyrzekł do dziadka w chwili oddawania mu swojej połowy mapy. Nie miałem pewności co do kilku wyrażen, ale też mój umysł przebywał chwilowo na urlopie, zatem zaakceptowałem wersję Stana i przeszliśmy do formalności.

– Jestem egzekutorem ostatniej woli twego dziadka.

– Aha – odparłem, krztusząc się wodą.

– Tadeusz pozostawił tobie duży spadek. Wspomina o nim w liście zawierającym liczne artykuły, z których kilka muszę odczytać przed tobą na głos. Są i takie, których odczytać nie mogę, bowiem twój dziadek zabronił mi to uczynić. Miał ku temu powody, Macieju. Jest jednak kilka kwestii, które mogą się spotkać z twoim zainteresowaniem. Pozostaję w hotelu Victoria, wpadnij na kolację, omówimy szczegóły sprawy.

Odwiesiłem słuchawkę. Głowa rozbolała mnie jeszcze bardziej, dlatego że musiałem jej użyć. Zostałem w korytarzu na obrotowym krzeselku. Dozorczyni łypnęła na mnie spod obrzmiałych powiek i poszła sprzątać ostatnie piętro. Naturalnie nie uczyniła tego wcześniej, gdy akurat rozmawiałem. Wtedy znalazła sobie pilne zajęcie polegające na zszywaniu w kanciapie fartucha. Traf chciał, że pomieszczenie to znajdowało się dwa metry od telefonu i dozorczyńni oddawała się pracy bezszelestnie, na odpowiedniej częstotliwości nasłuchowej.

Jestem wzrokowcem, zapamiętałem jej obraz. Głowę zaprzętała mi jednak rozmowa sprzed chwili, a szczególnie wujek Stanisław, z którym mój dziadek ostatni raz kontaktował się rzekomo, gdy wzrokiem odprowadzał jego plecy kierujące się do Stanów Zjednoczonych przez Austrię. Interesujący wydał mi się również cud, który sprawił, że Tadeusz Borowski, wyprzedawszy majątek na remont rezydencji, uciułał dla mnie spadek. Niby z czego? Z nagrody za najładniejszy dom w okolicy? Czy może ukrył przede mną kilka drobnych szczegółów? A może przeciwnie, opowiedział o wszystkim w jednej ze swoich historii, tylko ja akurat ten moment przespałem? Śmiem wątpić w to ostatnie, tak samo jak dozorczyńni w moją obietnicę, że nie wydam na piwo pieniędzy przeznaczonych na czynsz.

Dlatego postanowiłem udać się na kolację ze Stanisławem, obecnie Stanem, z nadzieją na kilka odpowiedzi lub chociaż konkretną strawę.

Do hotelu przybyłem w dzinsach przetartych na kolanach i flanelowej koszuli w kratę, bowiem w tamtym okresie identyfikowałem się z brzmieniem grunge. Pod spodem nosiłem koszulkę z napisem *Kurt Cobain 1967-1994*, bo choć muzyk nie żył od czterech lat, ja nadal nie mogłem pogodzić się ze śmiercią takiego talentu. Sam grałem na szóście w kapeli rockowej. Rysowała się przed nami świetlana przyszłość, a wokalista zasługiwał na miano odkrycia dekady. Wskutek szlabanu na muzykowanie, który dostał za udział w szkolnej bójce, szybko przekonałem się, że scena rockowa nie przestanie istnieć, pomimo naszego z niej zejścia. Nie było jednak o co kruszyć kopii. Nawet nie zdążyliśmy nadać sobie nazwy, oprócz roboczej: Kurt Żyje.

W hotelowej restauracji od razu wypatrzyłem starca, który wyróżniał się opalenizną kojarzoną w tamtych czasach wyłącznie z Afryką i okularami słonecznymi, których w Polsce nikt nie zwykł nosić w styczniu.

– Wujek Stan? – zapytałem, na co on pokiwał twierdząco głową i wskazał mi krzesło naprzeciw siebie.

Usiadłem, lecz wujek zerwał się z fotela, więc i ja się poderwałem, nie będąc pewnym, co czynić.

– Macieju, pozwól, że cię uścisnę! – wypalił, rzucając się w moją stronę nad stołem. Poleciały kieliszki oraz okulary słoneczne, więc historyczną kolację rozpoczęliśmy od drobnych porządków wokół. – Zakładam, że masz do mnie mnóstwo kwestii. Na przykład, skąd dziadek wziął pieniądze i dlaczego zainicjował ze mną kontakt, a ty nie miałeś świadomości tego.

– Tak, wujku, te kwestie mnie nurtują. – Wahałem się, czy zmienić składnię na brzmiącą bardziej z angielska, żeby ułatwić komunikację. Zauważyłem, że Stan po każdej zasłyszanej wypowiedzi mamrocze coś pod nosem, jak gdyby przekładał zdania dla ułatwienia.

– Wyśmienicie, ponieważ wyklaruję je tobie, lecz najpierw zamówmy coś do jedzenia. Kelner! – zawołał wujek, na co przybiegł facet w bordowej muszce. Stan zamówił stek z frytkami, a ja zielone i żółte warzywa, których nazw nie znałem. W tamtym czasie utożsamiałem się z ideą wegetarianizmu i walki o prawa zwierząt, a że większość dań miała mięso w tytule, zdałem się na kelnera i pożałowałem później tej decyzji. Kiedy odszedł, rzekłem:

– Wujku, nic z tego nie rozumiem.

Dlatego Stan bez dalszych wstępów wyjął z teczki cztery pożółkłe kartki, które okazały się listem mego dziadka do mnie. Zanim wuj zaczął czytać, uprzedził, że pismo posiada punkty oznaczone przez dziadka na czerwono, których treści nie pozwolił przede mną zdradzić, nawet gdybym się powoływał na ustawę o dostępie do informacji. Szelma – pomyślałem, bo nosiłem się z zamiarem nawiązania do tego właśnie aktu.

Listowi towarzyszyła legenda skierowana wyłącznie do Stanisława i taką pozostała, a ja nie mogłem się pozbyć wrażenia, że bracia działają w zмовie, nawet jeśli jeden

z nich wacha kwiatki od dołu, i wolałbym, żeby mnie do tego nie miesza. Chciałem wyjść, za późno jednak doszedłem do tej konkluzji, bo zdążyłem już zjeść część warzyw, a starzec kontynuował czytanie tekstu z kartki poźółkłej jak wnętrza jego dłoni. Nie mogłem wstać, by zmykać, gdzie pieprz rośnie.

List od dziadka

Kochany wnuku,

Żywię podejrzenie, że nic z tego nie rozumiesz. Też bym nie rozumiał, gdyby tak jak przed Tobą, ukryto przede mną tyle prawdy na temat mojej rodziny. Otóż pragnę powiedzieć, iż wysłaliśmy Cię do warszawskiej szkoły z internatem, aby odsunąć Cię od spraw, których pojąć byś nie potrafił, lecz które mogłyby zachwiać Twoją delikatną psychiką i sprawić, że znienawidziłbyś swoich dziadków. Nienawiść byłaby niezasłużona, lecz skoro leżę już martwy w grobie, pozwól, że nie będę zakłócać swego wiecznego spoczynku skomplikowanymi wyjaśnieniami.

Najważniejsze, abyś się dowiedział, iż odłożyłem dla Ciebie mały spadek, co utrzymywałem w tajemnicy głównie ze względu na Twego ojca, tego obwiesia, artystę od siedmiu boleści, który zbałamucił moją córkę, moją Lideczkę najukochańszą, więc i ją musiałem pozbawić wygód należnych osobie z jej pochodzeniem. Trudno, zbiesiła się, musiała ponieść karę. Jestem tylko dumny, że udało mi się zmusić Lideczkę do zachowania nazwiska. Nawet ten łapserdak, licząc pewnie na moje względy, przyjął naszą godność Borowski-Obierec. Dzięki temu, Macieju, nazywasz się należycie.

Jak wiesz, zanim przyszedłeś na świat, Twoi rodzice zamieszkiwali w Afryce, w której poczynili szereg inwestycji. Pochłonęły one lwią część mojego majątku. Dlatego, gdy wrócili, zmusiłem ich w ramach nauczki do zamieszkania w oborze obok domu, miast na salonach. Jestem pewien, że matka Twoja nie miała nic wspólnego z tymi obłąkańczymi pomysłami, jednak dopóki pozostawała zapatrzona w tego łachudrę, Twego ojca, musiałem ją odsunąć od majątku. Na swą obronę dodam, że uczyniłem wszystko, co w mojej mocy, by zapewnić im w oborze godziwe warunki bytu, zwłaszcza że urodziłeś się Ty.

Wydarzeń rozgrywających się od Twych narodzin po dzień dzisiejszy nie muszę odświeżać, albowiem byłeś ich uczestnikiem. Mój drogi brat Stanisław również o wszystkich z grubsza wie, lecz dla pewności i by wszystko mieć na piśmie, podsumuję je poniżej.

Tu następuje jeden z fragmentów listu, których Stan nie mógł odczytać mi na głos. Przez dłuższą chwilę mamrotał niezrozumiale pod nosem. Następnie odchrząknął i podjął przerwany wątek. Słuchałem dalej.

Wiedz, że sporo rzeczy umknęło Twojej uwadze jeszcze za czasów dzieciństwa w Obiercu, ale więcej po Twoim wyjeździe do liceum w Warszawie. Tak jednak było dla Ciebie najlepiej. Jedną ze spraw, które przed Tobą ukryłem, był mój kontakt ze Stanisławem, od lat świetnie prosperującym producentem konserw turystycznych na amerykańskiej Florydzie. Przesłałem mu zaoszczędzone środki, a on umiejętnie je inwestował.

Czynił to w tajemnicy przed Twoimi rodzicami, których Stanisław poznał, bowiem odwiedzili go na początku swojej podróży do Afryki. Planowali wszak zabawić u Stana dłużej, przyswoić sobie zasady kapitalizmu i nowoczesne technologie, a potem wrócić do Obierca i wcielić zdobytą wiedzę w czyn. Tymczasem zadali się z grupą jakichś szubrawców długowłosych, brudnych i bosych, zawodzących na temat nadejścia ery jakiegoś wodnika. Zamiast więc korzystać z gościnności Stanisława, za namową Twego ojca łachudry, spakowali walizkę i ruszyli z tąż grupą do Afryki, nieść pokój i szczęśliwość biednym plemionom Czarnego Lądu. Jak wspominałem, ich działalność nikomu pokoju ani szczęśliwości nie przyniosła, a najmniej mnie, więc wydawszy majątek, który im w dobrej wierze posyłałem, wrócili do domu i zamieszkali w zaadaptowanej oborze. Mama Twoja zaczęła tkać dywany, a ten długowłosy psubrat rzeźbił swoje drewniane szkaradzieństwa, których nikt nie chciał kupować.

W tym miejscu Stan zrobił przerwę, bo w liście posypało się sporo inwektyw pod adresem mojego ojca, dlatego z własnej inicjatywy pominął jeden akapit i przeszedł do dalszej części.

Maciusiu, a teraz do rzeczy. Stanisław otrzymał ode mnie dyspozycję, ażeby co miesiąc wypłacał Ci pewną sumkę. Nie jest ona wielka, ale pozwoli na godziwe życie. Nie będziesz klepał biedy jak Twoi dziadkowie, zwłaszcza jeśli nie znajdziesz zatrudnienia w wyuczonym fachu. Jeżeli jednak rozpoczniesz pracę, potraktuj to jak dodatek do pensji, którym możesz dysponować dowolnie, jako że należy Ci się on bezwarunkowo.

Jeśli zaś chodzi o większe wydatki, będziesz się musiał zwracać do Stanisława, bo to on od tej chwili decyduje, czy przyznać Ci dodatkową kwotę, czy nie. Pamiętaj jednak, że mój brat żyje w kraju, w którym liczy się inicjatywa, uczciwość i ciężka praca, dlatego każdą prośbę o nadplanowe środki będziesz musiał właściwie uzasadnić.

Tak mniej więcej wyglądała zasadnicza część listu. Było jeszcze wylewne pożegnanie, ale zachowam je dla siebie, ponieważ nadal, gdy o nim pomyślę, robi mi się wilgotno w oczach.

Podsumowując, w ten sposób stałem się laureatem pensji nieokupionej żadnym wysiłkiem i mogłem się wyprowadzić z internatu, ponieważ wujek ufundował mi kawalerkę na Puławskiej, w której do dzisiaj mieszkam i którą, jak wspominałem, poddałem niedawno gruntownemu remontowi. Oprócz środków na życie Stan udzielał mi nadprogramowych zapomóg, z których każdą musiałem właściwie umotywować.

Na Dobrej

– To jak będzie, Maciek, zadzwonisz do wujka? – spytał ponownie Mariusz i odebrał od kelnera drugie piwo.

– Mogę zadzwonić, ale nie oczekiwałbym cudów. Odkąd Stan Junior przejął moje sprawy, niewiele udało mi się załatwić. Ten facet albo się nie zgadza, albo nie odbiera telefonu – odrzekłem ze spuszczonego wzrokiem.

Zdrową prawą ręką rolowałem serwetkę, delektując się chwilą, w której Mariusz potrzebował mojej pomocy. Może jutro nie uznam tego za powód do dumy, ale byłem zdany na jego łaskę w jakichś dziewięciu przypadkach na dziesięć. Kiedy jako starszkiwie po przejściach zapalimy fajkę na ganku naszego wspólnego domu, Mariusz na pewno przyzna, że miałem prawo celebrować ten moment przewagi, raz na jakiś czas nie czuć się jak ciemięga.

– Moment – odezwał się. – Jaki Stan Junior? To ktoś inny niż ten polski Amerykanin od konserw?

– Owszem, Stan Junior to syn Stana Seniora – odparłem.

Mariusz zgasł, a odpływająca fala, która szumiała w knajpianych głośnikach, zabrała ze sobą moją chwilę triumfu.

– Nie załamuj mnie, Maciej, gdy jestem w podbramkowej sytuacji. Tych facetów jest dwóch? – wyjęczał i wypił piwo duszkiem. – Dlaczego ten pierwszy już nie decyduje o sprawie?

– Bo nie żyje. Stanisław był bratem dziadka, pamiętasz? Stary był, więc umarł. Teraz Junior, jego syn, rządzi spadkiem.

– Jakiś smarkacz decyduje o twojej kasie? – Pochylił się w moją stronę. – Dlaczego się na to godzisz? Zrób z nim porządek. Pomogę.

Mrugnął do mnie. Uwielbiałem go, ten dzień, tę pogodę, pokój na świecie i teledysk Beyoncé, w którym piosenkarka wygina się na piasku. Menele na skwerze podawali sobie z rąk do rąk butelkę zawiniętą w papier. Pili do siebie, jak to mówią. Wypiłem do nich w wyobraźni. Taki byłem szczęśliwy, że Mariusz jest moim kumplem. Super Mario zarażał entuzjazmem.

Stan Senior i Stan Junior byli jak Yin i Yang, jak przeciwstawne siły natury. Stanisław starszy uczciwie rozporządzał moim majątkiem, którego wartości nigdy nie poznałem. Nie interesowała mnie, darowanemu koniowi w zęby się nie zagłada. Liczyło się, że wuj nie robił problemów. Ufundował mieszkanie, co miesiąc przelewał na konto zapomogę. Dorzucał premię, gdy potrzebowałem na większe wydatki. Dbał o mnie, choć nie miał w tym żadnego interesu. Zresztą nie wiem, może z dziadkiem łączyły go jakieś zależności, którymi się nie pochwalił. Może był zobowiązany, miał jakiś dług wdzięczności. Gdyby Tadeusz, zamiast snuć przez telefon prehistoryczne opowieści, potraktował mnie jak

dorosłego i zdradził plany na przyszłość, sytuacja byłaby jasna dla wszystkich. Choć ujmę to inaczej: jest jasna dla wszystkich oprócz mnie.

Nie wiedziałem, dlaczego brat dziadka skrupulatnie wykonuje jego testament. Niech mnie nazwą głupcem, ale się zraziłem i nie miałem ochoty dociekać. Potem Stanisław umarł, pochowali go gdzieś na Florydzie, w jego nowej ojczyźnie, którą rzadko opuszczał, z sobie znanych powodów rezygnując z kontaktów z Polską. Nie odwiedzał nas w święta, nie wpadał z urodzinowym prezentem. Nie wołał po angielsku *surprise!* Aż kopnął w kalendarz, a moje sprawy przejął Stan Junior.

Stanisław Junior, choć wcale niemłody, w końcu urodził się w generacji moich rodziców, był przeciwieństwem Seniora, dobroczyńcy z zagranicy. Kojarzył mi się z lisem. Pierwsze, co zrobił, to obciął mi miesięczny budżet, powołując się na niejasny zapis testamentu, którego nigdy nie miał czasu przeczytać przez telefon i kazał sobie uwierzyć na słowo. Zawsze gdzieś się spieszył, pakował akurat walizki. Dużo podróżował w interesach. Jakich? Nie powiedział, akurat musiał kończyć. Potem znajdował się poza zasięgiem.

Raz czy dwa próbowałem go poprosić o ekstra darowiznę. Nie mógł mi jej udzielić, bo sobie nie zasłużyłem. Tak powiedział. Dodał, że następnym razem powinienem sporządzić opis działania, harmonogram realizacji, spodziewane korzyści i możliwe pułapki. Nie doszło do następnego razu, więcej nie zadzwoniłem. Prosić się nie chciałem. Poza tym dyskusja z nim to była droga przez mękę. Przez angielskie wstawki w polskich zdaniach oraz wysiłek z ich odszyfrowywaniem po rozmowie musiałem długo odpoczywać albo zagrać w coś na komputerze. W grze musiała być masakra, dużo stworów do zabijania. Potrzebowałem dobrych paru godzin, żeby odreagować rodzinną pogawędkę.

A teraz Mariusz uznał, że moglibyśmy się do niego zwrócić. Ależ proszę bardzo, tylko ty, przyjacielu, załatw wszystkie formalności. Ja nie czuję się na siłach, żeby inwestować czas i energię w projekt, który spali na panewce.

– Uspokój się, Mario – powiedziałem. – Bez gwałtownych ruchów. Junior to żaden smarkacz, ma koło sześćdziesiątki.

– Ale i tak możemy zrobić z nim porządek.

– Nie możemy – odparłem, robiąc kulkę z serwetki.

– Dlaczego? – Uniósł się nad stołem.

– Ja rozumiem, że jesteś w potrzasku, ale nie zadawaj głupich pytań, na które nie chciałbyś usłyszeć odpowiedzi.

Utkwiliśmy w sobie spojrzenia. Ja mrugnąłem pierwszy. Wyciągnąłem rękę, uchyliłem okno i od razu się skrzywiłem, bo menele zaczęli śpiewać pieśń patriotyczną. Nie mieli pięknych głosów, fałszowali przez szczyby w użębieniu, a przy wyższych tonach wyciągali szyje i tracili równowagę. Jeden z nich wylądował plecami na trawie, ale śpiewał dalej, unosząc w ręku butelkę niczym ranny białą flagę. Napięcie w powietrzu zniknęło jak Jasieniek na wojence w ich songu.

– W porządku. – Mario klapnął z powrotem na siedzenie. – Dysponujemy Juniorem,

którego nie da się przerobić. A może i on ma syna? Może powinniśmy poszukać zrozumienia u kogoś w naszym wieku?

Znów mrugnął, zapaliwszy się do pomysłu. Zaczął uderzać trampkiem o parkiet, gotowy do działania. Lumpy zawisły w pół słowa, jakby czekały na moją odpowiedź, choć prawdopodobnie po prostu zapomnieli tekstu.

– Junior ma córkę. Margaritę – odparłem.

– A ładna?

Zamiast studzić jego entuzjazm, coraz bardziej go podsyciałem. Baran ze mnie, powinienem się za to zbesztać, ale nagle przyszedł mi do głowy pomysł. Oświeciło mnie, że mógłbym z jego projektu uszczknąć coś dla siebie. Ważne tylko, żeby odpowiednio poprowadzić rozmowę.

– Widziałem zdjęcie, jest niezła.

To była akurat prawda. Na rodzinnej fotografii Margarita prezentowała się doskonale. Mogłaby mu się spodobać. Wiedziałem jeszcze, że świetnie mówi po polsku, co pozwoliłby zniwelować barierę językową. Wiem, Mariusz poznał angielski na budowie, ale raczej nie była to terminologia odpowiednia dla relacji damsko-męskich. Margarita odebrała kiedyś telefon zamiast Stana. Z początku się zdziwiłem, córka Meksykanki i pół-Amerykanina, a perorowała jak prawdziwa Słowianka. Wyjaśniła mi, że utrzymuje bliskie relacje z amerykańską Polonią, która tak biegle nauczyła ją naszego języka. Fascynowała się polskim narodem, który jej zdaniem powinien służyć jako wzór do naśladowania dla wszystkich katolików.

Podłamałem się, słysząc te słowa, ale zachowałem komentarz dla siebie, ponieważ nie chciałem psuć międzynarodowych kontaktów. Stwierdziłem, że muszę pilnie porozmawiać z jej ojcem, że innym razem podyskutujemy o religii, ale ona zaczęła opowiadać o papieżu, którego wiersze to dla Margarity najważniejsze życiowe drogowskazy. Nie powiedziałem jej, że kieruję się innymi zasadami moralnymi i raczej nie znaleźlibyśmy wspólnego języka. Nie mam pojęcia, jak Mariusz zareagowałby na te rewelacje, jednak to było bez znaczenia. Liczyło się zainteresowanie przyjaciela jej osobą.

– Pokaż – powiedział *à propos* zdjęcia.

– Na komputerze mam, w jotpegu.

Mój druh palił się do działania; siedział na skraju krzesła, spinając mięśnie, jak gdyby czekał na sygnał do startu. Nie dziwota, nagietki, choć ładne, nie robiły mu dobrej reklamy. A gdyby to wykorzystać i zrzucić na niego robotę? Jest tak zmotywowany, że mógłby przekonać Amerykanina i całą jego atomową rodzinę. Nawet przez telefon umiałby nimi potrząsnąć. Ten radiowy głos, ta siła perswazji. Jest szansa, że zdobędzie pieniądze na usunięcie tatuażu. Oczywiście sam nasmaruje plan działania. Powiem, że w końcu to w jego sprawie musimy negocjować. Ja tylko niepostrzeżenie powiększę wnioskowaną kwotę o dodatek na własne potrzeby. Na przykład przydałby mi się samochód. Byłe jaki, oby jeździł. Postanowiłem zaryzykować. Musiałem sprowadzić rozmowę na właściwe tory, rozegrać sprawę tak, żeby Mariusz odniósł wrażenie, że to on wpadł na taki genialny

pomysł.

– Macieju, zwróćmy się do niej. Co nam szkodzi? – przerwał moje rozważania.

Uniosłem piwo. Chciałem ponownie wypić do meneli toast za doniosłą chwilę, ale już ich nie było. Wypiłem do Mariusza. Odpowiedział tym samym za pomocą pustego kufła. Nieważne konwenanse, liczyło się, że miałem go w kieszeni.

– Cóż... – Odstawiłem szklankę na podkładkę z zielonym skrzatem trzymającym w rękach dzban monet. – Margarita nie zajmuje się moimi sprawami. Mogłaby się jedynie wstawić za nami u ojca. Kto wie, kto wie... Ale Junior jest kluczem do wszystkiego.

Skinąłem na kelnera, zamówiłem kolejną rundę. Zacząłem tłumaczyć Mariuszowi, że Stan młodszy jest trudnym rozmówcą i wypracował obostrzenia, takie niby nie do przejścia, aczkolwiek nie przewidział jednego. Gdybyśmy znaleźli tęgi umysł, który by obmyślił niepodważalne uzasadnienie projektu, Junior nie miałby podstaw, żeby odrzucić naszą prośbę. Prawo opowiedziało się po naszej stronie.

– To jest myśl! – zauważył mój kumpel, odbierając energicznie nasze piwa z rąk potarganego kelnera. Chłopak się cofnął i nie spuszczać Mariusza z oczu, wrócił tyłem do baru. Wysunąłem przed siebie nogi i rozparłem się na krześle.

– Myśl może i niegłupia, ale tęgiego umysłu brakuje.

– Jak to brakuje?! – Odsunął kufel na bok. – A ja? Ja to niby sroce spod ogona wypadłem?

W żadnym razie – pomyślałem. – Mój przyjacielu, należy ci się szacunek za zapal i medal za ratowanie ginących.

Gdyby faktycznie, jak sugerował, udało mu się przekonać Juniora, mianowałbym go swoim impresario. Musiałem pokazać, że wątpię w powodzenie misji, bo takich ludzi jak Mariusz najlepiej się motywuje, wchodząc im na ambicję. Dla podkreślenia efektu rezygnacji rzuciłem okiem na zegarek, wyjąłem z kieszeni komórkę, żeby poczytać ze znużeniem esemesy. Niestety żadnych nowych nie dostałem, więc otworzyłem kalendarz nieoznaczony ani jednym ważnym wydarzeniem. Słońce odbijało się w ekranie, dzięki czemu Mariusz nie widział, że niczego nie czytam.

– Ujmę to w ten sposób – rozpoczął. Wyjął mi telefon z ręki i odłożył na bok. – Junior nie opłaci usunięcia tatuażu, bo to stary sknera albo jakiś Amisz, który nie pozwala rodzinie na zbędne wydatki.

Nie byłem pewien, czy na tym dokładnie polega doktryna Amiszów, ale słuchałem dalej z zainteresowaniem, tylko nie chciałem go okazywać. Wyjąłem z kieszeni pęk kluczy i zacząłem je wykręcać pojedynczo z kółka. Mariusz zabrał mi klucze i położył obok komórki. Wpadł w kreatywny trans i nawet nie zauważył, jak staram się okazać zniechęcenie. A może przeciwnie, postanowił za wszelką cenę udowodnić, że mamy szansę.

– Dlatego – kontynuował – musimy pokazać mu coś, co go przekona, że sprawa jest słuszna, że to w interesie was obu.

– Czyli co? – zapytałem, skubiąc skórki wokół paznokci, bo Mariusz zabrał mi

wszystkie gadzety.

– Czyli powiemy mu, że chciałbyś zacząć pracować. A wtedy co? Nie będziesz już potrzebował jego kasy! Ha! – zawołał, a ja się skrzywiłem.

– Bez sensu. Miałbym zacząć pracować? Ale po co?

I to jest jego genialny plan?! A gdzie obopólne korzyści? Ktoś tu zapomniał o mnie. Poza tym jak na razie wychodzi, że Stan przejmuje mój spadek, a ja mam na głowie nowy problem – pracę, o zgrozo.

– Nie miotaj się, tylko słuchaj do końca – przerwał moje rozważania Mario. – Dodamy, że do harówki potrzebujesz samochodu. Rozumiesz? Samochodu, bo twój nowy zawód wymagać będzie przemieszczania. Masz zostać lektorem angielskiego, jeździć od szkoły do firmy i na korki do maturzystów. Gablota jest nieodzowna.

– Gablota jest nieodzowna – powtórzyłem jak mantrę.

Ten facet czytał w myślach, czym zaskarbił sobie moje względy. Nie pierwszy raz i nie ostatni. Poweselałem, on też. Podnieśliśmy równocześnie kufle i wznieśliśmy toast.

– Za wymyśloną furę! – powiedział, a ja zauważyłem w duchu, że w tej sprawie Mariusz się rozczaruje. Fura stanie się jak najbardziej rzeczywista, gdy podjadę nią pod jego blok. Jak mówiłem, samochód nie musi być wyjątkowy, cztery kółka, najlepiej kabriolet. *Corvette*?

– I niby wystarczy na usunięcie dziury i na moje wydatki specjalne? – spytałem. – Brzmi obiecująco, ale jest pewien problem. Kto napisze biznesplan?

– O to się nie martw, przyjacielu. – Trzepnął mnie w ramię, gdy zabierałem ze stolika telefon i klucze. – Jest pomysł. Ja go napiszę!

Znieruchomiałem. Nie wiedziałem, czy go uściskać, obiecać mu setki dziewic w raju, czy dalej powolnie zbierać się do domu. Wybrałem opcję trzecią.

– E tam, nie dasz rady.

– Ja nie dam? – Wytrzeszczył gały. – To żaden problem. Przygotuję projekt, a jutro pojedziemy na imprezę do studentów prawa i oni nam go doszlifują.

– A co takiego mają w sobie studenci prawa, że ich cyzelunek zagwarantuje sukces? – zapytałem niczym Niewierny Tomasz.

– Siłę argumentacji!

Zabrzmiało to zabawnie, choć przyznam, że miało ręce i nogi.

– W porządku, spróbujmy. Gdzie ta impreza?

– W Milanówku.

– W Milanówku?! Na drugim końcu świata!

– Widzisz, Macieju. Gdybyś miał samochód...

– Nie kończ. – Wstałem, wcisnąłem klucze i telefon do kieszeni i skierowałem się do wyjścia. – Widzimy się jutro. A, i zapłać rachunek. Nie zdążyłem wziąć kasy z bankomatu.

Nacisnąłem kławkę lewą dłonią. Spojrzałem na plastry i wspomniałem wczorajszą przygodę, jednak było za późno, by zawrócić i opowiedzieć kumplowi, przez co przeszedłem. Niesiony na skrzydłach niespodziewanego obrotu sprawy, planowałem

wstąpić do salonu Porsche, tak tylko rozejrzeć się w ofercie, ale salon był daleko, skończył mi się bilet miesięczny, więc podjąłem parę groszy z bankomatu, wstąpiłem do KFC, kupiłem twistera i zjadłem go po drodze do domu.

W kuchni obok zlewu wylegiwał się schab, który dawno się rozmroził. Zdążył nawet roztoczyć zapach sklepu mięsnego. Na szczęście czuć było tylko padliną, ale jeszcze nie rozkładem. Stwierdziłem, że do jutra wytrzyma. Miałem ważniejsze sprawy na głowie. Uruchomiłem laptopa, żeby wyszukać połączenie z Milanówkiem. Kiedy je znalazłem, zadzwoniłem do Kingi. Nie odebrała, więc telefonowałem do niej co kilkadziesiąt minut. Ani razu nie uzyskałem połączenia, pewnie miała wyciszony dzwonek.

Makieta

Aby dotrzeć do Milanówka, zdecydowaliśmy się na podróż kolejką WKD. Przekonała nas do siebie ceną biletów. Mariusz, po tym jak zwymyślał przez telefon klienta niezadowolonego z opcji kredytowej – konkretnie dlatego, że nie mógł wstrzymać spłaty na czas pobytu na Malediwach – cierpiał na problemy finansowe. Szef ukarał go obcięciem wynagrodzenia. Ja również, po udzieleniu wsparcia pieniężnego praskiej mikrospołeczności, musiałem zacisnąć pasa. Oczywiście istniały potrzeby, na których nie wypadało oszczędzać, jak na przykład na intensywnie nawilżającym kremie po goleniu o aromacie orchidei, ale Milanówek nie znajdował się na drugiej półkuli, więc kolejka była dobra jak każdy inny środek lokomocji.

Umówiliśmy się na Dworcu Śródmieście – starym i oblepionym sadzą, choć trakcja od dawna była elektryczna, a nie spalinowa. Nawet reklamy na billboardach musiały przebijać się przez warstwy kurzu. Otoczenie miało przyciemnione kontury. Naturalnie przyciemnione, niezależnie od tego, że na zewnątrz powoli zmierzchało. Gdyby ktoś pokazał mi zdjęcie stacji, uznałbym że nałożył jakiś filtr w Photoshopie, jednak widząc ją na żywo, byłem pewien autentyczności. Podróżni sprzeciwiali się kolejowej estetyce. Byli barwni, zadbani i czytający. Każdy przewracał kartki jakiegoś pisma lub powieści, więc i ja przyjrzałem się ofercie rozłożonych na stacji gazet i nabyłem tysiąc krzyżówek panoramicznych. Tym, którzy chcieliby mi zarzucić niegospodarność, przypominam, że w podobnych punktach artykuły sprzedawane są po niższej cenie. Na tor podjechał pociąg o niewygodnych siedzeniach z czerwonego plastiku. Planowany odjazd za dziesięć minut, a ja wciąż nie znalazłem Mariusza. Postanowiłem w związku z tym lepiej się przyjrzeć nielicznym podróżnym, którzy wciąż pozostali na zewnątrz.

Nieopodal stała grupka młodych osób. Młodych, czyli młodszych ode mnie, zatem dwudziestokilkulatków. Dziewczyna trzymała wieszak z różową sukienką. Chyba różową. Gdybym spytał o to właścicielkę, ani chybi naraziłbym się na kazanie, bo kobiety są przewrażliwione na punkcie odcieni. Ja potrafiłem odróżnić jasne od ciemnych. Atrybut drugiej dziewczyny stanowiła miotła na długim kiju, na której wspierała się *à la* czarownica pod seksowną przykrywką. Wiedźma o wyglądzie Nefretete. Towarzyszył im chłopak z długą kitką i w okularach lennonkach, trzymający za uchwyty ogromny i sądząc po grymasie, diablo ciężki kufer. Po krótkich zdaniach zabarwionych podtekstem: „jesteśmy młodzi i przebojowi, a wy stare pryki i tak nas nie rozumiecie”, wywnioskowałem, że to amatorska trupa teatralna na *tourneé* po okolicznych domach kultury. Jechali do Podkowy.

Dziewczyna z miotłą trzymała w drugim ręku gruby plik kartek, z których odczytywała swoją rolę. Pozostali znali teksty na pamięć. Ciekawe, jak wypadnie przedstawienie, skoro czarownica wypowiada długie kwestie, a potrzebuje ściągę. Z drugiej strony takiej bogini

publiczność wiele wybaczy. Mam na myśli jej męską część, która na tego typu imprezach jest reprezentowana w mniejszości. Natychmiast zapragnąłem zmienić cel podróży i zostać krytykiem teatralnym.

Wiedźma co chwilę gubiła kartki. Wydymała usta i przydeptywała suwające się po ziemi fragmenty scenariusza. Koleżanka z sukienką o trudnym do nazwania odcieniu odkładała siatki z pozostałymi rekwizytami i wyjmowała tekst spod jej stóp. Chłopak z kufrem uskarżał się na ograniczone możliwości manewru. Mógł co najwyżej wskazywać brodą te kartki, które zbłądziły do zakamarków stacji. Pomagali niektórzy pasażerowie, do ostatniej chwili korzystający z przesiąkniętego wilgocią powietrza, które chyba uważali za świeże. Głównie jednak zaczytywali się w magazynach o modzie i bestsellerach w twardych okładkach. Przy ławce na końcu peronu zauważyłem faceta trzymającego oburącz, jak tacę, makietę o wymiarach na oko metr na metr. Ścisłej mówiąc, zauważyłem Mariusza.

Wyminąłem niedobitków, którzy jeszcze nie zajęli miejsc w pociągu, uświadamiając sobie, że jeśli za moment nie wejdziemy do wagonu, to skład odjedzie bez nas. Dotarłem do Mariusza i zrezygnowawszy z uścisku dłoni, bo obie miał zajęte, zadałem pierwsze pytanie, jakie cisnęło mi się na usta. Mianowicie dlaczego zabrał na imprezę tekturę zamiast bardziej odpowiedniego do okoliczności pół litra. Stwierdziłem, że możemy przez to wyjść na dziwaków.

– To do naszego projektu, kołku – odparł, jak gdybym spytał, dlaczego Znicz Pruszków przegrał z Realem Madryt, po czym dodał, że bym o wódkę się nie martwił. Na miejscu coś znajdziemy.

Wbił przednią krawędź makiety w mój brzuch i zaczął mnie popychać w kierunku pociągu. Szedłem tyłem, z nadzieją, że nie wyląduję na torach. Przemieszczaliśmy się powoli, choć czas naglił niemiłosiernie. Nie miałem jednak możliwości odwrotu, więc idąc rakiem, przyjrzałem się makiecie.

Mariusz oznajmił, że spędził nad nią całą noc. Nigdy nie widziałem, żeby amator tak wiernie odtworzył obraz wiejskiej szosy. Punktem centralnym drogi w miniaturze była jezdnia dwukierunkowa o nieoznaczonych pasach ruchu. Korony drzew wykonanych z gałązek poowijane zostały watą, co sugerowało, że na makiecie panowała zima. Asfalt nie był po zimowemu biały, więc albo Mariuszowi zabrakło farby, albo przed chwilą przejechał tamtędy pług śnieżny. W nawierzchni zauważyłem szereg wyrw, odzwierciedlających kiepski stan dróg w Polsce. Mariusz musiał użyć do tego celu jakiegoś przyrządu szarpiącego, może szydełka, choć byłoby ono tak nieprawdopodobnym instrumentem w jego skrzynce na narzędzia, że odrzuciłem tę koncepcję. Poprzyklepiany tu i ówdzie żwirkiem imitował nieusunięte kawałki asfaltu. Od razu postanowiłem nigdy nie jechać taką drogą. Wzdłuż jezdni mój przyjaciel poprzyklejał zmięte kawałki gazety, które naśladowały porzucone w rowie odpady naturalne oraz żelki Haribo imitujące odpady sztuczne. W okolicy pobudowano tylko jeden dom, którego właściciel nazywał się Wojas. Informowała o tym tylna ściana budynku. Szosą przejeżdżało samotne auto, choć sądząc po

wbitym z przodu patyku przypominającym lufę, równie dobrze mógł to być czołg.

Znajdowaliśmy się już o krok od wejścia do wagonu, co wydedukowałem, usłyszawszy stłumiony harmider i poczuwszy ciepło w okolicy kostek, gdy Mariusz się odezwał:

– Plan jest taki: pokażesz Stanowi, że w Polsce są kiepskie drogi, i musi ci dać pieniądze na wózek terenowy, bo inaczej zrobisz sobie krzywdę.

– Ha, ha, ha, dobre. A po co ten patyk? – powiedziałem, wskazując na lufę.

– To antena od CB radia, kierowca jest na radjku.

– Antena w odwrotną stronę?

– Jakiś ty, kurde, mądry! Sam byś to lepiej zrobił? – warknął, a ja zacząłem przeproszać gestami grupę podróżnych, którzy właśnie wskakiwali do pociągu.

– Ja bym tego w ogóle nie robił. Na cholerę zabieramy to na imprezę? – zapytałem ściszym głosem, ale Mariusz mnie wyminął, zahaczając niby to przypadkiem ramieniem o moje ramię, i wszedł do kolejki.

Spojrzałem za nim, jak manewruje w drzwiach, jak roztrąca pasażerów, którzy karcą go wzrokiem dopiero, gdy się nieco oddali, i pomyślałem o swoich krzyżówkach.

Podziękowałem długopisowi za to, że zabrałem go ze sobą z domu. Ja, on i tysiąc panoramicznych stworzymy doskonałe trio na przeciwległym niż Mariusz końcu pociągu. Nim jednak dopracowałem szczegóły planu, rozległ się sygnał odjazdu. Rzuciłem się do tego samego wejścia, z którego przed chwilą skorzystał Mariusz.

Ten zaś rozłożył się na siedzeniach ustawionych tyłem do okna, w okolicy przejścia do sąsiedniego wagonu. Nie były to jedyne wolne miejsca, ale nie mógł skorzystać z żadnej z dwuosobowych plastikowych kanap, które przeważały liczebnie, bo makieta zajmowała większą przestrzeń. Mariuszowi widać zależało, by i ona podróżowała w wygodzie. Przywołał mnie gestem i wskazał miejsce obok siebie, a dokładnie pod modelem jezdnii. Zrezygnowany ruszyłem w jego stronę. Gdyby wagon był teatrem, ta jego część nazywałaby się rekwizytornią lub garderobą. Naprzeciw Mariusza siedzieli bowiem chłopak z kufrem, Nefretete z miotłą i dziewczyna z sukienką. Strój zawisł teraz na drzwiach łączących wagony, a dziewczyna siedziała przygnieciona siatkami. Nie wyglądała na zadowoloną. Drzwi między wagonami nie chciały się zatrzasnąć, przez co cierpiały kolana seksownej wiedźmy. Jej kolega odstawił na podłogę kufer i bezskutecznie próbował rozwiązać problem. W końcu wrócił na miejsce.

– Siadaj, stary. Przed nami godzina drogi – zachęcił mnie Mariusz, uchylając makiety jak sklepowa wpuszczająca kumoszkę za ladę.

Usiadłem. Ulica wylądowała na moich kolanach. Czułem się jak w wagoniku kolejki górskiej z dociśniętymi zabezpieczeniami. Wagonik ruszył. Musiałem pogodzić się z faktem, że nie opuszczę tego miejsca, dopóki podróż nie dobiegnie końca. Uroczyście pożegnałem długopis i krzyżówki, z których nie mógłbym skorzystać, nie niszcząc makiety, a to nie przypadłoby Mariuszowi do gustu. Zostałem świadkiem próby generalnej.

Trójka młodych aktorów przerzucała się kwestiami ze starego dramatu. Od pierwszej chwili wiedziałem, że odgrywają *Króla Leara*. Nie pisałem jednak ani słowa. W kręgach,

w jakich się obracam, znajomość sztuk Szekspira nie dodaje punktów do siły. Raczej dostaje się w takiej sytuacji w mordę i nie tylko za studiowanie czy wałkowanie Szekspira, lecz także za znajomość rosyjskiego, hiszpańskiego, obyczajów towarzyskich, zasad nakrywania do stołu oraz za dar pisania kwiecistych listów. Wszystkie te umiejętności wyssałem z mlekiem matki, a konkretnie z jej arystokratycznym pochodzeniem. W bursie ciągnęło się to za mną jak smród z kibla na stacji PKP. Ale potem, gdy skończyłem studia, zapakowałem cały ten *savoir vivre* w karton i nadałem na fikcyjny adres w Islandii. Stałem się Maćkiem, kumplem Mario, i to mi odpowiadało.

– Co za cholera! – zakląłem donośnie, żeby utwierdzić się w tym przekonaniu.

Przydepnąłem kolejną kartkę. Chłopak, który uwolnił się od kufra, chciał ją wyciągnąć spod mojego buta. Trochę się pomocowaliśmy. Nie na tyle jednak, żeby rozerwać kartkę. Puściłem, a on poleciał do tyłu. Nefretete zarżała ze śmiechu. W rewanzu wystawioną nogą podtrzymałem drzwi. Ucieszona dziewczyna przekreśliła lufę czołgu na makiecie. Teraz faktycznie przypominała antenę radia CB. Podziękowałem, a chłopak odpowiedział:

– Szerokości, bajo. – I uderzył w drzwi, po czym wcisnął w szparę zgiętą paczkę papierosów. Zdziałało. Uwolnił dziewczynę od problemu, popisując się rycerskim gestem. Mnie pozostało słuchać, jak Mariusz cedzi mi do ucha, że tamci naprzeciwko pierdolą koszałki-opałki. Cóż, sam sobie wybrałem Super Mario na przyjaciela.

Dzieciństwo

W Milanówku poczułem się, jakbym wrócił w rodzinne strony. Prawie nie odwiedzałem Obierca, odkąd dziadek wysłał mnie do warszawskiego liceum z internatem. Zajrzałem tam tylko dwa razy, najpierw na pogrzeb dziadka, a po pół roku – babci. Teraz, gdy wędrowaliśmy ulicami Milanówka, te domy, cisza, ptaki, lasy, zadbane podwórka, przycięte krzewy i niewielu pieszych skojarzyło mi się z czasami, gdy sam mieszkałem w domu, częściej niż samochody widywałem sarny, a po szkole siedziałem z Piotrkim w leśnej bazie. Każdy w moim pokoleniu miał bazę i każdy chciał w niej pełnić ważną funkcję. Nawet dziewczyny. Można powiedzieć, że bawiliśmy się w harcerzy-amatorów. Ale ja i Piotrek mieliśmy bazę prywatną, dla nas dwóch, wyjątkową, bo zrobiliśmy z dykty dach. Tylko my z całego osiedla nie musieliśmy uciekać z bazy podczas deszczu.

Organizowaliśmy sprawdziany dla nowych rekrutów ze świadomością, że i tak nikogo nie przyjmujemy. Rywalizowaliśmy o to, który z nas wymyśli najtrudniejszy test, sprawdzian nie do zaliczenia. Taką funkcję pełniła próba na bagnach. Sami nie mieliśmy odwagi przejść przez ciemny, podmokły las, gdzie z dna trzęsawiska wystawały zbutwiałe, porośnięte mchem konary powalonych drzew, rzęsa i inne zielska dryfowały po powierzchni wody, na której pękały bąbelki wypuszczane przez ukryte w toni żyjątko. Jednak dopóki nikt nie wiedział, że również oblalibyśmy sprawdzian, nasze stanowiska kapitana i majora były nie do ruszenia. Jeden wyszczekany dzieciak podał raz w wątpliwość nasze męstwo, stwierdzając, że chciałby zobaczyć, jak sami idziemy przez bagna. Stanęliśmy wówczas przed dylematem. Co zrobić, by nie utracić opinii nieugiętych koleś? zaproponowałem Piotrkowi, żebyśmy przyjęli pyskacza na specjalnych warunkach. Niech przyrzeknie, że nikt się nie dowie o naszym tchórzostwie i to załatwi sprawę, ale Piotrek powiedział:

– Stul dziób!

I przyłożył mi kijem po głowie. W rezultacie pozbyliśmy się rekruta, straciliśmy poważanie w okolicy, a ja zyskałem na czole szramę, którą po dziś dzień staram się z marnym skutkiem przykrywać grzywką. Moje niesforne włosy wykręcają się na wszystkie strony i odsłaniają bliznę. Ale co tam, wyglądam jak weteran.

Po Obiercu pałętało się wiele dzieciaków żołnierzy. Mieszkali tam ze swoimi wojskowymi rodzinami, a po drugiej stronie lasu, za zalewem, znajdowała się jednostka. Zazdrościłem chłopakom, że ich starzy chodzą w mundurach, bo mój ojciec również pracował w jednostce, ale jako cywil, więc niedane mi było przymierzyć kamaszy ani furazerki, o dotknięciu kabury prawdziwego pistoletu nie wspominając.

I tak najbardziej upokorzony czułem się w czasach, gdy słuchałem muzyki grunge i postanowiłem się z nią identyfikować strojem. Koszula w czerwonej kratę, naszywki jak krowie łaty, przetarte na kolanach dzinsy i za duże glany stanowiły strój obowiązkowy.

Spałbym w tym stroju, gdyby mniej śmierdział. Nosilem go dzień w dzień. Dopiero z czasem skompletowałem kilka zestawów na zmianę. Na spotkanie ze Stanem w hotelu Victoria założyłem na przykład zestaw numer pięć bis. Bis, bo stanowił nawiązanie do jednego z poprzednich kompletów, który się niestety rozszedł w praniu. Jednak jeszcze przed spotkaniem, wiele lat wcześniej, kiedy nie śniłem nawet, że zamieszkać w stolicy, pragnąłem zdobyć ostatni element układanki, jak Monika Olejnik postawić kropkę nad i – musiałem kupić plecak kostkę.

Nikt nie wie, jakim frajerem się czułem, gdy wręczałem gotówkę blondynce z kartoflanym nosem, która kostkę dostała za darmo, bo była córką pilota. Handlowała różnymi wojskowymi akcesoriami, gланami i kurtkami też. Zbijała majątek na towarach, za które nie musiała płacić. Mnie kosztowały zasuwanie na plantacji aronii, a dokładnie w dusznej stodole, bo pełniłem funkcję przystojnego małolata, który ciął łądygi na sadzonki. Zarobione pieniądze i tak nie wystarczyły na plecak. Musiałem się zapożyczyć. Dziadkowie skąpili na wszystko, a rodzice... Cóż, czego oczekiwać od ludzi mieszkających w oborze? W naszym gniazdku się nie przelewało. Żeby chociaż obora do nas należała. Nie, skąd. Zawdzięczaliśmy ją dziadkowi, który przerobił lokum dla krów na lokum dla ludzi. Wyremontował i powiedział:

– A teraz mieszkać i się ode mnie odczepcie.

Zawsze oszczędny Tadeusz Borowski. Żywy kalkulator, niezrównany w meandrach ekonomii.

– Nie należy ci się nic, na co sobie nie zapracujesz. Powiedz to swojemu ojcu – rzekł do mnie.

– Dzięki, dziadku. Naprawdę nie musisz codziennie powtarzać, za co masz pretensje do mojej mamy i do mojego taty. Już dawno zrozumiałem lekcję.

Dziadkowi rzęda mina w takich momentach. Odwracał się bez słowa i odchodził. Teraz wiem, że byłem dla niego niesprawiedliwy. Kochał mnie. Okazywał to na swój nietypowy sposób, nie nazywając uczuć po imieniu. Należał do starej szkoły. Szkoły zaskakujących pozytywnych gestów, z którymi się nie afiszował, których nie komentował, ale które potrafiły wprawić w osłupienie. Jednak przekonałem się o tym dopiero po latach. Dziadek już nie żył, kiedy zadzwonił Stanisław Borowski z Ameryki i powiedział, że Tadeusz przygotował dla mnie dożywotnie wynagrodzenie. Wspominałem już o tym. Jednak w czasach polowania na plecak nie byłem świadomy, co dla mnie szykuje; byłem młody, potrzebujący i miałem podstawy, by uważać go za wzorcowego sknerę. Pomijając skąpstwo, przyznam, że zawdzięczałem mu barwne historie. Miał w zwyczaju wychodzić na ganek, rozglądać się po podwórzu i, jeśli nie wypatrzył mojego ojca, przywoływać mnie gestem, sadzać na drewnianym zydlu i snuć opowieści. Dotyczyły one czasów powojennych i bardzo często wykradania jabłek z sadu. Początkowo nie miałem pojęcia, dlaczego przywiązywał tyle wagi do owoców.

– Nie mieliśmy własnych jabłoni – powiedział pewnego razu – więc przeskakiwałem przez ogrodzenie do sąsiadów i zbierałem jabłka do koszuli. Nie musiałem się specjalnie

ukrywać. W tamtych czasach nie było tu jeszcze bloków, za to całą okolicę porastały drzewa owocowe. Teraz nie ma już nic.

– Jest – zaoponowałem – jabłoń na skraju lasu, którą sam posadziłeś.

– Owszem – wypełnił płuca powietrzem po brzegi i przysunął się do mnie na znak, że teraz powie coś ważnego – ale tego drzewa nie posadziłem dla owoców. Nie wolno go ruszać, jest bardzo ważne. Pamiętaj, Macieju, żeby nigdy nie ściąć jabłoni na skraju lasu.

W takich rzadkich chwilach – tylko my dwaj, sekrety, przygoda, ja i mój własny Gandalf – odnosiłem wrażenie, że traktuje mnie jak równego sobie mężczyznę. Nie słyszałem, by komuś innemu wspominał o jabłoni. Czułem, że powierza mi wielką tajemnicę, tylko jeszcze nie nadszedł moment na wyjaśnienie szczegółów.

Opowiadał też o późniejszych czasach, o mamie. Uspokajał się wtedy. Wspomnienia dotyczące córki, kiedy nie miała jeszcze dwudziestu lat, nastrojały go pozytywnie. Rzucił anegdotami, wesołymi scenkami z życia. Mama była pyskata i rozrabiała. Nie spodziewałem się tego po niej. Upierałem się, że mama, którą ja znam, to kobieta spokojna i milcząca. Dziadek odpowiadał, że kiedyś była inna, lecz zaraz w opowieści docierał do momentu jej spotkania z ojcem i zapominał, że rozmawia z niedorosłym wnuczkiem. Przerywał wspomnienia gradem wulgaryzmów, zrywał się z ganku, zatrząskiwał za sobą drzwi dworku, a ja, skołowany, wracałem do obory. W głowie miałem strzępy myśli, które nie chciały się połączyć w sensowną całość. Siadałem w kącie pokoju, zastanawiając się nad zachowaniem dziadka i jedyne, czego byłem pewien, to że tak samo kochałem jego, babcię, mamę i tatę i nie wiedziałem, dlaczego to nie wystarcza, żeby i oni kochali siebie nawzajem.

Zmieniło się to z chwilą, gdy moi rodzice popadli w swego rodzaju katatonię i skupili się wyłącznie na swojej chałupniczej pracy, a dziadek wysłał mnie do Warszawy, jakby nie chciał, żebym był świadkiem tego, co się działo. Szkoda, że nie zapytał mnie o zdanie. Może wolałem uczestniczyć choćby w najgorszych przedstawieniach. Może zniósłbym rodzinne dramaty dużo lepiej, niż mu się wydawało. Nie wiem, nie raczył mi powiedzieć, na czym te problemy polegały. Wiem tylko, że powinien był się ze mną rozmówić.

Rozłąka sprawiła, że dziadek stał się dla mnie siwym bajaranem za górami, za lasami, a babcia elegancką panią, która częstowała dziecko kompotem z truskawek, nikim więcej. Aż zmienili się we wspomnienia na rogatek umysłu, przysłonięte woalem spraw bieżących. Miesiące, lata w internacie mijały, a ja powoli wyrzucałem ich z pamięci. Gdy ktoś pytał mnie o mamę, odpowiadałem obojętnie, jakbym czytał na głos jej CV. Nauczycielka angielskiego w wiejskiej szkole podstawowej, wychowawczyni mojej klasy, dbała, żeby inne dzieci nie dokuczały mi za to, czyim jestem synem. Stawiała mi kiepskie oceny, choć zasługiwałem na lepsze. Dlaczego tak uważam? Otóż mama rozmawiała ze mną w domu po angielsku. Byłem najlepszy w klasie, ale wiedzieliśmy o tym tylko ja i ona.

Dalej w CV czytamy, że mama znała język doskonale, gdyż spędziła trochę czasu u rodziny na Florydzie, potem wyjechała z tatą do Afryki, gdzie budowali przytułki dla nędzarzy. Udzielali się na różne sposoby. Z tego, co słyszałem od dziadka, poczynili wiele

chybionych inwestycji, ale to wszystko, co wiedziałem. W dworku ich pobyt na Czarnym Łądzie uważano za temat tabu.

Mama mówiła też biegle po francusku, co zawdzięczała staromodnemu wychowaniu. Potrafiła tkać kobierce – wielopokoleniową specjalność rodziny. W wakacje, nim zacząłem ostatnią klasę podstawówki, nagle postanowiła rzucić pracę w szkole. Stwierdziła, że odtąd będzie już tylko tkać. Zrobiła się taka jak ojciec, który wcześniej niż ona rzucił pracę, żeby zostać rzeźbiarzem plemiennych potworków. Rzeźb, którymi można straszyć dzieci. Moi rodzice stali się dwojgiem milczących osób, żyjących razem, ale osobno. Każdy w swoim świecie – szkoda, że w obu zabrakło dla mnie miejsca. Patrząc na nich, bo rozmowy rzadko wchodziły w grę, miałem wrażenie, że to roboty zaprogramowane na wykonywanie bezmyślnych czynności.

Zmarkotniałem. Oto wybieram się na imprezę, czeka zabawa i alkohol, a ja akurat teraz muszę rozpamiętywać rodzinne klęski. Popadłem w nastrój grabarza. Stwierdziłem, że to ostatnia chwila, żeby pomyśleć o czymś wesołym, wykorzystać technikę sterowania samopoczuciem, ale do głowy przyszedł mi jedynie mało śmieszny dowcip o babie u lekarza. To nie działa – pomyślałem. Wtedy nagle Mariusz pociągnął mnie za kaptur. Zahamowałem gwałtownie. Kaptur nie oderwał się od bluzy, lecz ja od rodzinnych wspomnień owszem.

– Jesteśmy na miejscu, cieciu – powiedział i wcisnął mi makietę, żeby uwolnić ręce. Podszedł do furtki z brązowych listewek i nacisnął dzwonek. Rozległ się brzęczyk domofonu. Mariusz otworzył i wszedł pierwszy. Potem ja, przekręcając makietę na bok, ruszyłem zadbaną ścieżką z kostki brukowej ułożonej w szachownicę. Musiałem uważać, żeby nie upuścić domu ani czołgu. Wyprostowałem model ulicy, uświadamiając sobie, że wciąż nie ustaliłem, dlaczego wzięliśmy go ze sobą na imprezę.

Mecenas

– Po co przytargaliśmy tutaj makietę? – spytałem, podczas gdy Mariusz witał się z jakimiś ludźmi w korytarzu, których ja widziałem po raz pierwszy w życiu.

Mój kumpel wyglądał, jakby znał tu wszystkich, co mnie zaskoczyło. Nie słyszałem, żeby Mariusz studiował prawo, gdzie mógłby zawrzeć stosowne znajomości, ani tym bardziej, by obracał się w prawniczych kręgach. Kiedy jednak rozejrzałem się po salonie, stwierdziłem, że studenci prawa niczym nie różnią się od studentów czegokolwiek innego, zwłaszcza jeśli chodzi o picie piwa, gwałtowne reagowanie na zaczepki, poruszanie się stylem trafionego bombowca i zaleganie wokół stołu z alkoholem w pozycji nie tylko pionowej, ale i horyzontalnej. A to był dopiero początek imprezy.

Poczułem się trochę staro, nikt jednak nie zwracał na mnie uwagi. Wciągnąłem brzuch i zsunąłem spodnie kilka centymetrów w dół, żeby wyglądać na wyluzowanego. Postanowiłem wtopić się w tłum. Musiałem się tylko pozbyć tekturowego balastu. Uczyniłem to, wciskając go Mariuszowi, i po raz kolejny zapytałem, po co go zabraliśmy.

– Rany, głąbie! Po co? Poca to się nogi nocą. – Wszedł do salonu i rozejrzał się dookoła. – Po to, żeby go prawnicy obejrzel i wydali opinię.

– W jakiej sprawie? – Zatrzymałem się obok niego.

– W sprawie pod tytułem, ile dziur potrzeba w drodze, żeby twój wujaszek sypnął większym groszem na ubezpieczenie.

– I dlatego przytargaliśmy tutaj całą wieś w miniaturze? Nie wystarczy opisać? – Kopnąłem pod ścianę plastikowy kubek, żeby Mariusz się o niego nie potknął.

– Opisać? A ty nie znasz prawników? Żeby wydali opinię, musisz im pokazać namacalne dowody. – Uskoczył przed chłopakiem z warkoczykiem na brodzie, który się przetaczał w stronę toalety. – Idź lepiej, przynieś nam po lufie, a ja poszukam rzeczoznawców, z którymi jestem umówiony.

Poszedłem, stwierdziwszy, że to doskonały pomysł. Wyobraziłem sobie, jak odbijam pół litra i polewam przypadkowym przechodniom uważającym mnie za fajnego gościa, który rozkręca imprezę. Mariusza odbierają za to jako faceta, który nie może usiąść z powodu nietypowych gabarytów. Spędzi tak pod ścianą parę godzin i otrzyma indiańskie imię Ten, Który Dzierży Wioskę.

Wyminąłem faceta z plastikową szablą. Mierzył nią w ofiarę leżącą na dywanie i wygłaszał jakiś średniowieczny tekst. Poległy bohater sceny batalistycznej trzymał się za bok, udając tamowanie krwi z rany zadanej orężem. Z tego, co kojarzę, człowiek ugodzony krwawi, ten zaś broczył wokoło żółtym płynem z kubka, którym zasłaniał się przy okazji jak tarczą. Plastikowy kubek był zresztą atrybutem większości biesiadników. Zawierał ciecz w kolorach jesieni. Część mężczyzn raczyła się płynem przezroczystym, a część bursztynowym. Znałem właściwości obu.

Goście domu, całkiem okazałego, dwa piętra z suteroną, wykorzystywali każdy centymetr kwadratowy do stania, siedzenia, chwiania się lub leżenia. Stałem w kolejce do stolika z alkoholem i kontynuowałem rekonesans. Na kanapie siedział facet – jedyny biesiadnik w garniturze i krawacie. Muskał trzema palcami – bo trzymał to zbyt mocne określenie – kieliszek na wysokiej nóżce, wypełniony czerwonym winem na dwa centymetry. On nie przyszedł tu się nawalić. Nie takim trunkiem, nie z takiego naczynia i nie taką ilością.

Po co więc tu przyszedł? – zastanawiałem się, wysunąwszy do przodu rękę, żeby w razie czego zamortyzować upadek stojącego przede mną osobnika. Kołysał się jak Beduin podczas burzy piaskowej. Stwierdziłem, że musi być stałym klientem szynkwasu. Wokół toczyły się rozmowy, którym się nie przysłuchiwałem, ponieważ bardziej ciekawił mnie ten wykrochmalony elegancik na kanapie. W końcu usłyszałem zza pleców:

– Stary, twoja kolej.

Odbiłem więc trzy czwarte wyborowej i wlałem wódkę do dwóch kubków, nie spuszczać wzroku z siedzącego parę metrów dalej krawaciarza, którego na chwilę zasłonił mi Mariusz. Na szczęście mój przyjaciel zaraz odnalazł ludzi, których szukał, i opuścił salon razem z nimi i makietą. Nie wiedziałem, dokąd poszli, bo skorzystali z wyjścia znajdującego się poza zasięgiem mojego wzroku.

Krawaciarz wyglądał jak mecenas, który wpadł na imprezę prosto z sali sądowej. Tak mi się zdawało, gdyż swoją wiedzę na temat mecenasów czerpałem wyłącznie z filmów. Może postanowił wpaść na balangę do studentów, bo szukał młodej krwi, chętnej do parzenia kawy w jego kancelarii. Tutaj mógł przebierać jak w ulęgalkach. O tak, do kawy już znalazł kandydatkę. Właśnie wyszła z toalety i wymijała dwóch facetów pozorujących scenę batalistyczną. Gość skarżący się na rany zadane plastikowym mieczem próbował ją wezwać jako posiłki. Nie wykazała zainteresowania.

Poprawiła przewiązaną paskiem koszulę w kratę, która zakrywała tylko skrawek jej smukłych ud. Klapnęła w zabawny sposób obok mecenasa. Była szczupła, a opadła jak marionetka, której ktoś nagle odciął sznurki. Amant w garniturze otoczył ją ramieniem i wręczył drugi kieliszek z kroplą wina. Tworzyli jedyny w lokalu duet, który trunki spijał ze szklanych naczyń.

Dziewczyna uniosła kieliszek, odgarnęła z twarzy rozpuszczone włosy i spojrzała przed siebie. Traf chciał, że jednocześnie oznaczało to spojrzenie w moim kierunku. W ten sposób zatrzymałem wzrok na Kingdze. A Kinga zatrzymała wzrok na mnie i natychmiast odwróciła się do elegancika.

Bezwiednie uniosłem kubek. Duszką wychyliłem jego przezroczystą zawartość. Potem złapałem drugi, który pierwotnie miał trafić w ręce Mariusza, i zrobiłem z nim to samo. Nalałem trzecią i czwartą porcję. Za dużo, teraz to wiem, ale wówczas nie byłem w stanie tego kontrolować. Gapiłem się przed siebie i lałem, dopóki ktoś nie rąbnął mnie w ramię, mówiąc:

– Człowieku, nie marnuj. – Mariusz skinął na pustą butelkę w moim ręku, a następnie

zalany stół. – Podadzą nas do sądu za taką niegospodarność. Widziałeś faceta z mieczem? Na twoim miejscu uważałbym na niego. – Wskazał na środek pokoju i zatrzęsł się ze śmiechu. Przesunęliśmy się na bok, żeby umożliwić innym dostęp do trunków.

– Widziałem – odpowiedziałem z obojętnością programu komputerowego i rozejrzałem się za kolejną porcją wódki.

– Jak widziałeś, to uważaj. My tu po pomoc przyszliśmy, a nie po baty. – Mariusz uniósł ręce, wytrzeszczył gały i rozdziawił gębę, udając przerażenie.

– Zobacz lepiej, kto tam siedzi. – Wycelowałem palec w stronę kanapy, ignorując jego wygłupy. Chwyciłem ze stołu przelany kubek i zbliżyłem go do ust.

– Hola, hola. – Mariusz złapał mnie za ramię i wyjął wódkę z dłoni. – Nie za dużo naraz? Zobacz – uniósł pełen kubek i przystawił mi do nosa – oto czynnik wymiotny, zwłaszcza przy takim tempie. Teraz spójrz przed siebie. – Przekreślił mnie w kierunku Kingi. – Słyszałeś, że historia lubi się powtarzać? Kinga, wymioty. Tak bardzo tego pragniesz?

– Nie – odparłem z powagą. – Pragnę zapalić.

– Przecież ty nie palisz.

– Ale ty owszem i jako mój najlepszy kumpel pójdziesz teraz ze mną na balkon na fajkę.

Zgodził się. Ruszyliśmy w stronę balkonu. Po drodze Mario oznajmił, że studenci czwartego roku już pracują nad makietą. Opinię uzyskamy w trybie pilnym. Studenci obawiają się bowiem, że gdyby przeciągnęli sprawę, okoliczności imprezy mogłyby źle wpłynąć na czytelność ich argumentacji. Zbyt często donoszono im piwo, żeby długo wytrzymali w trzeźwości.

Weszliśmy na szeroki taras, na którym można było ustawić sporą liczbę leżaków, ale – widocznie w obawie przed zniszczeniem – złożono je w kącie jeden na drugim. Mariusz poczęstował mnie L&M-em, którego nie przyjąłem. Faktycznie nie paliłem i nie zamierzałem tego zmieniać. Obaj wiedzieliśmy, że stoimy w tym miejscu z innego powodu. Mariusz zaciągnął się papierosem, a ja zacząłem zdrapywać ptasie gówno z balustrady. Liczyłem, że całą imprezę spędzę na tej robocie. Białoszare kupy schodziły jednak bez trudu. Świeże, krótko zalegały. Dbali tu o czystość. Wytarłem paznokcie o chusteczkę. Za chwilę jednak wróciłem do zdrapywania. Uspokajało mnie. Mariusz zajął się czytaniem esemesów. Zainteresował się mną dopiero, gdy odpisał na wszystkie wiadomości i papieros zaczął zlepić mu palce.

– Stary, co ty robisz? – spytał, wygaszając peta na poręczu.

– Sprzątam, a ty, jak widzę, masz to w poważaniu – wyjaśniłem, zgarniając palcem popiół z barierki.

– Ja brudzę, a ty bredzisz. Mam teraz zapytać, czy coś ci dolega?

– Odczep się.

– Okej, to wracam na imprezę. – Odwrócił się i zostawił mnie sam na sam z myślami. Zanim przymknął drzwi, wpuścił na balkon grupkę facetów. Jeden z nich ubrany był w garnitur. W prawej dłoni trzymał kieliszek na wysokiej nóżce.

Kolesie zignorowali moją obecność i zaczęli poruszać tematy, na których się nie znałem. Dwóch członków ekipy było barczystych i kanciastych, przypominali mi Terminatorów. Ten o szerszym torsie wyglądał jak T-800, którego grał Schwarzenegger, a ten smuklejszy, taki bardziej oślizły, podszywał się pod T-1000. Zadawali mecenasowi masę ważnych pytań. Ich zdaniem ważnych, mnie interesowały tyle, co stan wody na Narwi. Otoczyli elegancika i ciągnęli przesłuchanie, chociaż nie wyglądali, jakby chcieli go sprzątnąć. Pod tym względem nie zachowywali się jak Terminatorzy. To mecenas stał najwyżej w hierarchii. Potakiwali, emocjonowali się jego uwagami, jakby prostował na ich oczach koło. Spijali jego słowa jak starą szkocką.

– No, no, Andrzej – powiedział T-1000. – Własna kancelaria przy rondzie ONZ. Kasy masz pewnie jak lodu.

– Nie narzekam – odparł mecenasik i wyciągnął pusty kieliszek w stronę czwartego kolesia, który stał najbliżej mnie i się nie odzywał. Typ dyskretnego kelnera, zawsze gotowy do usług, choć zasadniczo niewidoczny. Uniósł trzymaną butelkę i wlał resztę wina mecenasowi. Może był członkiem obsługi imprezy.

– A ile osób zatrudniasz? – zapytał T-800.

– Za mało, przyjacielu. Za mało – odparł elegant, teatralnie wypuszczając powietrze. Mimochodem wygładził klapę marynarki. Wypił wino i skinieniem głowy wskazał kelnerowi drzwi balkonowe. Tamten rzucił okiem na pustą butelkę i bez słowa udał się do salonu.

– Nieźle, stary – stwierdził T-1000, podążając wzrokiem za kelnerem. – Masz asystenta.

Cała trójka zaniósła się śmiechem. Byli tacy ą-ę, jak fanfarony z *country clubu*.

– Nie – odparł mecenas z powagą. – Ten typ kręci się koło mnie od początku imprezy. Nawet nie wiem, kto to jest. Chyba ma nadzieję, że go zatrudnię.

Kolejny zbiorowy wybuch śmiechu. Przyszedł mi do głowy taki obrazek: przyjaciele ze śmietanki towarzyskiej stoją na tarasie, a żony w natapirowanych włosach, jaśniejące blaskiem implantów zębowych, machają do mężów z okolic kortu tenisowego, na którym ćwiczą bekhend pod okiem prywatnego trenera. Wszystkie oczywiście w strojach Lacoste z najnowszej kolekcji. Tak to sobie wyobraziłem.

– Co stoi na przeszkodzie? Widać, że dobrze się spisuje – zauważył T-1000, wskazując na drzwi, do których właśnie podchodził cichy kelner z nową butelką wina.

– Ja szukam asystentki – oznajmił mecenasik, ściskając niewidzialne grejpfruty na wysokości klatki piersiowej. Uśmiechnął się i demonstracyjnie podsunął kelnerowi kieliszek. Tamtemu zadrżała ręka. – Uważaj! – warknął krawaciarz, otrzepując zalany rękaw. – Kurza twarz, mój Armani! Daj mi to. – Wyrwał cichemu butelkę i odstawił ją na parapet. – Wypad.

Lokaj zamruczał coś pod nosem i wbił wzrok w podłogę.

– No już, migiem – usłyszał na pożegnanie, więc milcząco skierował się do drzwi i zniknął wewnątrz budynku.

– Jaki matoł! – odezwał się T-800, wymierzając udawanego kopniaka w przestrzeń, którą przed chwilą zajmował kelner. – Co on mamrotał?

Wal się, tępą łajzo – chciałem podpowiedzieć, bo w mojej okolicy słowa lokaja słychać było doskonale. Milczałem jednak, żeby nie przerywać interesującej rozmowy.

– Andrzej, ty chyba już masz kandydatkę na asystentkę. – T-1000 zaśmiał się i zaczął naśladować odrzucanie długich włosów z twarzy. Tamten wiedział, o kogo chodzi. Wszyscy wiedzieli, łącznie ze mną.

– Chodzi ci o pannę bez spódnicy? – zapytał retorycznie mecenas. – Fakt, niezłe nogi, ale proces rekrutacji jeszcze się nie zakończył.

– Rekrutacja na imprezie? – T-1000 zarżał jak koń na widok świeżego siana.

– Sprawdzam, czy jest dyspozycyjna, posiedzę tu z nią trochę. Póki co, zapowiada się obiecująco. – Obliznął się jak krowa, na co jeden z Terminatorów zagwizdał przeciągle. Mecenas się uśmiechnął, jednak po chwili zgasł i podrapał się po rzednących włosach. – Tylko głos gówniany.

Tamci pokiwali głowami ze zrozumieniem. Elegant wyciągnął rękę w stronę butelki, bo teraz sam się musiał obsługiwać, jednak w tym momencie zadzwoniła jego komórka. Zrezygnował z wina i odebrał telefon.

– Tak, bąbelku? – rzucił do słuchawki. Pogrzebał w lewej kieszeni i wyciągnął z niej obrączkę. Obrócił się tyłem do kolegów i włożył biżuterię na palec.

Ruszyłem z miejsca. Przeszedłem obok mecenasa na tyle blisko, żeby ramieniem zahaczyć o jego ramię. Udało mi się to zrobić całkiem mocno. Wziąłem z parapetu butelkę i opuściłem balkon. Wahałem się, czy ich nie zamknąć, ale górę wzięła moja humanitarna strona. Odpuściłem, kierując swoje kroki do znanego już stolika z alkoholem. Znów musiałem się napić, ale czerwone wino nie było odpowiednim trunkiem. Potrzebowałem czegoś mocniejszego.

Gdyby ktokolwiek obserwował mnie z boku, uznałby, że w stronę zaimprovizowanego barku ciągnie mnie jakaś niewidzialna siła. Szedłem do niego jak najkrótszą drogą, automatycznie, omijając wszelkie przeszkody. Jednak na ostatniej prostej zwróciły na mnie uwagę dwie dziewczyny. W drodze na papierosa sprzeczały się, która ma grubsze nogi. My, mężczyźni, tym się różnimy od kobiet, że kiedy się licytujemy, kto ma większego lub grubszego, zależy nam na zwycięstwie z chwalebny wynikiem. Dziewczynom natomiast największą frajdę sprawia, gdy się okaże, że mają najtłustszy tyłek czy najbardziej garbaty nos w województwie. Zauważyłem to już dawno, ale nadal nie mogę pojąć, czemu kobiety triumfują, gdy odniosą negatywne zwycięstwo. Przecież to jak strzelanie samobójczego gola. A te dwie, Gosia i Ania, miały zupełnie normalne, zgrabne nogi. Ogłosiłem remis. Uznały, że to nie fair i że zachowuję się jak zwykły męski szowinista.

Wokół zrobiło się zbiegowisko. Zainteresowani podzielili się na obozy i wymieniali poglądy z zażartością słuchaczy Radia Maryja. Traciłem cenne minuty, obserwując, jak ze stolika znikają kolejne butelki. W końcu zostałem zepchnięty na margines. Widocznie uznano, że kłótnie ze mną nie dają żadnej frajdy, bo mało się odzywam. Bąknąłem coś pod

nosem, żeby sprawdzić, czy wywołam reakcje. Nikt nie zwrócił na mnie uwagi, więc czmychnąłem cichcem. Już bez utrudnień dotarłem do stolika. Asortyment przerzedził się od mojej ostatniej wizyty. Na podłodze i pod ścianą przeciwnie. Tam gęsto było od ciał wciąż donoszonych z pola bitwy na środku pokoju. Walki dobiegły końca, a facet z szablą leżał na wpół żywy pod moimi nogami.

– Polej mi, człowieku – wychrypiał, więc się schyliłem i postawiłem mu przy dłoni butelkę, którą wcześniej zgarnąłem z parapetu.

– Szkoda, miałam ochotę na to wino – usłyszałem za plecami świdrujący głos.

– Kinga. – Obróciłem się w jej stronę. Wygrzebałem z archiwum zdziwioną minę i dodałem: – Co tutaj robisz?

– Bardzo śmieszne. Wiem, że mnie widziałeś – odparła, wyłuskując ze stosu dwa plastikowe kubki, do których nalała czystej.

Jeden kubek dała mnie, drugi zostawiła sobie i wychyliła wódkę jednym haustem. Popiła sokiem pomarańczowym prosto z kartonu. Obserwowałem ten rytuał. Na końcu otarła usta dłonią i naszykowała kubek na kolejną lufę. Zaczynałem żałować, że zamiast ścierać gównem z balustrady i podsłuchiwać mecenasa, nie przygotowałem się na ewentualność wiszącej nad nami rozmowy. Teraz jednak było za późno, musiałem improwizować.

– To jak z nami będzie? – zapytałem bez sensu, zważywszy na towarzystwo, które czekało na Kingę.

– Z jakimi nami? Nas nie ma. – Ukłuła mnie palcem wskazującym w pierś. – Och, nie maź się.

Nie miałem pojęcia, o co jej chodzi, ale dla efektu jeszcze niżej zwiesiłem głowę.

– Choć jeśli się zastanowić... Chciałbyś, żeby nas coś połączyło? – zapytała, cofając dłoń. Zawahała się na ułamek sekundy. – Mogę ci pójść na rękę. Co powiesz na to, żeby wyciągnąć portfel i zapłacić mi za remont przedpokoju? A może sam potrafisz położyć tapetę? Miałbyś okazję znów pobyc w moim gniazdku. – Puściła do mnie oko. Nie zareagowałem na ten fałszywy gest.

– Chciałbym, ale chwilowo nie mam kasy. Nawet portfela chwilowo nie mam. – Rozłożyłem ręce.

– Bidulek – podsumowała głosem szlifierki, który obecnie przybrał ton piły. Ryby piły.

– Ale ty, Kinga – powoli odzyskiwałem pewność siebie – ty chyba nie narzekasz na biedę, sądząc po towarzystwie. Twój elegancik pewnie zabiera cię tu i tam. Drogie restauracje, nie myślę się? Owoce morza pewnie jadacie, co? – zakpiłem i zarżałem głupkowato, pewien, że to błąd, nim skończyłem wymawiać ostatnią sylabę.

Szybko zaproponowałem wódkę, żeby nie miała czasu analizować tekstu, z którego nie byłem dumny. Poprosiła o drinka, więc nalałem jej absolwenta i soku. Przyjęła, upiła łyk i potrząsnęła energicznie głową. Odwróciła się w stronę kanapy, na której czekał mecenas, i nie spuszczając go z oczu, powiedziała:

– Andrzej mnie nigdzie nie zaprasza, bałwanie. To mąż mojej koleżanki. Szkołę

aktorską skończył. Jutro wybiera się na casting do serialu o prawnikach. Sprawdzamy jego umiejętności. Jak myślisz, ktoś tutaj się nabierze, że Andrzej jest mecenasem? – Omiotła wzrokiem salon.

– Wątpię. – Wypiąłem brzuch na Hitchcocka i zaciągnąłem się niewidocznym cygarem.
– Wygląda na amatora z domu kultury w Podkowie.

– Zupełnie jak ty – skwitowała Kinga i zrobiła trzy kroki w przód.

Po chwili jednak przystanęła i zaczęła grzebać w torebce. Komórka. Szminka. Chusteczki. Długopis. Złoty łańcuch. Złoty łańcuch? Schowała go błyskawicznym ruchem. Odwróciła się, podeszła i zatrzymała centymetr przede mną. Umieściła mi na dłoni plastikowy kartonik. Wbiłem wzrok w kartę kredytową ze złotą rybką i moim nazwiskiem. Kinga odezwała się metalicznym głosem:

– Prawie zapomniałam, mój kuzyn Bastek, nazywany Pitbullem... Nie udawaj, że nic ci to nie mówi. – Przekręciła głowę, żeby złapać moje spojrzenie. – Zatem Bastuś ma dla ciebie wiadomość. Powiedział, że jeśli zależy ci na reszcie zawartości portfela, wyremontujesz mi też łazienkę i kuchnię. Chyba że nie masz nic przeciwko, żeby skorzystał z twojego dowodu osobistego? – Zabrała dłoń z mojej dłoni.

Uniosłem głowę. Kinga na obcasach dorównywała mi wzrostem.

– Ale...

– Zadzwoń, jak będziesz gotowy. Byle szybko. – Uciszyła mnie, kładąc dłoń na mojej klatce piersiowej, po lewej stronie, na wysokości serca. Poczułem, jakby przeszył je sopel lodu. – Bastek ma słabość do przemocy, o ile pamiętasz. A Gapa, jego brzuchaty kumpel, lubi wysportowanych brunetów – rzekła i ruszyła w stronę kanapy, machając mi palcami na pożegnanie. Mimowolnie przeczesalem włosy dłonią.

– Ale ty nigdy nie odbierasz – zauważyła rzeczowa część mnie; ta wrażliwa skuliła się w ciasnej szczelinie mózgu z nadzieją, że tam nie dopadną jej czarne myśli.

– W tej sprawie odbiorę – rzuciła Kinga przez ramię. Ja wbiłem wzrok w plastikową kartę, żałując, że rybka nie pływa w szklanej kuli, z której mógłbym wyczytać, czy czeka mnie przyszłość u boku Kingi, w ramionach Gapy, czy w towarzystwie pięści Pitbulla.

Postałem parę chwil, może wieczność, odprowadzając dziewczynę wzrokiem. Wróciła na kanapę. Szepnęła coś na ucho elegancikowi, który skinął w moją stronę. Oboje się zaśmiali. Świetnie, bardzo mi miło, że mogłem was rozbawić. Ścisnąłem w dłoni plastikowy kartonik. Zaczął parzyć, więc umieściłem go w tylnej kieszeni. Nagle zainkasowałem cios w plecy. Towarzyszył mu donośny ryk:

– Siema ziom! Już lepiej?

Mariusz.

Pod wpływem siły uderzenia zatoczyłem się i upadłem na stół. Chciałem się przytrzymać ćwiartki, ale nie była stabilną podporą. Runąłem posłusznie na podłogę. Wylądowałem twarzą w twarz z poległym rycerzem. Wymieniliśmy zdawkowe pozdrowienia, lecz zanim nasza znajomość osiągnęła kolejny etap, poczułem na ramieniu zaciskające się imadło, a po bliższym rozpoznaniu: rękę porośniętą pomarańczowymi

i żółtymi kwiatkami. Mariusz przywrócił mnie do pionu i otrzepał z niewidzialnego kurzu. Ukrył bezpiecznie nagiętki, obciągając rękaw swojej koszulki. Spojrzałem na przyjaciela w stylu „poczekaj, aż stanę prosto, to się policzymy!”, on na mnie w stylu „nawet o tym nie myśl” – i wróciliśmy do przerwane go upadkiem wątku.

– Przeciwnie, gorzej – stwierdziłem. – Rozmawiałem z Kingą.

– Widziałem. – Wyszczrzył zęby, rozglądając się bacznie dookoła. – I co?

– I spadamy. – Wsunąłem pod bluzę napoczęte pół litra, skinąłem w stronę drzwi i spojrzałem na niego pytająco. Wyglądał na zdenerwowanego.

– Świetnie, sam miałem to zaproponować – powiedział i na znak poparcia ruszył we wskazanym kierunku.

Musiałem przyspieszyć kroku, żeby go dogonić. Ciekawe – to ja znalazłem się w dramatycznym położeniu i straciłem ochotę na imprezowanie, tymczasem Mariusz zachowywał się, jakby właśnie dostał cynk, że policja otoczyła dom i to jedyna szansa, żeby się z niego wydostać przed obławą. Torował sobie drogę niczym napalony niedźwiedź.

Korytarz był nieadekwatnie wąski względem całości domu. Musieliśmy przejść nad grupą kolorowych chłopców. Najki w barwach tęczy, bluzy z nadrukami tak wielkimi, że litery zachodziły na plecy, jakieś gwiazdki, pioruny, zakaz noszenia dżinsów w klasycznym kolorze denim. Poczujęm się jak wśród przebierańców, jak gdybym przez przypadek znalazł się w otoczeniu tancerzy współczesnych tuż przed ich wejściem na scenę. A byli to normalni chłopcy, którzy się bawili i używali niecenzuralnych wyrazów. Siedzieli pod przeciwległymi ścianami, biesiadując przy naszej makiecie. Pełniła ona obecnie funkcję zaimprovizowanego stołu i toru wyścigowego w jednym.

– Yo, ziomki! – zawołał chłopak w najszerzej bluzie. Przekręcił na bok daszek bejsbolówki i rzucił Mariuszowi spojrzenie spode łba. Mój kumpel odpowiedział tym samym, choć z mniejszą pewnością siebie.

Odwróciłem się do Mario, serwując mu minę typu „co ten gość do cholery robi z naszą makietą?!”. Łysy nie musiał odpowiadać. Ziomek, który rozsiadł się na podłodze, sunął po tekturze czołgiem. Tak, to zdecydowanie nie była osobówka z anteną od radia CB. Pojazd roztrzącał lufą przeszkody z butelek.

Odwróciłem wzrok. Wołałem nie patrzeć, jak piwo podmywa ulicę i zmiata dom z powierzchni ziemi. Biedny pan Wojas, cały jego dobytek spłynął w strugach lepkiego piwnego deszczu. Schyliłem się, żeby zawiązać sznurowadło, podczas gdy Mario dopadł do drzwi. Z pełną mocą nacisnął kłankę i zaprosił mnie w mrok wyludnionych ulic Milanówka. Niecierpliwiał się. Nadal nie mogłem odgadnąć dlaczego. Skończyłem wiązać but i podążyłem wzrokiem w kierunku, w którym mój przyjaciel utkwiał spojrzenie. Między nim a młodym niszczycielem rozgrywała się jakaś niema bitwa. Dosłownie czułem te setki wolt przeskakujących między nimi błyskawic. Mariusz ponaglił mnie do wyjścia. Rzuciłem w powietrze „na razie”, nie czekając na wylewne pożegnania. Gdy znalazłem się jedną nogą za drzwiami, usłyszałem głos młodego w bejsbolówce. Zafundował nam na do

widzenia taki freestyle, że nie zdziwiłbym się, gdybym następnego dnia zobaczył jego teledysk na hip-hopowej liście MTV. Nie prowadziłem notatek, zaskoczony, nie zdążyłem nawet nagrać go na komórkę. Jednak z tego, co pamiętam, rymy złożył mniej więcej w ten sposób:

– Mario, ziom, ja powiadam to twój błąd. Mam makietę, a nagietek póki co mym sekretem. Jak ci, kolo, nie pasuje, chodź na solo, ale wiesz, jak jaja bolą. Dziara skład, reprezentuj, dba o ład. Nie dasz kasy, to kwiaciarnia idzie w świat. Poczuj to, sprawdź mój przekaz bardzo prosty. Ten skład Ostry mnie nazywa, bo riposta ma kąśliwa. Bój ziom chłosty.

– Co? – zwróciłem się do Mariusza, gdy już zamknąłem za sobą drzwi. Młody rymował na jego temat, oczekiwałem więc wyjaśnień. Mariusz jednak machnął ręką na znak „później” i ruszył w kierunku stacji kolejowej. Podreptałem za nim, a ciekawość prowadziła mnie lepiej niż wariujący od wódki błędnik.

Pociąg zwierzeń

Do odjazdu pociągu zostało parę minut, ale nieliczni nocni pasażerowie już zajmowali miejsca w podstawionym składzie. Usiedliśmy z Mariuszem naprzeciwko siebie. Myślałem o zadrapaniach na dłoni i siniaku na plecach, których dorobiłem się pod Koneserem. Dumiałem o Kindze, o jej nokautującej propozycji i o tym, jaki ten świat mały. Za mały dla mnie. Chętnie zabiorę się najbliższym lotem na Księżyc i już nie wrócę. Myślałem też o tym, że straciliśmy makietę i choć to tylko głupi kawałek tektury, czułem, że wraz z nim przepadła jedyna szansa. Nie mogłem się pozbyć poczucia klęski.

Mariusz kiwał głową monotonicznie w przód i w tył. Przysypiał. Pociąg szarpnął, aż obaj podskoczyliśmy. Zastanawiałem się chwilę, czy gdyby mojemu kumplowi przyszła ochota na zwierzenia, miałbym chęć ich słuchać – ale oto rozpoczęła się godzinna podróż do Warszawy i kolej nie oferowała żadnych rozrywek. Wyciągnąłem spod bluzy pół litra i gestem zaproponowałem Mariuszowi. Przyjął trunek z entuzjazmem i zaczął pić, jakby to była woda. Zgarnąłem, co zostało, kiedy przerwał tankowanie, bo wychwycił kątem oka pasażerkę na siedzeniu obok. Przeniosłem wzrok na butelkę wódki. Świetna zbiórka – pogratulowałem sobie. Załapałem się na kilka ostatnich łyków. Jeśli chodzi o mnie i współpasażerkę, nie zaiskrzyło. Iskrzyły za to jej tipsy z drobinkami złota na całej długości. Cekiny przyszyte do spódnicy odbijały światło jarzeniówek. Można by ją podwiesić pod sufitem w dyskotecce zamiast kuli z lusterek.

Dziewczyna gapiła się na nas, ignorując balansującą na skraju siedzenia siatkę. Podobnie babcia, która jej towarzyszyła. Seniorka i juniorka wpatrywały się z otwartymi buziami w dwóch przystojniaków, którzy jeszcze przed chwilą podawali sobie butelkę z wódką niczym fajkę pokoju. Odchrząknąłem, próbując skierować uwagę Mariusza na naszą widownię, ale ten nie interesował się zawieraniem znajomości. Skupił się na interpretacji wiersza, który zaserwował nam niejaki Ostry, czyli – jak się dowiedziałem – dzieciak w bejsbolówce. Ten, który obrócił w perzynę naszą wieś.

O ile niczego nie pomyliłem i o ile stukot kół pociągu nie zagłuszył kluczowych momentów, młody Ostry pracował w studiu tatuazu Białego. Mariuszowi wódka wypełniła myśli i co rusz mylił postaci. Gubił wątek jak uczeń wywołany do tablicy. Musiałem zadawać pytania pomocnicze. Odsiewałem wulgaryzmy, prawidłowo umieszczałem przecinki, aż udało mi się ustalić, że Biały przebywał obecnie w Leeds, gdzie poznawał wyspiarskie tajniki trwałego zdobienia ciała. Jakaś natrętna myśl zaczynała kołatać mi się w głowie. Dodałem dwa do dwóch i stwierdziłem, że temat brzmi znajomo.

– Mario, czy Biały to przypadkiem nie ów gość, który wytatuował ci nagietki? – zapytałem i po tym, jak Mariuszowi zapaliły się lampki w oczach, uznałem, że trafiłem. Odetchnąłem z ulgą. Zaistniała szansa na interesującą historię, a jednocześnie na uspienie myśli o remoncie, zemście i mojej porażce.

– Tak, Winstonie – odparł Sherlock, czy może cherlak, jeśli kontynuować manierę przekręcania nazwisk. – Jeszcze jakieś pytania? – Wyrwał mi butelkę i przechylił do góry dnem, żeby wytrząsnąć na język ostatnią kroplę.

– Właściwie tak, bo czegoś nie rozumiem. Dlaczego Biały wytatuował kwiatki? I ten freestyle Ostrego. Czemu?

Mariusz bezskutecznie próbował zmieścić butelkę w miniaturowej śmietniczce pod oknem. W końcu wcisnął ją pod siedzenie.

– Czemu, czemu? Bo nie ma dzemu – odpowiedział.

Chciał być jak Ostry w układaniu wierszy, ale nie ta liga. Widocznie uznał, że od czegoś trzeba zacząć. Stukot kół nabijał mu właściwy rytm, ale na tym skończyły się rymowanki. Przytrzymał nogą butelkę, która się przewróciła i próbowała przetoczyć w moją stronę, Mariusz podchwycił przerwany wątek. Opowieść traciła spójność, do wulgaryzmów dołączyły czknięcia. Mój kumpel dokładał wszelkich starań, żeby mówić z sensem. Ja dokładałem wszelkich starań, żeby go zrozumieć, ale niełatwo dogadać się dwóm facetom, których myśli krążą niczym oślepienie ćmy, a języki się plączą jak na kursie arabskiego.

– To wszystko przez węza – wycedził Mariusz.

Zrobiłem przesadnie zdziwioną minę, więc mój towarzysz, niewiele myśląc, uniósł się w niekontrolowany sposób z siedzenia i zaczął mocować z koszulką. Dziewczyna z tipsami szybkim ruchem poprawiła siatkę i już do końca podróży nie spuszczała nas z oka. Nie, nie uważam, że bała się kradzieży. Przeciwnie. Jak na mój gust poczuła miętę do Mariusza. Właściwie nie ma się czemu dziwić. Stał przed nami półnagi heros z drutem kolczastym na jednym ramieniu i łąpkiem węza boa na drugim. Kiedy odwrócił się tyłem, po raz pierwszy ujrzałem na jego plecach długi węzowy ogon, który wił się od ramienia w górę, a potem w dół, wzdłuż kręgosłupa, połyskiwał żółtymi, białymi i brązowymi łuskami i zniknął pod paskiem dżinsów. Wszyscy byliśmy pod wrażeniem. Dotąd myślałem, że gad jest niewielki, widywałem jedynie fragment na bicepsie. Teraz pierwszy raz oglądałem tatuaż w pełnej krasie. Kosztował majątek.

– Na tym właśnie polega problem – wyjaśnił Mariusz.

Okazało się, że mój przyjaciel wisiał Białemu kasę za węza. Dużo kasy. A Biały nie był filantropem. Odegrał się, tatuując obciachowe nagietki i kazał Mariuszowi traktować je jako ostrzeżenie.

– No już, zamknij gębę. – Usiadł i założył koszulkę.

Zamknąłem. Panie obok również; nawet nie udawały, że są zajęte własnymi sprawami.

Mariusz się ożywił. Niewykluczone, że zainspirował go niemy zachwyty koleżanki w cekinowej spódnicy. Podjął opowieść, skupiając całą energię na budowaniu poprawnych zdań. Dowiedziałem się dzięki temu, że Ostry doglądał interesów Białego.

– Nie sugeruj się wyglądem – ostrzegł Mariusz. – To naprawdę ostry facet. A pod nieobecność szefa – dodał po chwili namysłu – popisuje się, że już nie jest sprzątaczem. Rozumiesz, co mam na myśli?

Rozumiałem, Ostry zaczął się panoszyć. Ponoć wywiązywał się z nowych obowiązków

wzorowo i z nawiązką. Wszedł w buty kierownika. Wykonywał rozkazy z Anglii, jednocześnie demonstrując, że jest tak samo nieugięty jak Biały, a nawet gorzej. Pomyślałem, że Ostry to pies, który zerwał się z łańcucha i odgrywa się za lata spędzone na uwięzi. Mariusz dodał, że młodzieniec, który zrobił się wyjątkowo wredny, obrał go sobie za cel. Pilnuje go, węszy, czai się, grozi. Jeśli Mariusz nie odda pieniędzy, Ostry uprzykrzy mu życie. I to, że świat się dowie o nagietkach, będzie dla Mariusza najmniejszym zmartwieniem. Potrzebował fortuny. Podobno odsetki przekroczyły już wartość tatuażu.

Wpatrywałem się w jego mętne, poprzecinane czerwonymi żyłkami oczy. Mrużył je z wysiłkiem, jakby nie mógł ustawić ostrości. Głęboko za tęczęwkami czaił się strach.

– Skąd o tym wiesz? – spytałem.

– Stąd – odparł i wyjął z kieszeni pomietą kartkę.

Widziałem ją po raz pierwszy. Mariusz oznajmił, że znalazł ją rano wetkniętą w drzwi. Czekał na lepszy moment, żeby mi pokazać. Nie spodziewał się, że sprawy przyjmą jeszcze gorszy obrót.

Wziąłem kartkę i odczytałem napis: *Pilnuj się, kwiaciarz*. Starannie napisane litery wiły się jak wąż na Mariuszowych plecach. Otaczały je kwiaty o drobnych płatkach. Dzieło wprawnej ręki, jak gdyby nakreślił je mistrz chińskiej kaligrafii. Po drugiej stronie ujrzałem kilka zdań napisanych z mniejszą finezją, na szybko. Autorowi, bardziej niż na elegancji, zależało na przekazie. A przekaz zasadniczo pokrywał się z relacją Mariusza.

– Niedobrze. – Oddałem mu świstek.

Szukałem słów współczucia, ale ich nie znalazłem. Za to dziewczyna obok wyglądała, jakby miała ochotę Mariusza przytulić. Babcia zresztą też. Te kobiety i ich instynkt... Wystarczy zrobić zboląłą minę. Z nami jest zupełnie inaczej.

– A skąd Ostry wiedział, gdzie cię szukać? Przypadkowe spotkanie na imprezie? – spytałem.

– Nie do końca przypadkowe. – Zaciągnął się powietrzem i czknął. – Ostry wie wszystko o wszystkich. Czekał na nas. Poza tym, tylko się nie śmieje, on też studiuje prawo.

Nie mogłem się powstrzymać, parsknąłem.

– Łachudra, która studiuje legislację. Trzeba mu oddać, że świetnie się ustawił. Na wykładach dowiaduje się, jak gnębić ludzi, żeby wszystko pozostawało w granicach prawa.

Mariusz przytaknął z rezygnacją i dodał, że kiedy ja odpoczywałem na balkonie, młody zaciągnął go do kuchni i ucięli sobie pogawędkę.

– Wiesz, co jest najśmieszniejsze? Że gościliśmy w domu jego kumpla.

– Ale dowiedziałeś się o tym po fakcie?

– Tak, kiedy gospodarz nas sobie przedstawił.

O, paradnie – pomyślałem.

– Wszyscy są prawnikami, prawdziwa epidemia. Kinga też? Nie wiesz przypadkiem, dlaczego tam była? – spytałem i momentalnie zgarbiłem się pod ciężarem wspomnień.

– Co do Kingi, to niewykluczone, że ma z tymi kręgami coś wspólnego. Opowiadała mi

kiedyś, ale zapomniałem. Tylko... – Zawiesił głos i zaczął turlać nogą butelkę. Zatrzymał ją i uniósł głowę. – Nie będę ściemniał, zadzwoniła do mnie. Pytała, gdzie można cię znaleźć, bo podobno nie odbierasz telefonu. Powiedziałem jej o imprezie.

Mariusz w roli swatki? Wierzę, że miał dobre intencje. Szkoda tylko, że nie znał kontekstu sprawy.

– Trzeba mnie było uprzedzić – wymamrotałem.

– To miała być niespodzianka. – Uniósł górną wargę, obnażając połowę szczęki. Zgadywałem, że się uśmiecha.

– Kiepsko ci wyszła.

Oklapłem i wciągnąłem powietrze, jakbym chciał zrobić zapas na miesiąc. Dziewczyna o złotych paznokciach przesunęła się na skraj siedzenia, żeby znaleźć się blisko nas. Przyłożyła palec do ust, uciszając babcie. Domyśliła się, że zamierzam wyjaśnić Mariuszowi, dlaczego niespodzianka nie przyniosła pożądanych efektów. Nie chciała przegapić ani jednego słowa. Wyciągnęła nogi na przejście, co nie uszło uwadze mojego przyjaciela. Pstryknąłem palcami, żeby do mnie wrócił. Udało mi się wzbudzić zainteresowanie wszystkich wokół.

Przy takiej widowni ruszyłem z historią jak rasowy dziejopisarz. Opowieść zacząłem od łysych z Pragi. Kobiety obok wzdychały i wymieniały spojrzenia. Kiedy doszedłem do momentu, w którym udałem konającego psa, Mariusz klepnął mnie w ramię i pochwalił. Koleżanka w cekinowej spódnicy klasnęła, babcia się przeżegnała.

Opowiedziałem o tym, jak łysi ciągnęli moje ciało po chodniku. Pociąg zatrzymał się na stacji, ale do naszego wagonu nikt nie wsiadł. Dobrze, nie musiałem wprowadzać w opowieść nowych słuchaczy. Do ostatniego przystanku jechaliśmy tylko we czworo. Budowałem napięcie, nie szczędziłem opisów okolicy. Koloryzowałem, ale czego się nie robi dla dobra historii? Zardzewiałe bramy, pojękujące zawiasy, spalone żarówki, zdechły kot w rynsztoku, migające cienie w zaułkach. Ząbkowska z opowieści przypominała ulicę Gotham City.

Zerknąłem na kobiety. Ścisnęły dłonie w pięści. Zastanowiłem się, co mógłbym teraz powiedzieć, żeby je całkowicie zmiażdżyć. Moment wydawał się idealny. Przywołałem z pamięci mokasyn, którym potraktował mnie Pitbull.

– Trach! – ryknąłem i wyrwałem z impetem lewą rękę z kieszeni.

– Och! – babcia i dziewczyna jęknęły jednocześnie.

Mariusz chwycił moją dłoń i krótko podsumował wyniki oględzin:

– Nie przesadzaj.

Ukryłem ją z powrotem w spodniach.

Ta chwilowa utrata honoru była bez znaczenia. Publiczność miałem w kieszeni. Kobiety gapiły się na mnie jak na pastora baptystów. Wprawdzie nie wołałem *chwalcie Pana!*, a one nie odkrzykiwały *alleluja!*, ale miałem taką samą siłę rażenia. Puściłem do dziewczyny oko. Idiota, wcale mi się nie podobała. Miała wargi jak pies, jak pitbull.

Potrząsnąłem głową, żeby odegnać natrętą myśl. Nakreśliłem już sprawę łysych,

mogłem przejść do momentu spotkania z Kingą. Mariusz dowiedział się, dlaczego Kinga mnie szukała. Zabawne, ale autentycznie zrobiło mu się głupio. Komu jak komu, ale Super Mariowi? Może to wódka odebrała mu rozum, a może własne problemy. Najpewniej wszystko naraz.

Zaczął przeproszać, że mnie nie uprzedził. Gdyby wiedział, jakiego Kinga ma kuzyna, milczałby niczym agent Mossadu, a potem odszukałby Pitbulla i skopał jego łysą czachę z karku.

– Z Ursynowem się nie zaczyna – stwierdził.

Ostremu też tak groziłeś? – pomyślałem, ale nim zdążyłem wyrazić to głośno, babcia wyciągnęła z siatki butelkę z nalewką i spojrziała zachęcająco w naszą stronę.

Mariusz skinął na babkę z aprobatą. Jednocześnie zaklinał się, że coś wymyślimy. Jesteśmy teamem, znajdziemy sposób na Stana Juniora. Damy radę bez makiety. Załatwimy tyle gotówki, że wystarczy nawet na odsetki. I jeszcze ubierzemy łysych od góry do dołu w ciuchy Adidasa.

Babcia odwinęła ze szmaty zestaw czterech metalowych literatek. Wypełniła je nalewką po brzegi i dała każdemu po jednej.

– Za powodzenie misji! – Uniosła naczynie i uśmiechnęła się, obnażając braki w protezie.

– Dobrze mówi. – Wnuczka wskazała palcem Mariusza.

Wypiliśmy trunek jednym haustem.

Rzeźba

Dobrze mówi? – spytałem sam siebie po raz setny, stojąc pod blokiem i wpisując kod do domofonu. Odezwał się brzęczyk, więc otworzyłem drzwi i po omacku przestąpiłem próg. Dochodziła północ. Jarzeniówka nie działała od nie pamiętam kiedy, więc szedłem, trzymając się ściany. Klatka była wąska. Nim dotarłem do schodów na półpiętro, musiałem otworzyć drugie drzwi. Wymiary pomieszczenia znałem na pamięć, więc nie martwiłem się, że na coś wpadnę. Przeciwnie, oszczędziłem sobie widoku życiowych credo, którymi młodzież z czwartego piętra ozdobiła ścianę wokół skrzynek na listy. Wydrapane kluczem zdania obrażały niejakiego Stępnia (nie znam, ale mieszka chyba w drugiej klatce), kazały Agnieszce ssać (tę widuję codziennie, leży z chłopakami na kanapie pod śmietnikiem), komentowały negatywne zachowania starych, policji, hydraulika (w tym przypadku akurat bym się zgodził), nawoływały do niszczenia i jarania zioła. Z tego, co się orientuję, ostatnie życzenia się spełniły.

Skrzynki też ozdabiali napisami, choć z uwagi na ograniczoną powierzchnię skupiali się na pojedynczych hasłach. Nadawali właścicielom skrzynek przezwiska, jak gdyby dla ułatwienia listonoszowi pracy. Na mojej napisali *bambus*. Mam śniadą cerę i ciemnobrązowe włosy, więc raczej nie chodziło o roślinę tropikalną. Zdarzało się, że wrzucali mi przez szczelinę zaproszenia na spotkania bractwa w białych kapturach, ale dotąd z żadnego nie skorzystałem.

Wyjąłem z kieszeni komórkę. Odblokowałem przyciskiem, żeby oświetlić skrzynkę. Z klapki nie wystawało żadne znajome zaproszenie. Włożyłem palec głębiej i dostrzegłem dużą kopertę. Wyciągnąłem pęk kluczy – z dziesięć na jednym kółku, do wyboru do koloru. Nie chciały współpracować. Wydawało mi się, że mam dwie lewe ręce, a w palcach artretyzm. Komórka wygasła, rozświeciłem ją ponownie. Na klucze założyłem kiedyś kolorowe nakładki dla rozróżnienia. W tej chwili zlały się w jedną całość, stały się niewyraźne i jakby posklejane. W końcu beładnym ruchem wyłuskałem klucz do skrzynki i, o dziwo, szybko trafiłem do dziurki. Wyciągnąłem kopertę, obejrzałem ją z obu stron w świetle telefonu i stwierdziłem, że z dokładniejszymi oględzinami poczekam, aż wejdę do windy. Tak też uczyniłem. Dysponowałem w niej niemal laboratoryjnym światłem. Do ósmego piętra miałem też sporo czasu na czytanie.

Koperta była gruba, mnóstwo znaczków i stempli, nadana z USA. Wymacałem pustą krawędź, rozerwałem bok i wyjąłem cztery gęsto zapisane połówki kartki. Choć byłem pijany i litery pływały mi przed oczami, nie miałem wątpliwości, że to testament dziadka Tadeusza. Ten, który Stan Senior odczytał mi parę lat temu w Victorii. Tyko teraz trzymałem go we własnych dłoniach, w pełnej wersji, ze wszystkimi tajnymi akapitami. Interesujące zakończenie dnia – pomyślałem i rozejrzałem się po jadącej do góry blaszanej puszce. To nie było dobre miejsce na spotkania z historią.

– Poczekaj, aż dotrzesz do domu – powiedziałem sam do siebie. – Przygotuj się, załóż odświętne ubranie. Zrób to z szacunku dla dziadka. I dla siebie – dodałem, ujrawszy w lustrze przekrwione, nieprzytomne oczy, które niestety należały do mnie. Winda zatrzymała się na ósmym piętrze.

Wsiadłem i stoczyłem kolejną bitwę z kluczami. Z tym od górnego zamka nie miałem problemu, był najdłuższy i najcięższy. Poszło gładko. Na odnalezienie drugiego musiałem poświęcić dłuższą, niewygodną chwilę: tu komórka, tam koperta. Jeden przedmiot wsadziłem z powrotem do kieszeni, drugi między nogi i odnalazłem właściwy klucz. Drzwi ustąpiły bez szelestu. Zawdzięczałem to Stanisławowi Borowskiemu Seniorowi, który zakupił dla mnie tę przytulną kawalerkę z niezawodnymi zamkami.

Wszedłem i nastawiłem się na smród mięsa, które według moich obliczeń powinno się zacząć psuć. Wstrzymałem oddech. Jakoś do tej pory nie po drodze mi było ze schabem ani ze zlewem, w którym go zostawiłem. Wypuściłem nagle powietrze, gdyż zacząłem się dusić. Teraz albo nigdy, wykończ mnie, padlino.

Nic, zero smrodu. Wszedłem głębiej do mieszkania, obrzuciłem salon spojrzeniem, odłożyłem kartki na stół i udałem się do kuchni, żeby rozwikłać zagadkę mięsa. Ku mojemu zaskoczeniu schab wyparował. Zatoczyłem się, zadrżałem lekko. Jak to możliwe? W sensie, jak to możliwe, że mięso zniknęło, a nie, że tracę równowagę. Potrzebowałem świeżego powietrza. Na Puławskiej o nie trudno, ale i tak otworzyłem okno. Wychyliłem się daleko, pamiętając o zasadach BHP. Wciąż miałem w pamięci obraz chwili, w której o mało nie wyleciałem z ósmego pięta.

Pod moim oknem wylegiwały się trzy kundły. Czwarty, największy, ujadał głośno, doskakiwał do nich i odskakiwał, węszył wokoło, jak gdyby żądał, żeby czymś się z nim podzieliły. Z mojej perspektywy wyglądało na to, że duży pies się spóźnił; czekał niepotrzebnie. Znużone kundły nie reagowały na jego zaczepki. Natomiast sąsiedzi z dolnych pięter owszem. Rzucali w niego ziemniakami, kazali się uciszyć. Podniósł się harmider, więc zamknąłem okno. Nie potrafiłem przez nich zebrać myśli.

Wróciła cisza. Zagadkowych epizodów akt kolejny – stwierdziłem. Po raz drugi ktoś odwiedził moje mieszkanie. Ktoś, kto miał klucz i się do tego nie przyznawał. Uznałem, że to dobry moment, by napić się czegoś mocnego, ale przypomniałem sobie, iż od paru godzin tylko to robię. Jeszcze jedna setka i skończę w Izbie wytrzeźwień na Kolskiej. Nalałem sobie soku. Wypiłem całą szklankę duszkiem, ale ani o milimetr nie przybliżyłem się do stanu trzeźwości. Zacząłem się natomiast zastanawiać, czy hydraulik zamiast wody nie wpuścił do grzejników świeżej lawy wulkanicznej, bo po skroniach zaczął spływać mi pot.

Ściągnąłem bluzę. Udałem się do sypialni, żeby tradycyjnie rzucić ubranie na rzeźbę. Drewniana figurka została jednak przywalona przez nagromadzoną stertę. W ogóle jej nie widziałem. Schyliłem się, wsunąłem rękę w głąb szmat. Rozgarnąłem, zamieszałem, aż dotarłem do podłogi. Gdzie figura? Podniosłem bluzę, następnie koszulkę z jeleniem, brązowe spodnie, ciepłą koszulkę w paski. Unosiłem pojedynczo ciuchy i odkładałem na

łóżko. Nic, ani centymetra rzeźby, ani jednej drzazgi. Ostatnie sztuki odzieży ujmowałem z pietyzmem w dwa palce, potrząsałem nimi, jak gdybym faktycznie szukał drzazg czy wiórów. Wreszcie ujrzałem podłogę i nic poza tym. Usiadłem na łóżku i potarłem skronie. Musiałem pomyśleć. Wyciągnąłem nogi na salon, siedząc na pościeli ze stertą ciuchów służącą jako podłokietnik.

– Trochę jak na szezlongu – powiedziałem sam do siebie. Próbowałem ułożyć się na boku, żeby jeszcze dokładniej oddać realia leżanki, ale manewr przeniesienia kończyn okazał się niewykonalny. Co jest grane? Ziewnąłem. Salon przed oczami, szafa, stół nabrały opływowych konturów, zaczęły się przechylać. Kołysałem się razem z nimi, z boku na bok jak wahadło w zegarze. Wsparłem się obiema dłońmi o krawędź łóżka, żeby nie spaść. Zgarbiłem się, ugiąłem nogi w kolanach, rozstawiłem szeroko stopy.

Wódka opanowała krwiobieg, wdarła się do mózgu i zaczęła wyciekać wraz z potem przez skórę. Takie odnosiłem wrażenie. Obróciłem prawą dłoń wnętrzem do góry. Przechyliłem na bok głowę, żeby na nią spojrzeć, żeby sprawdzić, czy nic się z niej nie sączy. Nie byłem pewien, znajdowała się za daleko od oczu. Musiałem sobie uwierzyć na słowo. Nie miałem siły przybliżyć ręki do twarzy. Znow ziewnąłem. Z czoła spłynęła mi kropla. Jedna, druga. Więc jednak zacząłem przeciekać. Zapragnąłem obetrzeć sobie twarz, zatamować wypływ, ale żadna z dłoni nie miała ochoty tego uczynić. Wyteżyłem umysł, aby siłą woli zmusić oporną prawą dłoń do poderwania się z łóżka. Spociłem się jeszcze mocniej i przegrałem. Gdybym wcześniej poćwiczył, może by się udało, a tak wyciekną ze mnie wszystkie płyny ustrojowe; aż kiedyś sąsiedzi, nie mogąc znieść smrodu dochodzącego z mojego mieszkania, wyważą drzwi i znajdą na łóżku wysuszone na wiór ciało. Odszedł Maciej, zmarł wskutek wycieku substancji, które tak lubił spożywać.

Pomyślałem, że być może uda mi się tak przekrzywić głowę, żeby otrzeć pot o bark, jednak nie mogłem dosięgnąć czołem. Podbródek, policzek, wszystko stawało mi na drodze. Spróbowałem jeszcze raz, ale straciłem równowagę i zwałem się na bok. Z uchem na sprzączce od paska zapadłem w sen. Miałem tak zostać już do rana.

Śniło mi się, że byłem jeszcze mały. W teorii mieszkalem z rodzicami, w praktyce prawie nie wychodziłem z lasu. Mieliśmy tam z Piotrkim bazę. On był dowódcą, ja zastępcą. Wszystko we śnie wyglądało jak prawdziwe. Tego dnia Piotrek awansował siebie na majora, a mnie na kapitana. Jego tata naprawdę był dowódcą, więc Piotr miał prawo do wyższego stopnia przez wzgląd na rodzinną tradycję. Mój ojciec pracował co prawda w jednostce, ale jako cywil. Cywil! To w dążeniu do władzy stawiało mnie na straconej pozycji. Zresztą mój ojciec już dawno rzucił pracę dla wojska. Odpuścił sobie godziwe zarabianie. Wybrał szopę i rzeźbienie drewnianych potworków, które tłoczyły się pod ścianą, bo nikt nie chciał ich kupować. Tak twierdził dziadek, a Tadeusz Borowski był dla małego Maćka jak Bóg, a nawet więcej – jak Bruce Lee.

Za mały byłem, żeby rozumieć, czy lepszy jest facet zarabiający w wojskowym hangarze, czy gość niezarabiający w szopie. Wolałem tego pierwszego. Ojciec z hangaru czasem mnie tam zabierał. Siadaliśmy w śmigłowcu, zakładaliśmy słuchawki, robiliśmy

nalot na wroga i zrzucaliśmy bomby. Ojciec z szopy nie zabierał mnie nigdzie. Zamykał drewniane drzwi i zapominał, że ma syna. Podczas kolacji studiowałem rysy jego twarzy. Zamierzałem jak najwięcej zapamiętać, by w przyszłości kojarzyć, kim jest facet, który na zdjęciu w śmigłowcu śmieje się i salutuje.

We śnie właśnie wróciłem z bazy i koniecznie chciałem się komuś pochwalić awansem. Stałem na środku pustego podwórza, twarzą do domu dziadków, i nie wiedziałem, co dalej robić. Mama była w szkole, dziadek pojechał do miasta. Babcia z pewnością oddawała się ulubionej rozrywce, czyli czytaniu książki. Wołałem jednak nie pokazywać się jej na oczy w brudnych spodniach. Za niechlujstwo zawsze kazała mi zmywać podłogi na parterze.

Szopa ojca chybotwała się z prawej strony. Podkrałem się pod drzwi, żeby przez szparę w deskach sprawdzić, czy jest w środku. Oczywiście był, siedział owinięty wokół drewnianego klocka, w mocnym świetle lampy, i rzeźbił coś, co dzisiejszy znawca Maciej nazwałby figurą plemienną, ale ja ze snu określiłem mianem drewnianego stwora. Drugiego w tym miesiącu, setnego pod ścianą.

Mały ja wiercił się pod drzwiami, wołając w głowie *tato, tato!*, ale nie miał odwagi zawołać na głos.

– Tato! – krzyknął chłopiec nieumyślnie i palnął się za karę w czoło.

Ojciec opuścił ręce, wyprostował się i zamarł, nasłuchując. Gapiłem się na niego przez szczelinę w drzwiach, ciekaw, co robi, ale on uniósł dłuto i wrócił do rzeźbienia.

– Tato – znów mi się wyrwało, tylko ciszej. Ojciec jeszcze raz opuścił ręce, lecz teraz był pewien, że ktoś go woła. Rozejrzał się i rzekł zamyślonym głosem:

– Co?

Okienko w drzwiach znajdowało się tuż nad głową, więc podskoczyłem parę razy. Chciałem, żeby mnie zobaczył i otworzył drzwi zamknięte od środka. Wyglądałem jak bohater kreskówki. Śmiałem się przez sen, widząc, jak głowa tego dzieciaka podskakuje niczym piłka do koszykówki, którą ktoś kozłuje. Smarkacz mnie rozbawił, ojca nie.

– Maciek, idź się pobaw – powiedział bardziej do siebie niż do małego mnie.

– Nie mam z kim – wyszeptałem przez szparę. Ojciec podszedł do regału i zaczął przeglądać narzędzia.

– Po prostu idź coś porobić. – Podłączył do prądu elektryczny strug i położył sobie klocek na kolanach.

Zsunąłem się na ziemię i oparłem plecami o ten mur z próchniejących desek, za którym słyszałem zzz heblarki. Podniosłem kamyk i rzuciłem nim w gołębia, który stał nieopodal. Ani drgnął. Nieruchoma figura z przekrzywionym łepkiem, bezręse wpatrzone we mnie ślepia. I co z tym zrobisz? – pytał spojrzeniem, więc podniosłem kolejny kamyk.

– To! – warknąłem i zamachnąłem się z całej siły. Nie trafiłem, ale gołąb zatrzepotał skrzydłami i dokąś odleciał. Znów byłem sam na podwórzu. Za plecami monotonnie bzyczał hebel. We mnie się gotowało.

Otarłem ręką wilgotną twarz i zakląłem w duchu. Miałem jedenaście lat i byłem

wkurzony. Potrzebowałem tego faceta z szopy, ale widać on nie miał ochoty mnie znać. Wysmarkałem nos w brzeg koszulki, poderwałem się z piachu i szurnałem nogą, wzniesając tuman kurzu. Tornado we mnie przybierało na sile, niebezpiecznie zbliżając się do punktu, w którym już tylko śmierć i zniszczenie.

Pobiegłem do domu dziadków. Z tyłu, od strony pola, otworzyłem skrzynkę, wyrwałem wszystkie bezpieczniki i wyrzuciłem daleko w żyto. Załatwiłem ojcu wycieczkę. Pójdzie przez spiżarnię, nieuczęszczaną drogą do kuchni, weźmie z szuflady nowe korki i tak się przemknie, żeby nie natknąć się na dziadka. Zawsze to robił. Jestem pewien, że w razie potrzeby przeczołgałby się całą drogę po ziemi, żeby uniknąć spotkania. Zbytecznie, Tadeusza Borowskiego i tak nie było w domu.

Odliczyłem do dwudziestu i wybiegłem na podwórze od drugiej strony. Prawie się zdemaskowałem. Ojciec się włókł, ale na szczęście już zniknął za przeciwległym rogami. Pokonawszy ostatni odcinek wielkimi susami, wpadłem do szopy. Wewnątrz panował półmrok. Zakląłem wcale nie po dziecinnie. Uświadomiłem sobie, że wyciągając korki, pozbawiłem pomieszczenie oświetlenia. Teraz by się przydało, ale za późno na wyrzuty. Czas naglił, operacja wymiany korków nie potrwa dłużej niż dziesięć minut.

Złapałem siekierę i zacząłem rąbać wszystkie rzeźby, jakie mi się nawinęły. Nie rozróżniałem na ładne czy brzydkie. Niszczyłem w amoku. Z nosa kapąły mi smarki, z oczu łzy, ale rąbałem jak w transie, dopóki płacz nie przyćmił mi pola widzenia. Wtedy pod sufitem rozblęły żarówki. Stężałem na beton. Mój mózg wrzeszczał: ewakuacja! Ale nogi nie chciały ruszyć z miejsca. Dopiero jak upuściłem siekierę, odzyskałem władzę w kończynach. Sprawdziłem przez szparę, czy podwórze wciąż było puste i rzuciłem się w stronę dworku, strefy wolnej od ojca.

Zatrzymałem się dopiero na środku salonu. Babcia chrapała w fotelu i tonęła w morzu książek. Nic nowego. Ściągnąłem buty i wszedłem na palcach na schody. Za kilka kroków odmierzanych z dokładnością diler kokainy zamknę się na górze w graciarni, która zawsze udzielała mi azylu politycznego.

– Nie tym razem, dzieciaku – wyrwało mi się przez sen. Mały Maciek ze snu zamarł, usłyszawszy ogłuszające wycie syreny.

Była sobota. Południe. Puławską przejeżdżała karetka na sygnale. Leżałem w łóżku, a pod głową piętrzyła się sterta ciuchów, które normalnie wisiałyby na drewnianej rzeźbie – jedynej pamiątce po ojcu i zarazem jedynym jego dziele, które nie przypominało plemiennego potwora. Ojciec wyrzeźbił w ciemnym drewnie kształt chudego dzieciaka, który stoi w rozkroku. W uniesionych rękach trzyma siekierę. Jak się okazało, nie byłem taki sprytny. Tylko mi się wydawało, że nikt nie obserwował mojego aktu zniszczenia. Dowiedziałem się o tym jednak dopiero wtedy, gdy dostałem od dziadka w prezencie ten mój pomnik. Szkoda, że wczoraj ktoś go rąbnął.

Otworzyłem oczy. Rozmasowałem policzek, na którym kłamra paska odbiła się głębokim śladem. Karetka odjechała. Wycie syreny przestało rozbijać mój mózg na atomy, ale ten alarm i tak był moim najmniejszym problemem. Wstał nowy dzień, który

w normalnych okolicznościach zacząłbym od powolnego dochodzenia do siebie i porządkowania wydarzeń poprzedniego dnia. Niestety normalne okoliczności ulotniły się wraz z rodzinną pamiątką. Kto uznał figurę przedstawiającą małego mnie za wartościową? Jakaś tajemnicza wielbicielka? Jeśli tak, to lepiej, żeby czym prędzej odsłoniła karty. A jeśli to ktoś inny? Cóż, miałem pewne podejrzenia i wolałem, żeby się sprawdziły. Jednak zbadanie sprawy wymagało ode mnie świeżego umysłu, a na to potrzebowałem nieco czasu.

Odkrywanie Ameryki

– Na którą idziesz do pracy? – rzuciłem do słuchawki. Zdążyłem wypić pół butelki wody i pozbyć się młota pneumatycznego z głowy. Zajęło mi to wieczność, ale w końcu byłem gotowy zadzwonić do Mariusza. Uznałem, że czas pogadać.

– Na żadną – odpowiedział. – Dzisiaj jest sobota.

Faktycznie, dzisiaj była sobota. Gdy mam kaca, mój mózg działa na dwa z dwoma.

– No i? – nie dałem się zbić z tropu.

– Nigdy wtedy nie pracuję.

– Aha. – Zawiesiłem się na moment. – To świetnie, muszę do ciebie wpaść.

– To wpadaj, ale możesz się rozczarować.

– Dlaczego? – zapytałem, szykując się na niespodzianki, jakże modne ostatnio w moim otoczeniu.

– Bo nie ma mnie w domu.

A teraz wszyscy wybuchamy śmiechem, bo Mario sypnął żartem. Tyle że ja nie byłem wielbicielem dres-kabaretu.

– Gdzie jesteś? – spytałem więc.

– Na siłowni.

– Na siłowni?! Na takim kacu? – jęknąłem, bo obaj byliśmy w tym samym położeniu.

– Na kaca najlepsza praca, przyjacielu.

Przyjacielu, doprawdy? Przyjacielu, który włamałeś mi się do mieszkania?

– Świetnie. – Szczegóły odłożyłem na później. – Zaraz się tam zjawię.

– Ale po co? – Wyczułem niepewność.

– Musimy porozmawiać. Jest dziś Sylwek?

– Aha. – Zawahał się. – A do czego ci on?

– Możemy potrzebować mediatora – odparłem, przywołując w wyobraźni dzień, kiedy poznałem Mariusza. Dzień, w którym o mało mnie nie zabił, lecz dzięki interwencji Sylwestra zmienił zdanie i został moim najlepszym kumplem. Ktoś taki jak Sylwek może dziś być pomocny.

– Nie rozumiem. – Usłyszałem, jak szczeka opada mu na piersi.

– Nie szkodzi – odparłem, przegrzebując jedną ręką stertę ciuchów. Gdyby wisały na rzeźbie, nie miałbym problemu ze znalezieniem koszulki i spodni. Stwierdziłem, że potrzebuję jednak obu rąk, więc rzuciłem do telefonu „na razie” i skończyłem rozmowę. Ale zamiast nad stylizacją, zacząłem dumać nad leżącą na stole kopertą. Podniosłem ją, zebrałem kartki. Czytać nie zacząłem, nie było czasu. Tyle lat radziłem sobie, nie znając treści całego listu, że pół godziny odroczenia nie spowoduje krachu na giełdzie mojego życia.

Zabrałem list do siłowni. Po drodze prawie biegłem. Gdy wpadłem na salę, otrzepując

niewidoczny kurz, Mariusz leżał na ławce, sapał i pocił się jak durszlak, przez który ktoś odcedza kluski.

– Koniec na dzisiaj – zarządziłem i wskazałem Sylwestra oraz jego kanciapę. – Wy dwaj, ze mną.

Spojrzeni na siebie, jak gdyby się zastanawiali, czy chodzi o nich. Świetne przedstawienie, zwłaszcza że oprócz nas nikogo nie było na sali. Prawie się uśmiełem. Mariusz otworzył usta, żeby coś dodać, ale uniosłem dłoń w geście oznaczającym, że tylko ona go teraz słucha. Odwróciłem się i udałem w kierunku kanciapy. Za plecami usłyszałem człapanie dwóch par butów.

Nalałem sobie wody z baniaka i usiadłem na końcu stołu. Sylwek usiadł pod ścianą w typowy dla siebie sposób. Złączył kolana, stopy rozstawił szeroko, czubkami conversów skierowanymi do środka. Natychmiast zajął się przeglądaniem czegoś na laptopie.

– W czym mogę pomóc, Macieju? – Mariusz chciał założyć nogi na blat, ale jego uda na to nie pozwoliły. Oparł więc stopy o nogę stołu i wychylił się do tyłu na krześle.

– Mariuszu najdroższy, powiedz mi, czego szukałeś w moim mieszkaniu? – spytałem. Mariusz bujał się na krześle i dłubał pod paznokciami. Sylwester przerzucił grzywkę z całej twarzy na jej prawą stronę.

– Hę? – Mario odstawił krzesło na cztery nogi, ale nie stracił zainteresowania własnymi dłońmi.

– I do czego ci potrzebna moja rzeźba? – dokończyłem.

Mariusz opuścił ręce, wydał serię chrząknięć i mruknięć, w czasie których Sylwek wrócił do czytania w internecie relacji z koncertu 30 Seconds to Mars, co wyłapałem kątem oka. Gdybym ja też miał laptopa, zdążyłbym przejść całą krainę w Diabło. Tak wolno Mariusz zbierał się do mówienia. Pozwoliłem mu przewrócić parę razy gałami, jak to miał we zwyczaju. Taki jego urok. Jeśli mu to pomoże w myśleniu.

– Nie rozumiem – odparł wreszcie, a ja uświadomiłem sobie, że kręcenie oczami na nic się nie zdało.

Streściłem mu swoje wątpliwości. Spokojnie, bo taką mam naturę. Opowiedziałem o dwóch niezapowiedzianych wizytach anonimowego sprzątacza, o tym, że nawet zepsute mięso wyrzucił i że zapłacił sobie rzeźbą za usługi, oraz że miał klucze do mojego mieszkania. Dla podkreślenia niezadowolenia dodałem kilka wulgaryzmów. Nie omieszkałem napomknąć, że tylko ja i on możemy otworzyć drzwi bez użycia łomu, a z zastosowaniem kluczy właśnie. Wręczyłem mu kiedyś dodatkowy komplet, żeby podlewał tak zwane kwiatki. Wiedziałem jednak, że wykorzystywał moją chatę do spotkań z damami, bo nie mógł z nimi obcować w mieszkaniu dzielonym z bratem. Czynił to podczas moich spontanicznych weekendowych wyjazdów. Częstych z uwagi na to, że nie należałem do typów oszczędnych. Zresztą kto oszczędzałby pieniądze, których nie musi zarabiać własną pracą?

Mariusz okazał zdziwienie moimi zarzutami. Nie zgodził się z nimi, a na koniec obalił moją argumentację w bardzo prosty sposób. Ponownie wychylił się na krześle, zrobił

ważniacką minę i zadał mi dwa pytania. Gdzie był w czasie pierwszego włamania i z kim był w czasie drugiego? Trzeba mu oddać sprawiedliwość, zrobił ze mnie durnia.

Odpowiedź na pierwsze pytanie brzmiała: na imprezie, a na drugie: ze mną.

– A kto potwierdzi twoje alibi podczas pierwszego włamania? Może imprezę sobie po prostu wymyśliłeś – rzekłem, nie dając się zbić z tropu.

– Ja – odezwał się Sylwek, a my spojrzeliśmy na niego zaskoczeni, że wydaje dźwięki. – Też tam... byłem – dodał. Uniósł oczy do góry, nie podnosząc głowy. Wpatrywałem się w nieprzytomne białko jego lewego oka, które wystawało spod grzywki. Myślałem, że gdzieś indziej. Sądząc po minie, „indziej” to przytłaczające miejsce. Zasepiłem się, bo również tam trafiłem.

Chwilę zadumy przerwał Mariusz, a konkretnie jego rechot.

– Co cię tak rozbawiło? – spytałem.

– Czekam, aż zapytasz, kto poświadczy, że za drugim razem byłem z tobą.

Gdybym był gościem, który nerwowo reaguje na próby naśmiewania się z niego, gdybym był Mariuszem na przykład, skoczyłbym przez stół, dopadł go, przemówił do rozsądku przy użyciu pięści, opluł się przy tym rzęsiście, odczytał podręczną listę inwektyw i jeśli nie uzyskałbym istotnych informacji, to przynajmniej poczułbym satysfakcję z demonstracji siły. Nie byłem jednak takim gościem, więc zawtórowałem jego rozbawieniu. Choć z mniejszą intensywnością. Musiałem zachować twarz.

W pokoju zaczynało nieprzyjemnie pachnieć. Sylwek spojrzał na mnie, wymownie wskazując brata. Wstał i otworzył okno. Podzielał moją opinię. Mariusz nie reagował, więc stwierdziłem, że to on jest źródłem swędu zanurzonych w kwasie zgniętych jaj. Z policzka Sylwestra stoczyła się łza. Tak, kamracie, w pełni identyfikuję się z twoim odczuciem – pomyślałem. Spojrzałem na Mariusza, przyczynę naszej udręki, ale on nie podjął żadnych kroków w sprawie. Siedział dalej w przeupoconym podkoszulku.

– Sylwestrowi jest przykro, że nie pozwoliłeś nam dokończyć ćwiczeń – wyjaśnił w imieniu brata. Często wyręczał go w mówieniu. Sylwek, jak zwykle, pokiwał głową na znak, że zgadza się z interpretacją, choć tym razem Mariusz nie miał racji. Zazwyczaj jednak bezbłędnie rozróżniał między jednym grymasem bólu na twarzy Sylwka a drugim.

– Mnie też jest przykro, ale sprawa wymagała sprostowania – odpowiedziałem, patrząc na młodego.

Kiedyś uważałem za idiotyzm zwracanie się do faceta, za którego mówi ktoś inny.

– To kretyńskie – stwierdziłem pewnego dnia i dałem Mariuszowi do zrozumienia, żeby mnie w to nie mieszał.

Wtedy mój kumpel uzasadnił konieczność stosowania tej procedury za pomocą prawego podbródkowego i trzech słów:

– To mój brat.

Argumenty uznałem za wystarczające, nastawiłem sobie szczękę i rozprostowałem koszulkę poskręcaną na wysokości piersi.

Wróciłem do terażniejszości. Ponieważ wciąż ani trochę nie zbliżyliśmy się do

wyjaśnienia włamania, powiedziałem:

– Wciąż ani trochę nie zbliżyliśmy się do wyjaśnienia włamania.

– Wiem – odparł Mariusz. – Ale nie ukradli niczego oprócz rzeźby, która i tak była brzydka. W dodatku posprzątał. Pozwól, że bardziej przejmę się Oстрыm. Sylwek, pokaż mu. – Westchnął, a jego brat wstał z podłogi i odstawił laptopa. Wyciągnął z kieszeni kartkę, podał mi, więc odczytałem napis:

– Zostały ci trzy dni, botaniku.

Zabawny tekst, ale oni się nie śmiali.

– Rozumiesz? – spytali jednocześnie, choć jeden na głos, a drugi miną.

– Ale robocze? – zapytałem.

Przyjaciel puścił moją uwagę mimo uszu.

Wyjaśnił, że tę kartkę dla odmiany znalazł w skrzynce.

– Powyginanej i podrapanej dla zwiększenia efektu grozy.

Paradnie. Demonstracja siły przy użyciu skrzynki na listy. Nawet gangster wołomiński by się przestraszył – pomyślałem. Już dotarłem do rogatek kąśliwej uwagi, ale spojrzałem Mariuszowi w oczy i odkryłem, że nie jest w nastroju do żartów. Bardzo poważnie zrobiło się w tej naszej sali obrad. Mój kumpel oznajmił, że zamierza spędzić najbliższą noc w siłowni. Jeśli to konieczne, zostanie tu dłużej, dopóki czegoś nie wymyśli. Niezbyt bezpiecznie czułby się teraz w domu, którego adres znało wiele niepożądanych osób.

– Przydałby nam się worek pieniędzy albo przynajmniej jakaś dziura, w której moglibyśmy się zaszyć – stwierdziłem niczym bohater tulący w objęciach uratowaną z opresji piękność.

Sylwek wyciągnął do mnie laptopa. Ująłem go w dłonie i na stronie podróżniczej ujrzałem artykuł pod tytułem *Odkrywanie Ameryki*, z którego treścią się nie zapoznałem, gdyż nie o to Sylwkowi chodziło. Tytuł uświadomił mi banalność tego, co powiedziałem. Milczący chłopak za pomocą wyświetlanych na ekranie tekstów i zdjęć komunikował się z całym światem.

Zrozumiałem ironię, wszak szczyciłem się umiejętnością rozpoznawania momentów, w których ktoś robi ze mnie durnia. Czasem reagowałem przy pomocy celnej riposty, innym razem chowałem dumę do kieszeni. Teraz skorzystałem z drugiej opcji. Zupełnie odpuściłem odgryzanie się, bowiem gdy pomyślałem o kieszeni, od razu wspomniałem list z Ameryki, który dźgnął mnie w udo, kiedy zmieniłem pozycję na krześle.

Wyciągnąłem go, by ocalić kończynę przed kontuzją. Rozpostarłem kartki, wychwyciłem kątem oka zainteresowanie słuchaczy i uznałem, że to dobry moment na wprowadzenie nowego tematu, skoro poprzedni omówiliśmy już dogłębnie. Bracia wysłuchali relacji, nie wydając choćby głośniejszego jęku. Wprawdzie Mariusz orientował się w sprawie, ale zaciekały go nowe fakty. Słuchał, jak gdyby siedział w tym bagnie osobiście. Stanowiliśmy team. Trzej *amigos* – pomyślałem i jakoś ciepło zrobiło mi się na duszy.

Naładowany nową energią i zainteresowaniem kolegów, odczytywałem zdania, które

wyszły spod pióra dziadka Tadeusza. Burza mózgów, jaka się wywiązała, zaimponowała mi. To opieraliśmy podbródki na splecionych dłoniach, podrywaliśmy się z krzeseł, walczyliśmy na argumenty, to siadaliśmy z rezygnacją. Sylwester na poziomie podłogi rozkładał bezwładnie kończyny i opuszczał ręce. Eliminowaliśmy kiepskie pomysły i wpadaliśmy na alternatywne. Chodziliśmy po pokoju w tę i z powrotem, aż zgłodzieliśmy od wysiłku fizycznego oraz umysłowego. Sylwester, ustami Mariusza, zamówił na koszt firmy pizzę.

Pogryzając kawałki ciasta z pieczarkami i bekonem, debatowaliśmy niczym amerykańscy generałowie w centrum zarządzania kryzysowego. Ja, jak prezydent Bill Clinton, trzymałem palec na zapalniku bomby atomowej, w sensie: ostatnie słowo należało do mnie. Bill wydawał mi się całkiem wyluzowanym gościem, więc postanowiłem być właśnie nim. Obu nam zdarzyło się skosztować marihuany. Raz próbowałem zagrać na saksofonie, ale po paru sekundach straciłem słuchaczy. Tak czy inaczej, coś nas łączyło.

W końcu zaczęliśmy gadać od rzeczy. Kwaśny pot Mariusza wypełnił każdy zakamarek kanciapy i wtopił się we włókna ubrań. Ciężko było wytrzymać. Uchyliłem szerzej okno. Powietrze stało nieruchomo, nie przynosząc pożądanej ulgi. Podszedłem z kubkiem po wodę z baniaka, ale zostało parę kropel. To przesądziło sprawę, bez zapasów wody pitnej nie mogliśmy kontynuować debaty. Musieliśmy ją zakończyć, najpierw podejmując wiążące postanowienie. Podsumowałem ustalenia, ale nic z nich nie wyniknęło. Zdecydowaliśmy o podjęciu decyzji spontanicznej.

– Kto nie ryzykuje, w kozie nie siedzi – stwierdził Mariusz, a ja się zastanowiłem, czy przypadkiem nie zna sprawy z autopsji.

Postanowiliśmy wyruszyć do Obierca. Następnego dnia, po południu, bowiem Mariusz musiał zorganizować kilka przydatnych narzędzi, a ja – spakować starą koszulkę z napisem *punk's not dead*, która towarzyszyła mi w doniosłych chwilach. Obaj potrzebowaliśmy czasu na przygotowanie. Uścisnęliśmy sobie dłonie i rozeszliśmy się każdy w swoją stronę. Następnego dnia bracia stawili się punktualnie w punkcie zbiórki, a ja parę minut spóźniony z uwagi na niekorzystny układ przesiadek. Tramwaje tego dnia jeździły według świątecznego rozkładu. Udaliśmy się do hali głównej, gdzie zakupiliśmy bilety na miejsca w jednym przedziale. Dwa przy oknie i jedno środkowe.

Do lasu

Dworzec Warszawa Centralna. Dwadzieścia godzin po opuszczeniu siłowni i pięć łyków cytrynowej Nestea po tym, jak weszliśmy na peron z biletami do Łodzi w rękę.

Wyruszyliśmy do Obierca we trzech, bowiem ja dysponowałem mózgiem, Mariusz siłą argumentacji, a Sylwek podwyższał frekwencję. W drodze do stacji Łódź Fabryczna, gdzie mieliśmy się przesiąść, dopinaliśmy plan na ostatni guzik. Dopinanie przypominało orkę na ugorze, gdyż plan tym się charakteryzował, że praktycznie nie istniał. Nie miałem pojęcia, co nas czeka na miejscu. Przypuszczałem, że nie komitet powitalny. Wszak nie wysyłałem gołębia z zapowiedzią wizyty. Nastawiliśmy się na tak zwane wrogie przejęcie, o ile dom trzeba będzie od kogokolwiek przejmować.

Musieliśmy jednak spróbować. Jak wynikało z listu dziadka, stałem się od tej chwili właścicielem fortuny, a to nas wielce urządzało. Sylwek, przycupnięty niczym gargulec pod firanką z logo PKP, zaczął gorączkowo stukać w klawiaturę. Czy on spisuje protokół z posiedzenia? – zastanawiałem się. Co innego może robić pracownik siłowni? Nie słyszałem, żeby zajmował się na boku powieściopisarstwem. Zauważyłem jednak to małe ustrojstwo wystające z boku laptopa, które zasilalo sprzęt w bezprzewodowy internet. Coś przeglądał w sieci. Powinszowałem sobie, że nie skomentowałem sprawy głośno i nie wyszedłem na durnia nieobeznanego ze zdobyczami technologii.

Sylwek odnalazł to, czego szukał, a znalezisko przeznaczone było dla moich oczu. Przekręcił laptopa, gdyż siedziałem naprzeciwko niego. Oczom moim ukazał się sugestywny plakat z filmu *Dom tysiąca trupów*. Amerykanie nakręcili kiedyś taki horror i Sylwek uznał, że doskonale ilustruje problem mojej posiadłości. Zmierzał zapewne do tego, że może się w niej dziać nie wiadomo co, a ja się tym kompletnie nie interesowałem. Wolałem jednak nie wyciągać pochopnych wniosków. Poczekałem, aż Mariusz, który siedział obok brata, rzuci okiem na zdjęcie.

– Przetłumacz, proszę. – Wskazałem plakat zdobiony twarzą ze śladami walki do ostatniej kropli krwi. Pod spodem znajdowało się zdjęcie nawiedzonego domu i setek zdezelowanych krzyży.

– Chodzi o twój dom – wyjaśnił Mariusz.

– Poważnie?

Mój przyjaciel zacisnął pięści i podsunął mi pod nos stopę w czarnej skarpetce. Wcześniej zdjął buty i ułożył kończyny parę centymetrów ode mnie. Odsunąłem jego stopę, najszybciej jak mogłem, co nie było łatwe, gdyż trzymałem akurat otwartą butelkę i kanapkę. Mariusz zrezygnował z dalszych wygłupów – wziął nogę, wyjaśniając jednocześnie, że to dziwne, iż do tej pory nie interesowałem się dworkiem, który mi się należy jak psu buda.

– To proste – odparłem. – Z reguły nie interesują mnie miejsca, z których zostałem

wyrzucony jako dzieciak, do tego przez najbliższą rodzinę. Rozumiecie?

Sylwek rozumiał, co potwierdził spuszczeniem smutnych oczu. Coraz bardziej lubiłem tego wrażliwego chłopaka. Mariusz natomiast nie wyglądał na przekonanego. Jego oczy mówiły raczej: ty łajzo. Znałem tego typu spojrzenia. Obrzucał mnie nimi w momentach, gdy potrzebowałem jego przyjacielskiego wsparcia. Musiałem go jakoś przekonać. Żeby mu się przypodobać, postanowiłem uderzyć w samczy ton.

– A poza tym po kiego grzyba mi ich posiadłość? Radzę sobie bez niej – powiedziałem i stęknąłem w duchu. Taki ze mnie samiec jak ze strzały maczuga.

Widziałem raz pewien film i pomyślałem, że gdyby moje życie, podobnie jak bohatera, komentował upierdliwy narrator, pozwoliłby sobie teraz na uszczypliwość. Przypomniałby zainteresowanym, że mieszkam w lokum sponsorowanym przez rodzinę, utrzymuję się z ich datków i nigdy dotąd nie splamiłem się pracą. Od kiedy umarł dziadek, czyli gdy straciłem źródło finansowe, do osiemnastych urodzin, czyli doniosłej chwili otwarcia mojego dożywotniego funduszu, żyłem w bursie jedynie z odsetek od spirytusu. Dobrze prosperujący meliniarze składowali go w moim łóżku, za co otrzymywałem procenty od kapitału, plus kilka butelek na miesiąc, czyli wszystko, czego potrzebowałem w tamtym okresie. Niewiele.

Ale moje wymagania z biegiem lat urosły. Wynajem bieżni w okresie zimowym, drinki w klubach dla dziewczyn. To wszystko kosztuje. A ostatnio doszły niespodziewane wydatki, remont za remontem. Potrzebowałem tego domu w trybie pilnym. Wszystkiego, co uda mi się wydusić ze spadku. Ci dwaj naprzeciwko doskonale o tym wiedzieli. Sami potrzebowali kasy, inaczej by ze mną nie jechali. Nawet Sylwek, choć on naturalnie nie powiedział, na co potrzebuje. Nie dało się nie zauważyć, że przechodzi kiepski okres, coś go w życiu gnębi. Ronił sporo ukradkowych łez, mało się udzielał w burzy mózgow. Stukał w swoje klawisze, rzadko podnosił wzrok. Jeśli w ogóle, to by podziwiać przepływające za oknem widoki. Nawet ja, znający go pobieżnie, spostrzegłem, że jego smutek osiągnął wyjątkowo głębokie dno, ale nie chciał się z nami dzielić troską. Zasugerowaliśmy, żeby chociaż plakat kinowy wyszukał w internecie i graficznie zasygnalizował, z jakim problemem się boryka. Dał nam do zrozumienia, że w historii kinematografii nie nakręcono jeszcze takiego filmu. Laptop pokazał niebieski ekran i zgasł. Sylwek zgasł zaraz po nim.

Tak czy inaczej, bardziej czy mniej przygnębiony Sylwek był skarbnicą wiedzy. Odnosiłem wrażenie, że zna na pamięć całą sieć, znajduje informacje niczym agent wywiadu i sporządza raporty wzorem sejmowej komisji śledczej. Dlatego wzięliśmy go ze sobą. Poza tym tylko on wiedział, jak dotrzeć na dworzec PKS. Tylko on miał dostęp do internetu. Kiedy znaleźliśmy się na stacji Łódź Fabryczna i od piętnastu minut nie ruszyliśmy z Mariuszem z miejsca, zaczęliśmy się niepokoić jego nieobecnością.

Sylwester wysiadł z nami z pociągu, na który czekał tłum kibiców w czerwono-białych szalikach. Pachniało testosteronem. Kibice nie zwrócili na nas uwagi, gdyż nosiliśmy neutralne barwy. Dzięki temu, że Sylwek zdołał w Koluszkach reanimować sprzęt, wyświetlił nam teraz na ekranie plakat rodzimej produkcji z ubiegłego stulecia pod tytułem

...droga daleka przed nami... Dziwna pisownia, za dużo wielokropków, ale może w dawnych czasach obowiązywały inne zasady interpunkcji – pomyślałem. Na posterze widniał pomnik kobiety trzymającej uniesiony miecz, zasłoniętej biało-czerwoną tarczą. Pod spodem grafik prostą kreską namalował w Paincie jakiegoś harcerza. Film opowiadał o powojennej tułaczce chłopców, lecz Sylwestrowi chodziło o sam tytuł. Uznawszy, że zrozumieliśmy przekaz, zamknął laptopa, schował do plecaka i uwolnioną ręką wskazał własne krocze, a drugą halę dworca. Następnie ruszył w kierunku oznaczonym na tabliczce jako toaleta. Postanowiliśmy poczekać z Mariuszem na zewnątrz.

Minuty mijały, droga daleka przed nami, a ja i Mario przestępowaliśmy z nogi na nogę, wypatrując milczącego dzieciaka emo, który przepadł w kiblu, nie udzieliwszy nam dalszych wskazówek. Spojrzałem na zegarek. Autobus do Obierca miał ruszać za niecałe dwadzieścia minut.

– Kurwa – powiedziałem.

– Kurwa – zgodził się Mariusz. – Musimy tam wejść. – Wskazał na toaletę.

Weszliśmy do hali dworcowej. Przywitała nas stęchlizną z nutką bezdomności. Nie planowaliśmy jej jednak zwiedzać, zwłaszcza że kibiel był tuż na lewo. Klozetowa w eleganckim mundurku wyglądała jak stewardessa. Uśmiechnęła się, stanęła w drzwiach i powiedziała:

– Trzy złote od osoby.

– Chyba żart. – Zacząłem przetrząsać kieszenie, bo od czasu spotkania z Pitbullem nie dorobiłem się portfela. – Mam tylko złoty siedemdziesiąt drobnych. Ty idź.

Mariusz wyciągnął swój portfel.

– Zobacz, pusto. Muszę iść do bankomatu. – Pokazał przegródkę na grube bez grubych.

– Dobrze, to ty do bankomatu, a ja wejdę do kibla. – Wyciągnąłem z kieszeni stówę i wręczyłem ją klozetowej.

Mariusz w tym czasie filował zza moich pleców. Ani myślał ruszać się z miejsca.

– Nie mam wydać. – Podziemna stewardessa, tarasując wejście, stanęła na ugiętych nogach. Wystawiła zwinięte piąstki.

– Zwiewaj! – usłyszałem za plecami ryk Mariusza. Odepchnął mnie na bok, przewrócił, odtrącił klozetową i zniknął w głębi szaletu.

Wciąż leżąc, obrzuciłem wzrokiem smar na koszulce, plamę soku pomarańczowego, która z dworcowej posadzki przeniosła się na moją nogawkę, i przyciągnąłem do siebie plecak, który spadł mi z ramienia. Podniosłem się, otrzepałem niewidzialny brud. Ten widoczny i tak by nie zszedł. Oddaliłem się krokiem *à la* Korzeniowski, żeby zaledwie nie wzbudzać podejrzeń. Klozetowa odprowadziła mnie wyzwiskami, po czym wpadła do swojego królestwa.

Opuściłem budynek przez główne wejście. Nie zszedłszy nawet ze schodów, stwierdziłem, że dobrze byłoby wtopić się w tłum ludzi kontemplujących rozkład jazdy, jednak nie znalazłem ani tłumy, ani rozkładu. Skoncentrowałem się na odczytywaniu rejestracji przejeżdżających samochodów. Trzęsły mi się ręce, nogi prowadziły

w niekontrolowanych kierunkach. Myślałem o tym, że straciłem Sylwka i Mariusza. Zaczynałem panikować. Postanowiłem wykorzystać drepczące nieustannie stopy i popytałem przechodniów o drogę na dworzec PKS. Musiałem wyglądać nagannie, bo przeszywali mnie wzrokiem, krzywili się i odchodzili bez słowa. Odezwiała się dopiero przycupnięta na schodach góra śmierdzących szmat.

– Idź prosto przez parking, potem przejdź podziemiem na tramwaj. Dojedziesz w dziesięć minut.

Swój swojemu pomoże – pomyślałem. W tym momencie Mariusz wypadł przez główne drzwi.

– Na przystanek! – zawołałem i zerwałem się do biegu. Wyciągniętą ręką wskazywałem przed siebie. Mariusz dogonił mnie przy tunelu. Zamiast patrzeć pod nogi, gdy zbiegałem po schodach, rozejrzałem się dookoła i zauważyłem, że nie towarzyszy nam Sylwek.

– Gdzie młody? – Zatrzymałem się, dając Mariuszowi chwilę na złapanie powietrza.

– W dupę jeża, nie wiem! – przekrzykiwał świszczący oddech. – Nie mogłem go znaleźć. Jedziemy, potem pomyślimy, co dalej.

Zgodziłem się bez obiekcji. Najważniejsze to dotrzeć punktualnie na autobus do Obierca. Był dziś ostatni. Nic się w tej sprawie nie zmieniło, odkąd żyję, trzy autobusy w tę i z powrotem.

Z tramwaju wypadliśmy po dziesięciu minutach. Menel miał wyczucie czasu i dobrze znał topografię miasta. Czas mknął jak francuski TGV. Nie ważyłem się spojrzeć na zegarek, żeby nie zwolnić kroku. Musieliśmy przebiec w poprzek przez spory park miejski. Nie wiedziałem, czyjego był imienia. Nadałem mu opisową nazwę Posępne Chaszczce. Na szczęście słońce nie chowało się jeszcze za widnokretem, więc nie było się czego bać. Wspierałem Mariusza, jak mogłem, bo miał fatalną kondycję. Co parę kroków przystawał, unosił daszek bejsbolówki, ścierał pot z czoła, a potem długo poprawiał czapkę. Zerwałem mu ją z głowy, żeby nie marnował czasu.

– Oddaj – wychrypiał, więc cisnąłem nakrycie głowy w krzaki. Odprowadził je wzrokiem i pobiegł dalej.

Pamiętałem z dzieciństwa, że PKS do Obierca odjeżdża ze stanowiska siódmego. Mam pamięć do dziwnych szczegółów. Dopadliśmy do autobusu, gdy kierowca odpałał już silnik. To znaczy ja dopadłem, Mariusz wciąż miał do pokonania ostatni odcinek drogi.

Wyskoczyłem kierowcy przed maskę. Zacząłem podskakiwać i machać rękami jak facet z amerykańskiego lotniskowca, który wskazuje pilotom, gdzie lądować. Miałem nadzieję, że nie uzna mnie za wariata i nie wycofa autobusu z prędkością formuły jeden. Za chwilę dobiegł Mariusz. Złapał za boczne lusterko, podciągnął się wysoko i nawiązał z kierowcą bliski kontakt wzrokowy. Przestraszony mężczyzna zatrzymał wóz i pozwolił nam wejść do środka. Spojrzałem na niego. Skulił się w sobie i wskazał, żebyśmy się rozgościli. Podczas gdy Mariusz tłukł drzwiami, które zamknęły się dopiero za czwartym razem, poczułem, że muszę zmienić koszulkę. Gdy przyjaciel do mnie podszedł, poczułem, że powinien zrobić to samo.

– Parszywy śmierdziel – wycedził mi do ucha.
– Zaraz się przebiorę. Przecież biegłem.
– Nie ciebie mam na myśli, cieciu. – Otoczył moją głowę żelaznymi łapami i przekręcił we właściwym kierunku.

Z podłokietnika trzeciego siedzenia od końca zwisały chude nogi w czarnych conversach. Na trampkach dyndały zielone sznurówki. Zналиśmy te buty. Autobus opuścił dworzec, a my udaliśmy się w ich stronę.

– Masz nam cokolwiek do powiedzenia? – Mariusz uwiesił się nad siedzeniami zajętymi przez Sylwka. Wcisnąłem mu się pod pachę. Skoro niemy Sylwek miał udzielić odpowiedzi, musiałem zapewnić sobie lepszy widok. Niestety cena smrodu spod pachy była zbyt wysoka. Wycofałem głowę, a Mariusz włożył rękę do kieszeni. Sylwek odwrócił w naszą stronę laptopa. Spojrzeliśmy.

– Po co nam rozkład jazdy autobusu, którym już jedziemy?

Bezskutecznie próbowałem znaleźć jakąś ważną informację. Widocznie zasłoniła ją reklama sera z Biedronki. Sylwek zauważył moją konsternację i popukał w górną część ekranu.

– Aha – spuentowałem błyskotliwie. Otóż okazało się, że dworzec PKS, na którym wsiedliśmy, był drugim przystankiem na trasie naszego autobusu. Rozpocząła się ona na stacji Łódź Fabryczna.

Zastanawiałem się, czy to dobry moment, by moja pięść nawiązała kontakt fizyczny z twarzą Sylwka. Czy zrozumiałby dzięki temu, że mógł nas poinformować? Przykładowo wysłać esemesem kalambur, że czeka w autobusie i nie narażać nas na zbędny stres. Zrezygnowałem i splotłem dłonie przed sobą. Nie chciałem utracić wizerunku wyluzowanego gościa, zwłaszcza że Mariusz wyglądał, jakby zamierzał załatwić sprawę w naszym wspólnym imieniu. Zrzucił conversy z podłokietnika i klapnął koło młodszego brata. Ugiąłem kolana, żeby w razie czego uskoczyć, jeśli dojdzie między nimi do wymiany ciosów. Dobrze, bo autobus zahamował nagle, a ja utrzymałem balans. Drzwi się otworzyły, więc z ciekawością odwróciłem głowę w ich stronę. Było na co popatrzeć. Najpierw weszła ogromna torba w czarno-białą kratę, a po niej jeszcze większa baba z wypłowiałą blond kupą włosów na głowie. Handlarka z Rynku Bałuckiego.

Odstawiła torbę obok kierowcy i zatrasnęła drzwi jednym sprawnym ruchem. Autobus ruszył, wzniesając tuman porzuconych reklamówek. Zamarłem, bo handlarka szła prosto na mnie. Stopy stawiała z gracją. Nad kostkami gracja się kończyła. Dwie blade łydki niczym morys obleczone w kieckę ze zgniłych liści ocierały się o siebie. W korytarzyku między siedzeniami mieściły się tylko pojedynczo. Autobus podskakiwał na dziurach w asfalcie, ja balansowałem niczym surfer, a ona nic sobie z wertepów nie robiła. Aż zatrzymała się przede mną.

– Przejdź chcę. – Wbiła mi torbę w brzuch, przez co musiałem zrobić krok do tyłu. Naparła jeszcze mocniej, a ja znów przesunąłem się o parę centymetrów. Powtórzyliśmy ten manewr wielokrotnie, interwałowo, bo z trudem przeciskała uda. W końcu

wylądowałem na ostatnim siedzeniu pośrodku przejścia.

– Tu chcę – wskazała na moje krocze. Z nadzieją, że ma na myśli fotel, przesunąłem się w swoje lewo.

Klapnęła na moim eks-miejscu, a ja znalazłem się w pułapce.

– Nieugrzane – stwierdziła w powietrzu i schyliła się do torby. Pogrzebała w niej trochę, a ja miałem czas wyrównać puls i pomarudzić w duchu, że odcięto mi drogę do kolegów.

– Syn mi sprezentował – wcisnęła mi pod nos nowiuteńkiego, oklejonego folią iPod touch trzeciej generacji, żebym spojrział. Dopiero gdy mruknąłem z uznaniem, zabrała sprzęt i zajęła się rozplątywaniem białych kabli od słuchawek. Zakłopotany, postanowiłem nawet nie wyciągać swojego iRivera 512 mega. Jeszcze mnie uzna za wielbiciela antyków.

– Fajny – wycedziłem z wrodzoną elokwencją.

Kobieta zgarnęła przepalone końcówki włosów za uszy i włożyła słuchawki. Puściła muzykę tak głośno, że bez trudu rozpoznałem utwór. *Material girl* Madonny. Lubiłem ten kawałek.

Przesłuchaliśmy razem część składanki. Handlarka, dostrzegłszy, że wybijam stopą rytm utworów, wyjęła z uszu słuchawki i zagaiła niezobowiązująco o Madonnie. O tym, że marzy, by pójść na jej koncert, i że rozjaśnia sobie tak samo włosy. Nie skomentowałem fryzury, zwłaszcza że Helena, bo tak się przedstawiła, zaczynała się dopiero rozkręcać. Streściła swoją biografię, w której na pierwszy plan wysuwały się ciepłe relacje międzyludzkie oraz znaczenie biznesu rodzinnego i jej smykałka do interesów, dzięki której wykarmiła rodzinę.

Zaangażowani w luźne *tête-à-tête* dojechaliśmy do przystanku w Zgierzu, gdzie wysiadła z zamiarem przedstawienia oferty handlowej w miejskim szpitalu. Stwierdziła, że pacjenci bardzo interesują się ciepłymi szalami, które sprowadza z Rumunii. W panterkę, w rozgwiadzy, a szczególnie w japońskie znaki, których pacjenci nie potrafili odczytać, lecz mogli się dzięki nim poczuć światowo. Pożegnała się i w podziękę za wspólną podróż podarowała mi pudełko przewiązane czerwoną wstążką, które kazała otworzyć dopiero, gdy dotrę na miejsce. Przyjąłem podarek z wdzięcznością. W zamian położyłem na jej dłoni długopis z napisem Damascus-Syria, który buchnąłem przez przypadek Mariuszowi. Miał to być z mojej strony ukłon w stronę jej kosmopolitycznych sympatii.

Czterdzieści minut później, po tym jak zmieniłem koszulkę, pokontemplowałem drzewa i przeczytałem rozdział kieszonkowego kryminału, przesiadłem się do chłopaków. Sylwester próbował ze mnie żartować, pokazując na laptopie zwiastun jakiejś komedii romantycznej z Catherine Zeta-Jones, która w filmie spotyka się z dużo młodszym facetem. Obeszło mnie to tyle co niepodlany kaktus. Mariusz stanął nade mną i wciśniętym w splot słoneczny kolanem próbował nakłonić do zwierzeń. Byłem jednak nieugięty i nie zdradziłem najdrobniejszego szczegółu tego etapu podróży, który ja spędziłem z Heleną, a oni jak zwykle w milczeniu.

– Proponuję, żebyście się zajęli przygotowaniem do wysiadki. Widzicie ten las? –

Wskazałem.

Bracia posłuszne spojrzeli przez okno.

– Widzę dużo budynków i świateł. – Mariusz przykleił nos do okna, nabiwszy na łokieć udo Sylwka. Młody wstrzymał oddech z bólu albo od smrodu. – To tam?

– Nie, tam jest jednostka – oznajmiłem ważnym tonem. – Chodzi o las, tam się udajemy. Do miejsca za drzewami, którego nie widać.

Na więcej wyjaśnień nie starczyło mi sił. Położyłem sobie plecak na kolanach i zacząłem się gapić na suwak. Czekałem dobrą chwilę, ale nie rozsunał się pod wpływem spojrzenia. Musiałem otworzyć go manualnie. Poczułem nagły impuls, by zajrzeć do środka. Czegoś poszukać, czegokolwiek. Strasznie się denerwowałem. O, proszę! Herbata Nestea. Tego właśnie wypatrywałem. Wyciągnąłem butelkę i pokazałem ją chłopakom, jakbym odnalazł skarb. Odkręciłem i nakrętka wyskoczyła mi z palców. Przychyliłem butelkę do ust i stuknąłem się na wertepie w zęby. Piłem z trudem, wcale nie byłem spragniony, ale jakoś musiałem spożytkować czas. Odszukałem nakrętkę między butami i schowałem butelkę do plecaka. Tamci gapili się na budynki koszar. Autobus wszedł w ostatni zakręt; podjeżdżał do lasu w szybkim tempie i nie zdążyłem się przygotować. Dajcie mi choćby dwa dni, muszę uporządkować myśli – błagałem w duchu. Za późno. Ujrzałem tabliczkę Obierec Osiedle Wojskowe.

Autobus zatrzymał się na przystanku między drzewami. Wysiedliśmy. Kierowca zawrócił na pętli i pozostawił nas samych. Zwłaszcza mnie. Ja czułem się najbardziej samotny.

Miasto duchów

– Dlaczego nie pójdziemy prosto do twojego pałacu, panie hrabio? – Mariusz otworzył drzwi internatu wojskowego, w którym mieliśmy spędzić noc.

– Bo musimy się przygotować. – Wskazałem plamę na nogawce. – Idziemy robić poważne interesy. Musimy być wypoczęci, czysti i najedzeni, i to dotyczy wszystkich.

Sylwek wyciągnął w moją stronę trójkątną kanapkę, z której wcześniej wybrał cebulę.

– Nie, dzięki – odparłem i poszedłem do recepcji, by odebrać klucze do naszych pokojów. Oni dostali dziewiętnastkę, ja dwudziestkę obok. Mariusz zaczął szukać windy, ale Sylwek wskazał mu plan ewakuacyjny na ścianie, z którego wynikało, że budynek nie ma windy, bo posiada ledwie trzy piętra, wliczając parter.

– Okej – powiedział Mariusz, gramoląc się po schodach. Był wykończony. Nie miał nic przeciwko, żebyśmy odczekali z wizytą w dworku do jutra. Dobry Mariusz. Włożył klucz do zamka w drzwiach pokoju dziewiętnaście. – Ruszamy po śniadaniu?

– Tak – odparłem. – Niech Sylwek zrobi, sklep jest po drugiej stronie ulicy. – Zamarkowałem dłonią przypuszczalny kierunek. – A przynajmniej był dwadzieścia lat temu.

Laptop Sylwestra ogłosił uruchomienie systemu, co odbiło się echem w całym korytarzu. Młody postukał w klawisze, uniósł głowę i spojrzał na mnie zdziwiony.

– Nie potrafisz robić kanapek? – spytałem i przeniosłem wzrok na jego brata w oczekiwaniu na odpowiedź. – A trójkąty?

– Ekspedientka na Dworcu Centralnym zrobiła.

Sylwek zaczął machać grzywką na prawo i lewo, ale że włosy zasłaniały mu większość twarzy, nie mogłem wyczytać z miny, jakiego rodzaju wątpliwości go ogarnęły. Spojrzałem na Mariusza wyczekująco.

– Jakaś kwestia związana z internetem. Chyba pyta, czy można tu kupować w sieci.

Postukałem się w czoło i uznawszy to za wystarczający komentarz, wszedłem do swojego pokoju. Bracia poradzą sobie beze mnie. Zatrzymałem się w progu po drugiej stronie zamkniętych drzwi, wstrzymałem oddech i nadstawiłem ucho. W korytarzu rozległo się niemrawe szuranie butów, a następnie trzask drzwi. Wypuściłem powietrze. Miałem ich chwilowo z głowy.

Rozejrzałem się po pokoju. Jego większość zajmowała piętrowa żelazna prycza wyścielona stalowoszarym kocem. Przy drzwiach stał stolik z kwadratowym blatem, na który odłożyłem plecak. Między stolik, nogi łóżka a ścianę wciśnięto dwudrzwiową szafę. Ze względu na umiejscowienie dawało się otworzyć tylko jedno skrzydło. Stwierdziłem, że rozpakowywaniem zajmę się później i klapnąłem na pryczę. Obok niej, na ostatnich wolnych centymetrach podłogi, znajdowała się żelazna szafka, która całkowicie zagrażała dostęp do okna. Chciałem otworzyć szufladę, bo lubiłem sprawdzać, jakie niepotrzebne

pamiętki zostawili po sobie poprzedni goście, ale ktoś urwał gałkę.

Wyłuskałem poduszkę spod koca szczelnie okrywającego materac. Rzuciłem ją u wezglowia i rozciągnąłem się na całej długości łóżka. Nie powiedziałbym, że w wystroju pomieszczenia czuć było rękę profesjonalnego dekoratora, chyba że uznamy, iż znajdował się pod silnym wpływem dizajnu z lat siedemdziesiątych. Ściany ozdobił zgniłozieloną lamperią wykończoną taśmą. Magnetofonową? Chyba tak. Podrapałem po niej paznokciem. Owszem. Żółta farba od połowy ściany w górę wyblakła i pokryła się nalotem z papierosów. Wokół szafki nocnej utworzyły się kolorowe zacieki, co wskazywało na rozrywkowe życie gości zajmujących pokój przede mną. Uśmiechnąłem się, trochę słyszałem o stosunku żołnierzy do trunków. Świetnie byśmy się w tej sprawie dogadali.

Musiałem jednak oddać dekoratorowi, że doskonale skomponował meble. Wszystkie zostały wykonane z żelastwa w całości, jak łóżko, szafa mała i duża, lub w części, jak stolik o drewnianym blacie na skrzyżowanych prętach.

Na tym mogłem spokojnie zakończyć oględziny. Pomyślałem, że warto byłoby spożytkować czas, zaglądając wreszcie do pudełka od przekupki Heleny, ale to wymagałoby ode mnie podniesienia się z łóżka, na co nie miałem ochoty. Czym się tu zajmę, skoro narzuciłem sobie takie ograniczenia? – pomyślałem. W odpowiedzi rozległo się pukanie do drzwi, które wyrwało mnie z zadumy tak nagle, że uderzyłem czołem w górną pryczę.

– Proszę – rzekłem, od razu tego żałując, gdyż do pokoju wszedł Mariusz.

– Młodemu nie działa internet. Orendź nie łapie zasięgu. – Odłożył laptopa na stolik przy drzwiach. – Zrób z tym coś – zażądał i poszedł.

Lubiłem, gdy nasze spotkania były oszczędne w słowa. Są ludzie, z którymi możesz układać traktaty filozoficzne, są i tacy, z którymi co najwyżej uzgadniasz markę piwa. W piwach mieliśmy z Mariuszem pokrewne opinie – obaj gustowaliśmy w mocnych. Traktat napisaliśmy raz, ale po dużej dawce wódki, więc zapomnieliśmy jego treść. Dlatego uzgodniliśmy, że w relacjach ze sobą będziemy się trzymać prostych komunikatów, jak teraz. Powiedział, żebym coś zrobił, i wyszedł, a ja nie musiałem mu wyjaśniać, że osiedle Obierec jest otoczone lasem, w wyniku czego nigdzie nie ma zasięgu. Prawie nigdzie, bo na śmietniku, na przystanku PKS, pod garażami i w okolicy zalewu można złapać dwie kreski. Kiedy gościłem tu ostatnio, obiegłem całe osiedle z komórką w wysoko uniesionej ręce. Ponieważ wyglądałem jak superbohater, to wzbudziłem wesołość przechodzącego rybaka. Zlitował się nade mną i wymienił wszystkie punkty, w których można złapać zasięg. Z internatu najbliższej miałem do śmietnika. Zwlokłem się niechętnie z pryczy, wsunąłem laptop pod pachę i wyruszyłem na rekonesans.

Obierec Osiedle Wojskowe, pustynia mojego dzieciństwa, Arizona, po której szosie przetacza się suchy krzak. Dopiero dziewiętnasta, a na osiedlu żywej duszy. Skoro już jestem przy amerykańskich skojarzeniach, to u Wuja Sama mają jeszcze inne określenia dla moich rodzinnych stron. Wymarłe miasto, miasto duchów, miejsce pośrodku niczego.

Osiedle ma kształt podłużnego klina wbitego między dwie połacie lasu. Klin

ponadziwany jest niskimi blokami z lat pięćdziesiątych, których większość objął mackami grzyb. Pod koniec dwudziestego wieku dobudowano kilka nowych, aż czteropiętrowych bloków według ultranowoczesnej myśli budownictwa wielkopłytowego. Oklejone kamyczkami bloki numer trzydzieści, trzydzieści jeden, trzydzieści dwa i tak dalej dołączyły do ceglanych kostek o numerach od jeden do naście. Nie potrafiłem zlokalizować brakujących numerów, lecz nie zdziwiłbym się, gdyby opatrzone nimi budynki runęły z zaniedbania. Rozejrzałem się wokół. Pustka. Gdzie się podzieli wszyscy mieszkańcy, gdzie się podziało życie? Z laptopem pod pachą zapiściłem się między bloki w ich poszukiwaniu.

Moje wspomnienie osiedla dzieliło się na trzy epoki. Kiedy jeszcze na stałe mieszkalem w okolicy, wrzało tu od dzieciarni i huczało od masowych imprez, z których najpopularniejszą był festiwal muzyki punk rockowej. Przybywała masa kolorowych osobników, a ja się bałem wychodzić z domu. Choć Obierec sprawiał wrażenie metropolii, była to ledwie miejscowość o liczbie tysiąca pięciuset mieszkańców w czasach największej świetności. Znałem wszystkich. Wygrywałem w konkursie: zgadnij, kto gdzie mieszka. Raz tylko przegrałem, nie zauważywszy nowych lokatorów, którzy wprowadzili się do bloku na skraju lasu, gdy przebywałem na koloniach.

Kumplowałem się z każdym, choć nie byłem autochtonem. Dworek dziadków i nasza obora znajdowały się półtora kilometra na zachód od Obierca. Ale do szkoły chodziłem z dziećmi z osiedla. W ławce siedziałem z Piotrkim; sztama z Piotrkim oznaczała sztamę ze wszystkimi. Potem dziadek odesłał mnie do liceum w Warszawie i kontakt z kumplami się urwał.

Druga epoka, a raczej dwukrotny epizod, gdy przybyłem na pogrzeb dziadka, a potem babci. Najpierw ktoś zadzwonił, że zmarł dziadek. Miałem to gdzieś, nie chciałem jechać, byłem w okresie buntu. Jednak chodziło o niego, jedyną bliską mi osobę, która czasem dzwoniła i wysyłała przekazy pocztowe, żebym płacił za internat. Przełamałem się, schowałem dumę do kieszeni i ruszyłem do Obierca, żeby się z nim ostatecznie pożegnać. Pozostali ludzie, zwani kiedyś moją rodziną, nie podjęli żadnych starań, żeby się do mnie z powrotem zbliżyć. Podobno z rodziną dobrze wychodzi się tylko na zdjęciu. Zgadzałem się z tym stwierdzeniem.

W dzień pochówku zatrzymałem się w wojskowym internacie. Tym samym co teraz, jedynym. Osiedle nie wyglądało już tak, jak je zapamiętałem. Skurczyło się, opustoszało, prawie nikogo nie kojarzyłem. Babcia kiwała się nad trumną, mamrotała pod nosem monotonną litanię. Nie poznała mnie, kiedy podszedłem się przywitać. Poczuję się samotnie i nieswojo. Po co tu w ogóle przyjeżdżałem? Uznałem dalszy pobyt w Obiercu za stratę czasu, doczekałem do końca ceremonii, zdałem klucze w internacie i wróciłem do Warszawy. Pół roku później zmarła babcia, o czym zostałem poinformowany za pomocą niepodpisanego telegramu. Nie wiem dlaczego, ale znów pojechałem. Nikomu nie życzyłem źle, tamtych ludzi, tamto miejsce traktowałem obojętnie. Może miałem w duchu nadzieję, że doznam jakiegoś olśnienia albo ktoś mnie zaczepi i powie, że wszystko będzie

dobrze, albo że poczuję jakąś nową więź z tak zwaną ojcowizną. Do diaska, nie byłem nawet pełnoletni! Wydarzenia w Obiercu wyglądały jak odbite na kalce. Jakaś szara eminencja dopilnowała formalności, ktoś inny obiecał doglądać domu. Stwierdziłem, że mi to odpowiada. Nie przeżyłem wyczekiwanego katharsis, więc wróciłem do Warszawy. Z biegiem lat wspomnienia wyblakły, stopniały do kilku luźnych epizodów. Przyjemnych, choć gdzieś z zakamarków wypływała dziwna, bura maź.

Rozpadły się ostatnie więzi łączące mnie z Obiercem. Stan, który został moim prawnym nieobecnym opiekunem, po odczytaniu testamentu od razu uruchomił maszynę i do dziesiątego każdego miesiąca robił mi przelewy, wzorowo wypełniając obowiązki. Poza odczytaniem wybranych kawałków listu niewiele miał mi do powiedzenia. Wprawdzie zostawił numer telefonu, ale kontaktowaliśmy się rzadko i tylko w sprawach formalnych. Nie miałem mu nic do zarzucenia, raz czy dwa przysłał maila na święta i zdjęcie zrobione przed domem. Na ostatnim świeciło słońce, był trawnik, a tuż poza zasięgiem spryskiwacza on, jego amerykańska żona, syn koło czterdziestki – Stan Junior – wypisz, wymaluj Senior. Syn obejmował tęgą Meksykankę, która trzymała za rękę zapłakaną nastolatkę. Ta nastolatka musiała być teraz w moim wieku.

Co się stało z moimi rodzicami? No właśnie, rodzice zniknęli dużo wcześniej. Nie umarli, po prostu rozplłynęli się w powietrzu, ale nie wiedzieć czemu tak zwane władze nie zostały o tym poinformowane. Zdarzyło się to parę miesięcy po mojej zsyłce do Warszawy. Dziadek zadzwonił, mówiąc, że mama i tato spakowali walizki i wyjechali nieoczekiwanie bez słowa. Szukał ich, lecz bezskutecznie. Pamiętam tę rozmowę. Wróciłem z meczu spocony i śmierzący, kopałem po korytarzu piłkę. Szedłem w stronę pokoju, ale zatrzymała mnie dozorczyńca.

– Borowski, telefon! – warknęła na mnie, bo musiała oderwać się od serialu.

Rozmowa była krótka. Dziadek mówił tak, jak gdyby odczytywał z kartki przygotowany wcześniej tekst.

– Dziadku, ale dokąd pojechali?

– Nie wiem.

– Jak to nie wiesz?! Przecież mieszkają na twoim podwórku. – Pociągnąłem cicho nosem, żeby kumple z drużyny, którzy akurat mnie mijali, niczego nie zauważyli.

– Wpadaj na browar! – zawołał jeden z nich.

– Okej – odparłem i zbyłem ich machnięciem ręki. Wciąż czekałem na odpowiedź dziadka, ale on milczał.

– Będzie dobrze, Maciek – powiedział w końcu.

Co to miało znaczyć? Co będzie dobrze?

– Ale dlaczego mama nie zadzwoniła? Kiedy wrócą, gdzie pojechali? – powtarzałem w kółko jak zacięta płyta. Dziadek czekał, aż się uspokoję.

– Coś zostawili, może cię zainteresuje. Wyślę na adres internatu – powiedział i rozłączył się, a za parę dni dostałem w paczce rzeźbę: drewnianego dzieciaka z uniesioną do góry siekierą.

Po tym telefonie nie miałem ochoty na piwo, na nic nie miałem ochoty. Stwierdziłem, że więcej już do Obierca nie pojedę. Nie chciałem oglądać dziadków. Ten cały dworek, obora – wyłącznie nieprzyjemne wspomnienia. Straciłem zainteresowanie. Przyjmowałem tylko kasę na bursę, resztę zarabiałem na obrocie spirytusem. Wystarczało na podstawowe wydatki.

Nie odwiedzałem dziadków, bo po co? O pogodzie rozmawiać nie potrafię. A potem odeszli i problem się rozwiązał, za to pojawił się Stan Senior z listem. Dziadek odsłonił w ostatniej woli karty, chociaż zrobił to w swoim stylu. Niby wyjawiał tajemnicę, wyciągnął asa z rękawa, ale okazało się, że na stole wylądowały same osobliwe pary. Jedna para: on i Stanisław inwestujący w Ameryce pieniądze na moje dożywotnie utrzymanie. Druga para: rodzice. Eks-hippisi z szemraną przeszłością w Afryce. Śmiać się czy płakać? Moja rodzina o nazwisku Nonsens, ale prawdę mówiąc, ulżyło mi. Odbębniłem pogrzeby, mogłem się w to nie mieszać. Stan co miesiąc robił przelewy, grała muzyka.

Do czasu. Do chwili, w której bezimienny jegomość z Ameryki postanowił poprzestawiać w mojej muzyce nuty. Wysłał list w całości, pozwolił przeczytać wszystkie cztery kartki z akapitami, których wcześniej nie poznałem. Kto to mógł być? Wujek już nie żył. Stan Junior? Nie podpisał się. Próbowałem się z nim skontaktować, ale nie odbierał telefonu. *The number you are trying to reach is currently unavailable*. Trudno – pomyślałem. List był *available*. Zabrałem go na siłownię i tam przeczytałem po raz pierwszy. Mariuszowi opadała szczęka, nawet Sylwek jęknął. Oto okazało się, że dziadek zapisał mi dworek. Ni mniej, ni więcej, tylko cały obierecki majątek. Zwierzył się w liście, że kiedyś mnie okłamał, wcale nie umarł w biedzie. Zostało sporo kosztowności, ale ukrył je na czarnej godzinę. Nie, co ja mówię, ukrył je dla mnie. Przeznaczył wszystko dla wnuka, choć poprosił brata, żeby ten od razu mi o tym nie wspominał. Tak napisał. Wcześniej się umówili, a fragment dotyczący majątku miałem przeczytać dopiero po pewnym czasie. Jak się wyraził dziadek: wtedy, gdy Stanisław uzna, że poczułem szacunek do pieniędzy i pojąłem znaczenie ciężkiej pracy. To by tłumaczyło, dlaczego Senior zabrał do grobu te cenne informacje.

Junior, widać, też nie miał o mnie najlepszego zdania. Czy mógłbym chować urazę? Nie wyciągnąłem z życia cennej lekcji, nie stałem się pracoholikiem, jak pragnął dziadek, i nic nie wskazywało, że to się kiedykolwiek zmieni. Ktoś jednak nadał list i, żeby było zabawniej, wyczytałem z niego, że najcenniejszy skarb dziadek ukrył w sejfie wmurowanym w ścianę. A na ścianie przymocował ogromny kilim wyhaftowany przez moją matkę. Babcia czytała wiele książek, ale Tadeusz najwyraźniej wybierał z kolekcji głównie kryminały i na nich się wzorował.

Macieju, wiesz doskonale, jak drogi mi jest nasz rodzinny Obierec. Czyniłem wszystko, żeby przywrócić go do dawnej świetności. Mnie już zabrakło, dlatego chciałbym, abyś Ty, mój jedyny, najukochańszy wnuku, został dziedzicem obiereckiego dworu. Obiecuj mi, że nie pozwolisz, by znów nadgryzły go zęby czasu. Mieszkaj w nim,

wynajmij, oddaj pod opiekę, ale – na Boga – nie pozwól, by popadł w ruinę. W skrytce za gobelinem przedstawiającym herb i drzewo naszego rodu, które tak pięknie wyhaftowała Twoja matka, znajdziesz coś, co pozwoli ci utrzymać dworek w doskonałym stanie. Klucz do skrytki schowałem u podstawy figury, którą wysłałem ci dnia pewnego do internatu. Mam nadzieję, że się jej nie pozbyłeś.

Dziadku, dziadku, dziadku, ty i te twoje tajemnice. Osiągnąłeś dzięki nim cokolwiek dobrego? Mariusz podsumował to doskonale:

– Ja pieprzę...

Nadawca listu dołączył różową karteczkę. Napisał odręcznie *pilnuj figury*. Pilnowałbym, gdybym wiedział, że powinienem. Czy nie tak to działa? Figur pilnują ludzie, którzy wiedzą, że jest w nich klucz do sejfu, a w sejfie jest rozwiązanie doczesnych problemów. Tylko ja o niczym nie miałem pojęcia! Figura zniknęła w dniu wizyty włamywacza, a razem z nią klucz do sejfu.

– Kurrr... – Potknąłem się o pękniętą płytę chodnikową. Dotarłem do centrum osiedla. Centrum to nazwa umowna, biorąc pod uwagę, że doszedłem do niego w parę minut. Zatrzymałem się w miejscu, z którego widać wszystkie rogatki. Czy można to nazwać centrum czegokolwiek? W sensie geometrycznym, owszem, w rzeczywistości był to po prostu środek pustyni. Ciszę zakłócały jedynie lekkie podmuchy wiatru wśród dębów i kocie lamenty.

Tak wyglądała trzecia epoka Obierca. Puste okna, tylko w jednym czy w dwóch paliło się światło. Gdzieś migał telewizor. Odwróciłem się i ujrzałem taki sam krajobraz. Okna pozbawione firanek nie dlatego, że w Obiercu zamieszkiwali Holendrzy, którzy ze względu na religię nie mają nic do ukrycia. Osiedle było podejrzanie wyludnione. Przeszedł mnie dreszcz, więc wróciłem do internatu. O laptopie przypomniałem sobie dopiero na schodach. Trudno, zasięgu poszukam, gdy okaże się naprawdę niezbędny. Sylwek poradzi sobie na migi.

Odstawiłem sprzęt na stół. Rzuciłem okiem na spodnie, które poplamiałem na dworcu, powąchałem pachę, skrzywiłem się. Wyciągnąłem z plecaka zestaw do kąpieli i podszedłem do łóżka. Na ramie wisiał internatowy ręcznik w paski. Szorstki i poszarzały. Zarzuciłem go sobie na ramiona. Słońce zniknęło za widnokregiem, zaczynało się robić chłodno.

Komórka, która została na łóżku, rozblysnęła i wydała z siebie krótki dźwięk. To nie esemes, poznałbym, ale być może złapałem zasięg. Klapnąłem na łóżko, lecz wyświetlacz zdążył już zgasnąć. Wcisnąłem przypadkowy klawisz, ale komórka nie zareagowała.

– Bateria padła – powiedziałem sam do siebie. Spojrzałem na plecak, w którym miałem ładowarkę, ale wydawał się znajdować lata świetlne stąd.

Później naładuję – pomyślałem i zapominając o kąpieli, rozłożyłem się wygodnie na pryczy. Pokręciłem się trochę, żeby wyciągnąć spod tyłka koc. Okryłem się nim i to była ostatnia czynność tego dnia.

Rano obudziło mnie łomotanie do drzwi, potem Mariusz wpadł z hukiem, podbiegł

i zaczął mną tarmosić. Działąłem jak na autopilocie. Nie wiem, co mnie tak odurzyło, ale półprzytomny przeżuwałem przygotowane przez Sylwka kanapki. Zacząłem przeglądać plecak, podłączyłem telefon do ładowarki. Coś wypakowałem, coś przełożyłem. Przedmioty wypadały mi z rąk. Mariusz powiedział, żebym wszystko zostawił, że on weźmie graty. Porzuciłem więc cały majdan i ruszyliśmy w drogę do mojej przyszłej siedziby.

Przytomność odzyskiwałem powoli, muskany wilgotnym powietrzem przesiąkniętym zapachem sosen. Od zachodu osiedle zamykał las iglasty. W pełni ocknąłem się dopiero pod dworkiem. Jego bliskość podziałała lepiej niż podwójne espresso.

Kura

– Ale buda – Mariusz skomentował dworek jako pierwszy.

Ja poczułem nagłą potrzebę otarcia błota z butów. Tarłem lewym o prawy, nie oszczędzałem nogawki. Bure płaty zamiast opadać na ziemię, wlepiały mi się w spodnie. Oczyszczanie butów było kluczowe. Pozwalało odwlekać moment. W głowie słyszałem jęki neuronów, które biczowały się własnymi aksonami. Zacząłem się zastanawiać, co Mariusz miał na myśli. „Ale buda”, czyli kolokwialnie imponująca posiadłość, czy bardziej „co za ruina, spadamy stąd”?

– Ej! – Walnął mnie w ramię.

Otrząsnąłem się i spojrzałem na niego. Stał naprzeciwko, więc siłą rzeczy ujrzałem w kadrze również dworek. Wychyliłem się zza kwadratowego kloca obleczonego w koszulkę *fuck the system*, czyli Mariusza, żeby mieć lepszy widok. Zła decyzja, widok był opłakany, żaloszny. Taki, który sprawia, że człowiek robi w tył zwrot i kasuje z pamięci zapis ostatnich chwil. Niestety nie mogłem ruszyć z miejsca, bo Mariusz trzymał mnie mocno za ramię. Ustrojona nagietkami ręka zacisnęła się niczym szczęki aligatora.

– Sylwek! – zawołałem. Młody właśnie próbował się wspiąć na przerdzewiałe ogrodzenie.

Siatka otaczała całą działkę, łącznie z domem, oborą, szopą i wszystkim innym, co należało do posiadłości. Widziałem ją po raz pierwszy. Teraz Sylwek przyginał ją butem i odrywał od słupka. Wyrwałem się z uścisku Mariusza i pobiegłem powstrzymać młodego. Nikogo z nas nie powinno tam być. Powinniśmy się teraz znajdować w dowolnym innym miejscu, które lubimy odwiedzać, ale na pewno nie na terenie zrujnowanego majątku dziadka. Tylko że Sylwek się wyrwał i przeskoczył na drugą stronę płotu. Mariusz szybkim ruchem oderwał fragment siatki i rzuciliśmy się w pogoń za młodym.

Po drodze przebiegliśmy przez stado kur. Ani dziadkowie, ani rodzice nie hodowali drobiu, a już na pewno nie tak uświnionego. Pióra zawirowały, kury rozbiegły się na wszystkie strony. Wyglądaliśmy, jakby ktoś zatopił nas w szklanej kuli ze śniegiem i potrząsnął. Za pomocą podeszew zebrałem kilka kurzych głów. Młodego dopadliśmy dopiero pod gankiem.

– Heeej! – Mariusz złapał go za fraki tak gwałtownie, że Sylwek upadł na schody. – Nie za bardzo ci się spieszy? Może najpierw mały rekonesans? – wycedził, łapiąc oddech między sylabami.

Oparłem się o kolumnę przy wejściu, ale zaraz stanąłem prosto, bo coś się zaczęło sypać. Cały ganek zatrzeszczał. Drzwi za Sylwestrem zawyły na jednym zawiasie, podczas gdy on próbował wygrzebać tyłek spomiędzy połamanych desek eks-schodów.

– Nie po to tu przyjechałem, żeby tracić czas na rekonesans – powiedział.

Mariusz podźwignął się z ukłonu, w którym się złożył, by zniwelować klucie

w płucach. Spojrzał na mnie swoim charakterystycznym „Co do diaska?!”, w przekładzie na polski oficjalny. Następnie powiedział na głos:

– Czy ja mam omamy, czy mój brat otworzył usta?!

Odpowiedziałem swoim typowym „nie wiem”. Zapewne ciągnęlibyśmy pogawędkę, gdyby z tyłu od strony obory nie rozległ się odgłos powietrza wypuszczanego przez dziurę w balonie. Odwróciłem się w jego kierunku. Nie, to nie balon. To drzwi zaskrzypiały.

Spomiędzy wrót wyłonił się średniego wzrostu człowieczek. Tańczył w gumofilcach pod batutą podmuchów wiatru, ale kiedy nas dojrzał, zebrał się w sobie i z wysiłkiem wyrównał krok. Złapał jedno skrzydło wrót i przeszedł z nim parę kroków. Potem złapał drugie, docisnął skobel, zamknął kłódkę i włożył klucz do kieszeni. Kieszeń przyklepał z pietyzmem.

Żaden z nas nawet nie mrugnął powieką. Człowieczek mógł być na oko w moim wieku, ale mógł mieć też pięćdziesiąt lat. Szary waciak okrywał go szczelnie, ale z twarzy dało się wyczytać, że albo przeżył lata w znoju, albo wśród mocnych oparów wódki. Zbliżył się do nas i wyszczerzył zęby w uśmiechu. Mój nos zwiądnął, zrozumiawszy, że nieznajomy miał za sobą drugi wariant życiorysu.

– Czołem, panie kapitanie. – Zasalutował mi, ale zaraz zamachał ręką w poszukiwaniu jakiejś niewidzialnej podpory.

– Kopę lat – odruchowo podrapałem bliznę na czole.

Trudno uwierzyć, że dzieliło nas tylko pięć miesięcy różnicy wieku. Cofnąłem się o krok, ale zatrzymał mnie brzuch Mariusza stojącego z Sylwkiem za moimi plecami, podpisawszy bez konsultacji ze mną układ o nieinterwencji. Piotrek tymczasem się gapił. Żeby chociaż dał jakiś znak, że oto wita mnie na terenie mojej posiadłości, że obiad na stole i kiedy ma oddać klucze, ale nic z tych rzeczy. Stał z rękoma w kieszeniach i czekał, aż ja odezwę się pierwszy.

– Nieźle dziś w nocy popadało – zacząłem, rozgarniając butem błoto. – Ciężko się było dostać do tej mojej posiadłości – zagrałem ostro, podkreślając ostatnie sylaby. Urwałem, czekając na jego reakcję.

– Ciężko się było dostać... sra-ty-ta-ty. – Odwrócił się w stronę domu, a raczej tego, co z niego zostało. – Waaal-deeeek!

Dykta w oknie na piętrze poruszyła się i ktoś wystawił głowę przez otwór. Bardzo praktyczny system naturalnej wentylacji.

– Co?! – odkrzyknął łeb z pekaesami na pół policzków.

– Gości mamy! Chodź się przywitać!

W domu coś załomotało. Może pekaes schodził, a może ktoś zrzucił ze schodów worek ziemniaków. Piotrek patrzył na drzwi i czekał, potem wewnątrz dworku ktoś zawołał niejaką Krystynę. Za moment niewidzialne ręce uniosły drzwi z jedyne go zawiasu, na którym się trzymały, i z wnętrza wytoczył się nosiciel bokobrodów, którego nie znałem, w towarzystwie starszej kobiety. Ruszyli w naszą stronę, a niewidzialne ręce wniosły drzwi do środka budynku, po czym razem z właścicielem dołączyły do kobiety i jej

kompana – Waldka, jak mniemałem. Odźwierny kroczył za nimi chodem, którym zawstydziłby wartownika spod Grobu Nieznanego Żołnierza. Przecież to Darek! – zawołałem w duchu. Darek o mordzie konia. Pociągły i wyposażony w chrapy łeb kolebał się na długiej szyi.

Krystynę też poznałem bez trudu. Nasza wspólna historia zaczęła się pod koniec szkoły podstawowej wraz z początkiem przygody z alpagami. Piliśmy na przystanku, ale na zimę przenosiliśmy się do kawiarni Rozkosz w klubie garnizonowym. Rozkosz mignęła mi w oddali wczoraj, gdy spacerowałem z laptopem. Przemianowali ją na Euforię. Tak właśnie, pisaną przez „ph”. Z nową nazwą wkroczyli w dwudziesty pierwszy wiek. Wtedy jednak nie byli tacy nowocześni. Krystyna stała za ladą i wyglądała jak tania wersja Violetty Villas. Dzisiaj już w niczym jej nie przypominała.

– Dwa plus dwa równa się siedem – mówiła, kiedy zamawialiśmy kolejne butelki. Wyciągała kalkulator, ściągała brwi, sznurowała usta i sumowała. Za chwilę podawała kwotę dwa razy wyższą niż cena na etykiecie. Kładliśmy na ladę tyle, ile trzeba. Ona chowała pieniądze do szuflady i nie zadawała pytań. Nie nabijaliśmy się z jej zdolności matematycznych na głos, a ona nie pytała nas o plany na przyszłość i o wiek. Wspaniale się nam koegzystowało.

Ekipa z Rozkoszy liczyła cztery osoby: ja, Piotrek, Darek Mustang i taki koleś, którego imienia nie pamiętam, bo robił jedynie frekwencję. Mógłby mieć na imię Sylwek, gdyby w tamtych czasach istniała subkultura emo. Piotrek pełnił funkcję kierownika imprezy, Mustang biegał dookoła nas i zbierał zamówienia. Sympatyczny i uczynny typ. Ja byłem nikim, a może właśnie kimś ważnym, zależy, z której strony spojrzeć. Byłem kumplem Piotrka.

Stałem teraz naprzeciw swingujących zjaw i nie miałem złudzeń. Kumpelskie relacje skończyły się dawno temu z ostatnią wypitą razem wiśniówką.

– Przyjrzyj się, Krystyna, Borowski nas odwiedził. – Darek wyminął eks-bufetową, zbliżył się do Piotrka i włożył mu do ręki coś, co błysnęło w promieniach słońca. Piotrek wsunął przedmiot do prawej kieszeni.

Chwilę po tym Mariusz przywarł do moich pleców i zaczął mi dawać jakieś dziwne znaki. Przesunąłem się nieznacznie, żeby mieć go w polu widzenia. Wymachiwał ręką coraz bardziej energicznie. Zaczynał panikować? Cóż, ja na pewno tak. Mariusz patrzył to na mnie, to na swój plecak. Trzymał go przy nodze. Był otwarty. Spojrzałem w dół i ujrzałem cały arsenał. Pałka, maczeta, nóż kuchenny i masa innego żelastwa.

Wydałem niemy jęk, Mariusz uśmiechnął się pod nosem. Dobrze znałem ten rodzaj uśmiechu. Oznaczał, że Mariusz jest w swoim żywiole. Super Mario – wielki powrót. Do diaska! To były narzędzia, które organizował przed podróżą. Wolałem go w okresie uśpienia, bo ja na przykład byłem nastawiony pokojowo. Przywoływałem akurat w głowie niezwykle sensowne argumenty. Założyłem, że Piotrek się z nimi zgodzi i bez słowa sprzeciwu spakuje manatki, znamy się przecież nie od dziś, a tu Mariusz prezentował broń.

Zaczerpnąłem powietrza, żeby rozpocząć przemowę. Miała być lepsza niż noworoczne

orędzie prezydenta. Wtedy Mariusz podsunął plecak Sylwkwowi. Młody zajrzał do środka, włożył rękę, pogrzebał i wyciągnął tasak. W mordę jeża! Błyskawicznie przeniosłem wzrok na wrogów. Piotrek wyciągnął z kieszeni nóż sprężynowy, Waldek stanął w rozkroku, czekając na rozwój wydarzeń. Nie miałem pojęcia, co czynić.

– Przyjaciele, nie ma się o co spierać – rzekła dobrotliwie Krystyna. – Tylko mi drób popłoszycie.

Stara dobra Krycha – pomyślałem, ale zmieniłem zdanie, bo nagle starucha chwyciła kure, złapała ją za skrzydło, wzięła szeroki zamach i rzuciła ptakiem prosto w nas. Kura wylądowała na Sylwku i wytrąciła mu z ręki tasak.

– Burek! – ryknął Piotrek – Gdzie jest pies?! Darek, szukaj go!

Darek rzucił się w kierunku mojego dawnego apartamentu, czyli obory, z której dochodziło ujadanie psa. W takich sytuacjach zazwyczaj wyczekuję z ciekawością, co dalej się wydarzy. Ale do tej pory podobne sytuacje oglądałem w kinie. Skucha, znalazłem się w centrum wydarzeń i nic nie wskazywało, że doczekam happy endu. Piotrek i jego scyzoryk zaczęli się do nas zbliżać. Odwróciłem się do mojej świty, przygotowałem kolana i zacząłem przyciszonym głosem:

– Panowie... nadszedł czas... wiać! – I rzuciłem się stylem antylopy w kierunku zerwanej siatki.

Dalsze wydarzenia przypominały scenę pościgu z amerykańskiej produkcji z milionowym budżetem. Biegnę slalomem między kurami, wskakuję w kałużę i ochlapuję sobie koszulkę, wbiegam na siatkę, zaczepiam sznurówką o wystający drucik, upadam, przetaczam się, podnoszę się z błota. Nie otrzepuję rąk ani kolan, bo nie mam czasu. Za plecami wciąż słyszę ujadanie psa i krzyki ludzi. Wpadam na osiedle, ignoruję spłoszonych przechodniów, przeskakuję przez żywopłot, truchtam na palcach wzdłuż ściany kotłowni, wyglądam ostrożnie zza winkła i wybiegam na ulicę robiącą wrażenie pustej, jednak nieoczekiwanie muszę uskoczyć przed zielonym punto. Lecę dalej.

Wbiegam na wał wokół zbiornika przeciwpożarowego, bez sensu, równie dobrze mogłem pobiec dołem. Za późno to sobie uświadamiam, potykam się o korzeń i staczam. Korzeń upewnia mnie, że powinienem był wybrać inną drogę. Podnoszę się z ziemi już drugi raz w ciągu ostatnich minut. W mojej rzeczywistości czas płynie szybko jak w zderzaczach hadronów. Skręcam koło sklepu, wytrącam dzieciakowi lody. Dzieciak płacze. Obiecuję, że później mu odkupię. Wbiegam na pierwsze piętro internatu, otwieram drzwi. Mam klucz, bo rano zapomniałem zostawić go w recepcji. Jak w filmie!

Padam na pryczę. Nadchodzi moment, w którym mogę zapytać: „Co jest grane?”. Tylko nie mam kogo. Udało mi się zgubić nie tylko pościg, ale i moich towarzyszy. Chlusnąłem sobie wodą mineralną w twarz i wyjrzałem na korytarz. Pusto. Zapukałem dla pewności w drzwi obok, w razie gdyby chłopaki wybrali inną drogę i dotarli do internatu przede mną, ale nikt mi nie otworzył. Nacisnąłem kłamek, zamknięte. Ojejku.

Ojejku? Sam siebie wyśmiałem za niewieści komentarz. Jak powinienem się teraz zachować? Pod dworek nie miałem ochoty wracać. Zdecydowałem się wziąć prysznic.

Natryski były wspólne na całe piętro, więc zabrałem czyste ciuchy, graty do mycia i wyszedłem z pokoju cichym, starannym krokiem. Byłem skupiony, wolałem dmuchać na zimne.

Gdy wróciłem, w pachnących dżinsach i koszulce, już siedzieli na mojej pryczy. Sylwek od strony okna, Mariusz obok brata.

– To było słabe, stary – pierwszy odezwał się Mariusz. Sylwek kopnął mnie w kostkę.

– Aua, kurde! – oburzyłem się, ale uznałem, że to kiepski moment na wyrównywanie rachunków.

Mariuszowi ciekła z nosa krew. Nagietki też mu krwawiły. Oddychał szybko i płytko. Sylwek przykrył twarz grzywką. Usiadłem obok nich i spędziliśmy tak trochę czasu w milczeniu, dopóki Mariusz nie wyrównał oddechu. Sąsiadowały ze mną jego krwawiące kwiaty. Prawie mnie nimi dotykał, bo siedzieliśmy wszyscy w rzędzie jak trójka skruszonych dzieciaków, którym ojciec robi awanturę, bo podpaliły kotu ogon. Chłopcy, zachowaliście się skandalicznie.

– Co ci się stało? – spytałem, wskazując na ranne ramię.

Spiąłem się w obawie o cios, ale widać Mariusz razem z pulsem obniżył poziom adrenaliny.

– Upadłem – odparł i siedział dalej w bezruchu.

Nie miałem pojęcia, co się zaraz stanie, ale pragnąłem, by nastąpiło to szybko i bezboleśnie. Mariusz zaczął trząść ramionami. Bałem się spojrzeć, dopóki się nie zorientowałem, że i Sylwek zaczyna podrygiwać. Obróciłem powoli głowę w ich stronę, ręce opierając o krawędź pryczy, żeby ewentualnie uskoczyć. Łysy się śmiał, mój popaprany kumpel cały trzął się ze śmiechu.

– Ha, ha, ha – zarechotał wreszcie i grzmotnął mnie pięścią w ramię. – Stary, ale jatka! Żałuj, że uciekłeś!

I zaczął mi opowiadać, jak wywiązała się walka na kury. Mariusz i Sylwek rzucali drobiem w przeciwników. Przeciwnicy odpowiadali tym samym. Burek złapał za łeb koguta i zaczął nim tarmosić. Krystyna zaczęła tarmosić Burkiem. Piotrek zaczął potrzasać Krystyną.

– Zostaw w spokoju mojego psa! – krzyczał.

Korzystając z okazji, Mariusz wyciągnął z plecaka nóż kuchenny i złapał jedną kurę. Podał Sylwkowi drugiego ptaka. Sylwek podniósł z ziemi tasak. Obaj przystawili ptakom po ostrzu do gardła i zaczęli się wycofywać. Piotrek, Darek i Waldek początkowo uznali, że wyrznięcie kur niczego nie zmieni i ruszyli za nimi. Wtedy Krystyna dopadła Waldka. Szepnęła mu na ucho coś, co poskutkowało tym, że mężczyźni odpuścili. Bracia porzucili drób przy ogrodzeniu i kontynuowali odwrót do internatu.

– A następnie wpadliśmy do ciebie z wizytą.

– A kwiatki, a nos? Skąd tyle krwi?

– Upadłem, nic takiego.

Po czym przyjaciel kazał mi się zamknąć. Miałem wątpliwości, czerwona kreska pod

trzecim nagietkiem od góry była zbyt długa i prosta jak na otarcie poupadkowe, sprawiała wrażenie rany ciętej. Nie odezwałem się, widocznie Mariusz miał powody, by o niej nie wspominać. Wolałem mu nie psuć humoru. Mnie był potrzebny jego entuzjazm, więc wychyliłem się, żeby wyczytać z twarzy Sylwka, o co chodzi. Młody jednak zasłonił całą mimikę, ustawił conversy na ramie łóżka i podciągnął kolana pod brodę. Wyglądał jak kura na grzędzie.

Pośród wróbli

– Idziemy na spacer – zarządziłem i wstałem, żeby założyć adidasy.

– Na co? – Mariusz podniósł się z pryczy, ale niczego nie założył. Był już ubrany.

– Spacer, miastowy bucu. Nie wiesz, co to takiego? – Wziąłem klucze ze stolika.

Odłączyłem od prądu telefon. – Chodzi się na nogach.

– Wolałbym podjechać.

– Nie ma czym. – Rozłożyłem ręce. Co ja mu będę wyjaśniał?

– Nie kumam.

– Tutaj się wszędzie chodzi. No już, idziemy na świeże powietrze. Dobrze się wtedy myśli.

Stanąłem w drzwiach, czekając, żeby opuścili pokój. Sylwek wstał i wyszedł niczym panienka, którą facet wyciągnął na mecz. Za nim poczłapał Mario. Świetnie rozegrali tę scenę braku entuzjazmu. Wygrzebałem laptopa spod sterty czegoś tam i przywołałem Sylwka wzrokiem.

– Może będziesz go potrzebował. Wiem, gdzie znaleźć internet.

Uśmiechnął się koślawo.

Wyszliśmy na osiedle, na którym po paru minutach wreszcie minął nas człowiek.

– Dzień dobry – powiedział, idąc dalej swym torem. Odpowiedziałem. Sylwek potrząsnął grzywką, a Mariusz, nie czekając, aż tamten się oddali, warknął:

– Znasz go?

Spojrzałem na tego faceta, żeby sprawdzić, czy nie poczuł się urażony i czy go znam. Przybrałem minę zatytułowaną: „przepraszam za kolegę”, ale on nas ominął i skręcił za róg. Zostaliśmy sami na chodniku. W głowie nuciłem piosenkę z jakiegoś westernu.

– Pytałem, czy go znasz? – Cios w plecy pozwolił mi odzyskać przytomność.

– Nie.

– To dlaczego odpowiedziałeś „dzień dobry”?

– Taki tutaj zwyczaj – rzekłem i napałem na Sylwka, wymuszając skręt w prawo.

Doszliśmy do głównej ulicy, na którą mieliśmy widok z internatu. Wjeżdżało się nią na osiedle. Teraz dochodziliśmy już do przeciwnego krańca osady. Zaledwie po dziesięciu minutach drogi. W tym miejscu Sylwek powinien powoli łapać internet, ale postanowiłem mu o tym nie wspominać, o ile sam się nie domyśli. Pachniało lasem, szumiało liśćmi, śpiewało ptakami. Nie chciałem tego zakłócać. Wczuwałem się w pozacywilizacyjny zen.

– Dzień dobry – przywitał się wychodzący z lasu przypadkowy przechodzień.

– Dzień dobry – tym razem odpowiedzieliśmy wszyscy. Sylwek, rzecz jasna, skinieniem.

Zaczynało nam to wchodzić w nawyk, wtapialiśmy się w tło. Moje chłopaki złapały klimat i odpowiedziały na powitanie kolejnego jegomościa. Sylwek nie wyciągnął laptopa.

Stanęliśmy przed ścieżką prowadzącą do lasu.

– Ni cholery tam nie wejść – zaproponował Mariusz, kiedy dotarliśmy do pierwszych dębów. – Zobacz. – Wskazał na trzy bezańskie psy, które od jakiegoś czasu się za nami wlekły. Jeden był naprawdę duży i stawiał podejrzenie czujne kroki. – Nie wejść, jak mamy je mieć na ogonie. Po co w ogóle chcesz tam iść?

– Zobaczysz, chodź. – Nastawiłem się na dłuższą dyskusję, ale Sylwester wyrwał do przodu, więc okazała się zbędna. Który z tej dwójki był odważniejszy, a który tylko chciał tak wyglądać? – zastanawiałem się.

Mario niemrawo wszedł między porośnięte mchem grube pnie, a ja ruszyłem za nim. Burki zostały na ulicy, duży warknął na pożegnanie, Mariusz przyspieszył kroku. Nie oceniam, być może miał traumę z dzieciństwa.

Zalew ujrzeliśmy po paru minutach. Wychodziło się na niego bezpośrednio ze ścieżki. Parę minut to tutaj standardowy przelicznik. Wszędzie się dostawałeś w kilka minut. Otoczenie zalewu było malownicze i bezludne. Weszliśmy na plażę, na której znajdowało się boisko do piłki siatkowej, tyle że bez siatki i bez piłki. W wodzie odbijało się słońce, w związku z czym Sylwek założył wielkie okulary słoneczne. Wyglądał przezabawnie, ale postanowiłem tego nie komentować. Skoro je nosił przy sobie, znaczy, że był przyzwyczajony do komentarzy. W oddali stado kaczek opływało porośniętą krzakami wyspę. Mariusz się zadumał. Usiadł na ławce jak Kopernik na pomniku przed PAN-em i milczał. Sylwek był taki jak zwykle.

– Rany, hamburgery starego typu!

Kopernik wstał i ruszył w stronę budki z żarciem – jak drapieżnik, usłyszawszy zew natury. Właścicielka budki przywołała nas gestem, jak gdyby specjalnie dla nas otworzyła, bo wiedziała, że dawno nie jedliśmy. Podeszliśmy i zamówiliśmy po hamburgerze. Faktycznie były jak za dawnych czasów. Ogromne, w bułce z sezamem i wypchane po brzegi surówką. Wzięliśmy serwetki i widelce. Przez chwilę pani za ladą wydała mi się znajoma, ale nie potrafiłem jej rozpoznać. Wyprostowałem ramiona, stanąłem *en face*, żeby miała dobry widok, dołączyłem wyczekujący uśmiech. Nie dała znaku rozpoznania, więc odebrałem bułkę i poszliśmy z powrotem na ławkę.

Zapikało komórkowe trio. Mój plej i ich orendze odnalazły drogę do aparatów. Spojrzałem na brązowe kaczki, doleciały do nich dwa łabędzie; wróble dreptały między naszymi nogami, grzebały w kawałkach białej kapusty i okruchach, które nam pospadały na ziemię. Głupio było zakłócać tę pokazówkę natury, tę bezkompromisową dzikość, wyciągając telefon i dzwoniąc. Ale musiałem odezwać się do Stana. Co tu się, do diaska, dzieje? – zapytać, parafrazując, jeśli ktoś w wulgaryzmach nie gustuje. Co te pijawki robią w domu, który należy się mnie? Czemu ten dom taki zrujnowany, skoro mam go objąć? Stan Junior odpowie, że to była sprawa jego *fathera*. On nie jest tym *interested*. Tylko *donations* mi przelewa, jak nakazuje Tada *last will*. On jest *American, Poland* to gospodarka centralnie planowana. Nie jego *cup of tea*. Powiem, że spoko, fenk, *very very* faj. Ja chcę wy dostać tylko mój kesz z za dywanu i spadam. Znaczy, jaki kesz? Sorry,

pomyliło mi się. Kresz, taki materiał miałem na myśli. Jak silk, łąl, bawełna, koton, natural, natural, natural. Wpierw jednak dokończyłem bułkę. Junior zrozumie, że priorytetowo potraktowałem hamburgera, to jego narodowe klimaty.

Majonez na palcach ograniczał mi swobodę manewru. Nie chciałem sobie upaprać kolejnych spodni, więc poprosiłem Mariusza, żeby sięgnął do mojej kieszeni i wyjął komórkę. Spojrzał na mnie, potem na własnego iPhone'a, którego ścisnął w prawej dłoni. Zaraz go zgniecie. Uderzał nerwowo, odczytując nagromadzone esemesy. Poszedłbym o zakład, że otrzymał złe wieści. Mógłbym wręcz obstawić, od kogo. Wpatrywałem się w Mariusza, zwłaszcza w te bezrzęse oczy, którymi zaczął kręcić po swojemu, mechanicznie. Znak, że coś się roiło w Mariuszowej głowie, a imię jej Paranoja. Wyczuł, że się połapałem. Odwrócił wzrok i odłożył komórkę. Szarpnął moją kieszeń i wyłuskał starego samsunga.

– Konserwatysta – rzekł, rozsuwając telefon. Dobrze go znał i mówił to za każdym razem. Ja wymyślałem coraz bardziej irracjonalne argumenty obronne.

– Ale ty na swoim dotykowym iPhone nie umiesz zrobić tego. Patrz. – Odebrałem mu telefon i podstawiłem pod nos. Odwróciłem głowę w dal i bezwzrokowo wybrałem sekwencję klawiszy. iPhone Mariusza odebrał esemesa.

– I co? – Odsunął moją dłoń i spojrzał na mnie znudzony.

– I to, że właśnie wysłałem do ciebie esemesa bez spoglądania na ekran.

Pokręcił głową z powątpiewaniem, ale w końcu rzucił okiem na iPhone'a.

– Faktycznie do mnie napisałeś. *Paja* – odczytał wiadomość. – Jaka *paja*?

– Nieważne. – Machnąłem ręką.

Myślałem, że napisałem *pała*. Spojrzałem z wyrzutem na samsunga. Aha, wyłączył się słownik T9. Ciekawe kiedy? Gdzie to się ustawia? Do dupy funkcja. Włożyłem telefon do kieszeni.

– To jak, nie dzwonisz? – Mariusz przypomniał o telefonie do Juniora, który planowałem wykonać.

– Tak, już – odparłem z rezygnacją i znów wyciągnąłem komórkę.

Odpuściłem szukanie słownika, wybrałem numer, zerkając na wyświetlacz. Amerykanin nie odbierał. Wczoraj i przedwczoraj też, dla ścisłości. Zmienił styl na unikowy. Wybrał dogodny dla mnie moment, kiedy miałem do dyspozycji tylko tych dwóch kmiotków. Ale jakich kmiotków, szanowny panie? My z Warszawy, kolego, z Warszawy. Rdzenni, *native Varsovians*. Warszawiacy są przeczuleni na punkcie tego, kto się urodził w stolicy, a kto jest napływowy.

Właśnie z Warszawą postanowiłem się skontaktować, skoro Junior nie odbierał. Do Kingi czas zadzwonić. Chłopaki uznali to za świetny pomysł, po prostu genialny. Mario użył *de facto* innego sformułowania. Zajebisty pomysł, cieciu – tak to konkretnie ujął. A Sylwek jak to Sylwek puścił *Amazing Aerosmith*. Antykwariatem nieco zaleciało, ale w sumie dobrze zilustrował. Mnie się spodobało. Zawyłem jak wilk do księżyca, chociaż jasno jeszcze było, tak się jakoś rozmarzyłem. Ciepło mi się zrobiło na sercu, że mam ich

jednak przy sobie, że są tacy ze mną zgodni. Wykonałem telefon.

Chodziło o to, żeby Kinga ubrała się w jakiś kostium i przyjechała. Kostium z tych sztywnych, z zakładkami, mankietami, co laski w *Ally McBeal* noszą. Taki serial o sexy adwokatkach. Ta blondyna na przykład z tymi upiętymi w kok włosami. Sam seks. Sylwek chciał mi coś pokazać na Pudelku na jej temat, ale wiedziałem, co ma na myśli, też to czytałem, więc mu pokazałem ruch kantem dłoni wzdłuż gardła. To znaczy, że mu je podetnę, jeśli nie odpuści. Nie wiem, jak miałbym komukolwiek podciąć gardło, jednak to nie grało roli, ponieważ zrozumiał. Zamknął Pudelka.

Kinga miała wziąć aktówkę, w której trzymała akta. Plan był taki, że przyjedzie, przedstawi się jako nasz adwokat i będzie po sprawie. Laskom w kostiumach się nie odmawia. Mam oczywiście na myśli laski w sensie kobiet i w znaczeniu takich szprych jak Kinga. Dworek będzie nasz. Powiedziałem jej, że wiąże się z tym pewna kasa, więc niech nie boi żaby. Pitbull będzie syty i ja cały. Na remoncik kuchni dorzucę z nawiązką, taki hojny jestem. Albo lepiej! Sam jej wytapetuję, wymaluję, wykafelkuje. Co tam chce, jej zrobię. Znosi się, że tu na miejscu zdobędę doświadczenie.

– Tylko że ja się specjalizuję w prawie patentowym – odparła dopiero po którejś tam minucie, gdy wykladałem plan odbijania dworku.

Mario się obruszył. Byliśmy na głośnomówiącym, więc słyszał rozmowę. Nie przypadło mu do gustu, że Kinga tak z nami pogrywa. Tutaj taka grzeczna, zasłuchana, nie przerywa, aż nagle wypała z prawem patentowym. Niszczy plan. Mario już wcześniej się do niej uprzedził, mimo że mu tłumaczyłem, że mecenasik to tylko ustawka była, próba teatralna. Tamten elegant to aktor. Ale Super Maria nie dało się przekonać. Twierdził, że woli damy honorowe, co nie napuszczają na człowieka jakichś praskich łajz tylko dlatego, że się gość w jej progach niestrawności nabawił. Tak nie postępuje zacny człowiek, a zwłaszcza dama. W sumie miał rację, aczkolwiek ja taki obraźliwy jak on nie jestem. Pokojowy chłopak ze mnie, na luzie do życia podchodzę. Chociaż tamci dwaj, jak im było, Pitbull i Gapa, nieco naruszyli spokój mego ducha. Trzeba im oddać sprawiedliwość, potrafią być przekonujący. Moja dłoń to potwierdza, strupy ma na dowód. Wyjaśniłem jednak Mariuszowi i jej, i wszystkim dookoła, którzy powinni o tym wiedzieć, nawet wróblom, które wyglądały na zainteresowane, że nie ma co robić z igły widły, z igieł wideł – Sylwek sprawdź odmianę w słowniku online, bo żule ze wsi nie odróżniają prawa patentowego od jakiegokolwiek innego. Znają tylko prawo pięści i wódki, ale szycha ze stolicy z aktami powinna ich przekonać. Kinga się zgodziła. Nie od razu, trochę jeszcze pozgrzytała, jak to szlifierka ma we zwyczaju, że Pitbulla i Łatkę ze sobą weźmie, ale jej odradziłem, bo mogli zrujnować plan. Nie znam gości, więc im nie ufam. Skąd mam wiedzieć, że jak dojdzie co do czego, to nie zachowają się jakoś wyjątkowo nagannie, nabroją, opinię nam zszargają albo się przed nimi spiętrą? To ostatnie było najbardziej prawdopodobne.

Kinga znów się zgodziła, w wyniku czego na powrót zacząłem ją lubić, a nawet bardziej. Nie chcąc zapeszać, nie zdradziłem jej swego uczucia. Jeszcze nie teraz, nie przy

świadkach. Poczekam na bardziej sprzyjające okoliczności. Na przykład jak będziemy oblewać nasz sukces. Tylko my dwoje, wino, powykręcane żarówki. Przytulne *tête-à-tête* dwojga ludzi sukcesu. Najlepiej u mnie, na wypadek ewentualnych niestrawności. Rozmarzyłem się. Kinga zaraz sprowadziła mnie na ziemię.

– A ile z tego będę miała? – spytała, by się jeszcze raz upewnić. Urocza. Gdyby pragnęła wystąpić w serialu *Ally McBeal*, obsadziliby ją w roli tej drapieżnej Azjatki.

– Tyle, że nie pożałujesz – odparłem.

Co innego mogłem powiedzieć? Sam nie byłem pewien. Może nic. Nie wiedziałem, co zastanę w dworku. I to właśnie zainspirowało mnie do pomysłu, by powtórzyć nieudany rekonesans. Teraz już wiedzieliśmy, że ktoś tam mieszka, pozostawało mieszkańców jakoś wywabić, żeby spokojnie przejrzeć kąty. Postanowiłem jednak powstrzymać się z planowaniem do czasu, aż Kinga przyjedzie i mnie w tym wyręczy. Zacząłem tłumaczyć, do jakiego ma wsiąść pociągu, gdzie przesiadka, gdzie wysiąść. Z pekaesu ją odbiorę, ale nie była zainteresowana.

– Chyba cię pogięło – zazgrzytała. – Samochodem przyjadę.

Sylwek wysłał jej mapę Google.

Doskonale, jutro przyjedzie, postraszy paragrafem i dojdzie do przejęcia mienia. Do tego czasu kazała nam się zająć czymś pożytecznym, a że nie sprecyzowała czym, postanowiliśmy zajrzeć do Euphorii. Planowanej tamże wizycie nadaliśmy kryptonim „badanie opinii publicznej”. Postawi się piwo tubylcowi, jednemu czy dwóm. Dowiemy się czegoś o hodowcach kur, którzy się rozgościli w mojej nieruchomości. Tylko najpierw musieliśmy się udać do internatu, bo Mariusz już wprawdzie nie broczył krwią, ale mógłby chociaż obmyć skrzepy; Sylwek też nie wyglądał najlepiej.

Ruszyliśmy do naszego tymczasowego lokum, gdzie na korytarzu mignął nam super zgrabny tyłek, na który spływała kaskada czarnych pukli. Kaskada o mało nie sprawiła, że Mariusz odmówił wyjścia do baru. Zakochał się w plecach. Nie winiłbym go, gdyby wolał zostać, serce nie sługa. Poprosiłem jednak, żeby tym razem poszedł z nami. Bez niego picie mi nie idzie, taka jest prawda. Później odszuka tajemniczą nieznaną.

– Dobrze, kochanie – odpowiedział, łajza, i poszli się oporządzić. Ja w tym czasie klapnąłem na prycę i z nudów wyciągnąłem pudełko, które w autobusie wręczyła mi Helena przekupka.

Rozwiązałem wstążkę, odwinąłem papier, zdjęłem wieko pudełka. Durnostojka. Czego innego mogłem się spodziewać po bazarowej handlarce? Zważyłem prezent w dłoni i obejrzałem z każdej strony. Taki płaski prostokącik jakiś, papierem obklejony, a w prostokącik wbity klucz pod kątem. Pociągnięty złotą farbą. Wypisz, wymaluj miecz, który Król Artur wyciągnął z kamienia, dzięki czemu stał się Królem Arturem właśnie, a nie zwykłym imiennikiem Boruca. Podpis na podstawie: *klucz do serca*. Sprawdziłem, czy da się wyciągnąć. Nie dało się, butapren mocno trzymał. Pomyślałem, że może tak jak w Anglii nie jestem jeszcze tym właściwym rycerzem. A może to jeszcze nie ten moment? Może jutro spróbuję wyciągnąć? Jak zwykle się rozmarzyłem. Powinienem nad tym

zapanować, bo w podobnych sytuacjach wyłączam się i ludzie myślą, że jestem upośledzony. Jednak teraz nikt mnie nie obserwuje – pomyślałem i założyłem na głowę wyimaginowaną koronę.

– Królowo Kingo... – zacząłem, ale nagle Mariusz otworzył drzwi do mojego pokoju i powiedział:

– Jesteśmy gotowi.

Poszliśmy więc.

Rozkosz

Pustynia. Sucho. Pić. Masa papierowa w ustach. Oaza na horyzoncie. Czemu tak daleko? Jasna dupa! Jakiś czas temu upadłem na kolana. Brakło sił. Sunę dalej na klęczkach. Zdzieram skórę o kwarc. Krew zasycha, strupy twardnieją. Żółty piach razi i parzy. Słońce, gorąco, a we Władysławowie latem było tak przyjemnie. Pić! Palmy w oddali muszą skądś przecież czerpać wodę! Liście trzepoczą na wietrze, oaza szumi, krzak toczy się wzdłuż jeziora. Gałęzie fruwać na wszystkie strony, ptaki chwytają je w powietrzu. Jaki piękny obrazek na tej pocztówce z wakacji. Na odwrocie napisano rozjechanymi literami: *Czekam, aż wrócisz i wszystko mi opowiesz, Maciek*. Czekam i usycham. Podkładam pod kolana dłonie. Skąd w tej oazie wieje wiatr? Tu, gdzie się czołgam, nie czuć najłżejszego podmuchu. Poruszam się na czterech. Nie odwracam głowy. Wolę nie oglądać dwóch krwawych ścieżek, którymi moje kolana znaczą ziemię. Niemoc, język urabiający kartkę na *papier-mâché*. Wody! Wyciągam ręce. Dajcie mi chociaż łyka, ścierwa! W odpowiedzi słyszę ram, pam, pam. Au, to boli! Co za kutas gra na werblu? Pokaż się, rozwalę ci ten bęben na czole!

Przystaję, klękam. Kolana grzęzną w piasku, pustynia zaczyna mnie wciągać. Siła grawitacji ciągnie w dół. Jestem już w połowie pod powierzchnią. Nie mam siły walczyć, duszę się. Upadam twarzą w piach. Imadło gleby zaciska mi się na głowie. Podchodzi bębniarz, przybliża mi instrument do ucha. Ram, pam, pam. Szybciej, coraz szybciej. Co za menda!

Wsuwam prawą rękę pod brzuch. Boli jak cholera. Jakiś kłopot ze stawem. Muszę wytrzymać. Papier w ustach zaczyna wychodzić mi uszami. Suchy piach wsypuje się przez wargi. Muszę przekręcić się na plecy. Tylko spokój, bez gwałtownych ruchów. Wykonuję kontrolowany przewrót przez prawy bok. Okazuje się, że drugie ramię tak nie boli, ale już się przerzuciłem. Za późno, żeby zmienić decyzję. Koszulka cała poskręcana. Na piersiach napis: *punk's not dead*. Czy aby na pewno? Ja czuję się jak trup. Lewy szew pod prawą pachą. Staram się poprawić T-shirta, walczę z materią nieożywioną, muszę unieść grzbiet. Aua! Udało się, uff. Leżę na wznak. Zamiast błękitnego nieba widzę czarne, chociaż mam pewność, że to nie noc. Wybuchają fajerwerki, iskry spadają, całe pióropusze. Wraz z nimi wirują świetliste kule. Dostaję zawrotu głowy. Gdzie góra, gdzie dół? Gwiazdy. Jedna, druga. Rozbłyskują, puszczają do mnie oko. Niech spadnie chociaż jedna, pomyślę życzenie. Najbardziej to chciałbym dostać szklanek zimnej wody. Albo lepiej całą butelkę. Wypiję, ile dacie, tylko niech Ziemia przestanie wirować, a bębniarz niech skończy grać. Zabiję go, zabiorę mu pałki i będę tłukł w ten pusty łeb. Sukinsyn.

Otwieram oko. Jedno, na drugie nie mam siły. Macam prześcieradło. Jest szorstkie. Chyba spałem na papierze ściernym. Nie, to wykładzina. Koloru stolca z dużą ilością błonnika. Od wczoraj rana nie robiłem kupy. Odwróciłem głowę. Mariusz patrzył na mnie

z fotela w kształcie wydrążonej kuli. Kręcił się wokół osi, na kolanach trzymał werbel. Uczył się na nim grać. Tłukł i tłukł zapamiętałe, szczerząc się jak przedszkolak. Nie miałem siły mówić, więc zmusiłem się do otwarcia drugiego oka. Rozejrzałem się za czymś, żeby w niego rzucić. Niczego nie znalazłem, ale zauważył, że nie śpię. Przestał grać. Nareszcie! Ty złamany maszcie, jakie masz szczęście, że skończyłeś bębnić. Podziękuj swojej muzie.

– W deseczkę kwadrat, nie? – wyszczerzył się.

Co to za wyrażenie „w deseczkę”? Gdzie je podłapał, w klubie seniora? Jak babcię odwoził na dializy? Mariusz nie ma babci, ale miał rację. To był w deseczkę kwadrat, na ile mogłem ocenić w tym stanie, nie wykonując gwałtownych ruchów. Problem polegał na tym, że nie był to żaden z kwadratów, które zajmowaliśmy w internacie. Ani mój, ani braci. W moim pokoju nie było wykładziny z papieru ściernego, u nich nie było werbla.

Sprawy się skomplikowały.

Wczorajszego wieczora udaliśmy się do Rozkoszy, obecnie zwanej Euphorią, w celu przeprowadzenia wywiadu wśród lokalnej społeczności. Planowaliśmy się wtopić w tłum, nie wychylać, mrugnąć dyskretnie do barmanki, jakieś piwo postawić czy dwa. Na luzie, bez zobowiązań. Miło spędzić czas, a przy okazji czegoś się dowiedzieć. Los nie opowiedział się jednak po naszej stronie, bowiem wpadliśmy w zasadzkę. Chodzi o zasadzkę w sensie metaforycznym. Nikt na nas nie czekał, kosy kamieniem nie ostrzył.

Weszliśmy do baru krokiem swobodnym. My tu tylko na chwilę, mamy wolny wieczór, trzeba się zrelaksować. Spokojni džentelmeni jesteśmy. Jak się okazało, przekroczenie progu równoznaczne było z podróżą w czasie o dwie dekady wstecz. Albo dotarł tu przed nami Herbert George Wells i zagroził, że jak nie utrzymają klimatu początku lat pięćdziesiątych, to doktor Moreau zrobi z nimi porządek, albo właściciel darzył sentymentem czasy świetności baru, w których to ja stanowiłem rdzeń klienteli. Poczuję się piękny i młody, a do tego niezniszczalny. Mariusz i Sylwek również odkryli w sobie moc.

W Rozkoszy, przemianowanej na Euphorię, dominowały czerń i biel. Minimalizm kolorystyczny to obecnie modny styl we wnętrzarstwie. Ściany pobielone i pasująca do nich koszula barmana oraz broda rozjaśniona płukanką. Oryginalna estetyka. Czarna wykładzina, czarny skaj na stołkach barowych, czarne parawany z listewek rozdzielające czarne stoliki, mroczne światło kreujące intymną atmosferę. Łatwo się odgrodzić we własnym boksie, ewentualnie sąsiada lub bar podejrzeć, rozgarnąwszy materiałowy bluszcz. Liście z wykrochmalonej tkaniny poprzetykane między szczebelkami przełamywały skąpą kolorystykę wnętrza o wymiarach dwadzieścia na trzydzieści. Mierzyłem na oko.

Przy barze siedziało dwóch przyjaciół barmana. Byli z nim na ty. Mareczku, Franeczku i jakoś tam. Grali w warcaby, od czasu do czasu spoglądając na zawieszony nad barem telewizor. Czarno-biały, kineskopowy, produkcji Unitra. Jeden z graczy nosił dzinsy marmur i koszulę z koca, pod grubymi szklami okularów nieskutecznie maskował zęba. Mógł dzięki niemu wykonywać mniejszy skręt głową, żeby patrzeć na mecz piłki nożnej wyświetlany na unitrze. Widać jednak partia warcabów była priorytetowa, bo odrywał się

od niej sporadycznie.

Przeciwnik zezola obmyślał ruch, skubiąc daszek czapki Charlotte Hornets. Nie mógł być fanem NBA, bo Szerszenie z Charlotte dawno już przeleciały do Nowego Orleanu. Ogląda się wiadomości sportowe, ogląda. Miałby opory nosić czapkę z nieaktualnym nadrukiem, gdyby wiedział. Ja miałbym na pewno. Na chwilę puścił daszek, żeby nadzieć na widelec kęs golonki, którą współdzielił z drugim warcabistą i barmanem, chyba że używał do jedzenia trzech widelców.

Martwotę w lokalu przełamywała grupa dwudziestokilkulatków, którzy siedzieli w boksie w rogu i zdzierali gardła do tchawicy. Uśmiechnąłem się w duchu, bo ten klimat był nam bliski, i dyskretnym ruchem dłoni zwróciłem na nich uwagę Mariusza. Również się uśmiechnął, a jeszcze szerzej, gdy tamci wykonali manewr ćwiczony przez nas przy wielu okazjach.

– Na zdrowie! – krzyknął jeden, a reszta stuknęła się kufłami. Rozległ się brzęk tłuczonego szkła, po czym nastąpiło liczenie strat w naczyniach i dłoniach. Trzy kufle, dwa rozcięcia; znam lepsze dokonania. Opatrzyli się serwetkami, zamówili następną kolejkę i wrócili do oglądania meczu. Ja w tym czasie rozejrzałem się za wolnym stolikiem.

Wybór padł na boks po przekątnej od lady barowej. Sylwek usiadł pod obrazem w srebrnej ramie przedstawiającym wodospad. Wokół ramy wmontowano światło, coś się w środku przesuwawało. Miałem wrażenie, że woda płynie. Trochę dalej wisiał szkic wykonany ołówkiem. Podejrzewam, że reklamował lokalną ślicznotkę, może miss powiatu, której loki spływały niczym kaskady Niagary. Jakże subtelne nawiązanie do obrazu nad Sylwestrem.

Harmonię psuły powiększone zdjęcia śmigłowców w antyramach. Stal maszyn płonęła w słońcu, a w głowie słyszałem *Cwał Walkirii*. Trzeba jednak mieć na uwadze, że Euphoria, eks-Rozkosz, miała siedzibę w klubie garnizonowym. Widocznie właściciela obowiązywała umowa na lokowanie produktu.

Mariusz zajął miejsce z widokiem na młodzież i, podobnie jak oni, wbił wzrok w telewizor. Siedział daleko, ale znał się na piłce na tyle, żeby stwierdzić, że Widzew grał z Legią, więc jeśli nie chcieliśmy kłopotów, lepiej, żeby tamci się nie dowiedzieli, skąd przyjechaliśmy.

Poszedłem po piwo, zamówiłem trzy kufle i rzuciłem barmanowi stówę. Otworzył kasę, przegrzebał szuflady i udał się na zaplecze. Nie miał grubych. Z własnego portfela odliczył resztę, którą przyjąłem z poczuciem, że oddał mi dokładnie tyle, ile zapłaciłem, tylko drobniej. Uświadomiłem sobie, że tak niska cena piwa to zasadzka na nasze głowy i brzuchy, z której nie ujdziemy cało. Półlitrowy żywiec kosztował trzy dwadzieścia. Za tyle w Warszawie mógłbym kupić cytrynę do drinka i mieszadełko. Przyniosłem piwo do stolika i podzieliłem się z przyjaciółmi nowiną.

– Ostatnia szansa, żeby się ewakuować – zauważyłem.

Niestety byliśmy podatni na wpływy. Raz kupiłem garnki od domokrądcy, Mariusz kołdrę, a Sylwek zapisał się do Moona, więc zostaliśmy w barze, zignorowawszy wszelkie

racjonalne przesłanki, by tego nie czynić. Później mieliśmy żałować, że zabraliśmy ze sobą całą podjętą po drodze gotówkę. Gdybyśmy jej nie wydali, wciąż władałbym bez problemów ramieniem i nie śniłbym koszmarów o pustyni, ale po kolei.

Wypadki potoczyły się błyskawicznie. Po pół godzinie i kilku piwach przy naszym stoliku wylądowali kibice Widzewa. Mili, radośni ludzie, którzy tak jak my lubili wyjść wieczorem na miasto. Zbliżone upodobania pozwoliły przypieczętować naszą przyjaźń. Powiedzieliśmy, że jesteśmy polskimi emigrantami, którzy na chwilę przyjechali z Australii, oraz że lubimy krykieta. Nie był to idealny wybór dyscypliny, bowiem młodzieńcy nieśmiało dopytywali się o naszą orientację seksualną, zwłaszcza Sylwester nie budził ich zaufania. Do grona podejrzanych dołączył następnie Mariusz, po tym jak zdjął bluzę i obnażył ramię. Niestety musieliśmy się legitymować znajomością krykieta, słów się cofnąć nie da ani czasu wrócić. Euforia nie takie rzeczy widziała.

Warcabista przy bufecie, ten w koszuli z koca, nie spuszczał nas z jednego ze swoich oczu. Mecz się skończył, golonka również. Kontynuował inwigilację pod przykrywką niekończącej się partii warcabów. Konspiratorzy w spodniach z marmuru nigdy nie budzili mojego zaufania, więc postanowiłem mieć na niego baczenie. Niestety trwało to krótko, bowiem dobiegł końca okres mojej trzeźwości, resztę wypadków streścił Mariusz.

Co w mojej sytuacji zrobiłby Zdzisław Ambroziak? – pomyślałem, leżąc na dywanie z papieru ściernego. Otóż Zdzisław Ambroziak upiłby łyk wody z butelki, która Mariusz mi przyturlał i zamieniłby się w słuch. Tak też uczyniłem.

Mój przyjaciel donosił, że kibice Widzewa zamieszkiwali w wiosce nieopodal. Próbowaliśmy ich wypytać o dworek, czy znają to miejsce, czy wiedzą, co się tam dzieje, ale powiedzieli, żebyśmy ich nie wnerwiali, że oni się nie integrują z tubylcami. Podobno i ja wypytywałem, bo choć pijany, mocno angażowałem się w sprawę. Po jakimś czasie jednak zacząłem zjeżdżać z siedzenia pod stół, ilekroć odstawiłem kufel i nie miałem się czego przytrzymać. Szło to niestabilna podpora. Gdy za jego pomocą próbowałem utrzymać równowagę, przewracało się, a ja wraz z nim. Znikąd ratunku, więc lądowałem pod krzesłem, co spotykało się z dezaprobatą klienteli baru. Nie rozumiem, przecież nie zaglądałem im do talerza albo, co gorsza, nie usiłowałem wyjść frytek. Pomimo nagannej postawy koledzy stali za mną murem.

– Tylko wy jesteście prawdziwymi przyjaciółmi i wróble – lamentowałem.

Mariusz zapytał jednego z dwudziestolatków, w jakim celu przyszli do baru. Nie wiem, którego pytał, bo zlewali mi się w jedną masę. Ciekawe zagadnienie, za które pochwaliłem Mariusza *post factum*, byłem bowiem zdania, że przeciwnicy integracji nie powinni się pchać do lokalu w państwie członkowskim Unii Europejskiej.

– Przyszliśmy na telewizor – odparł jeden.

– My nie mamy – dorzucił drugi, bliźniaczo podobny do pierwszego.

Słyszałem o współczesnym buncie przeciwko oślepiającej sile telewizji i masowym wyrzucaniu odbiorników. Porwałem się spomiędzy nóg stołu na monolog w tej sprawie, ale nim doszedłem do podsumowania, tamci spojrzeli na zegarek. Wszyscy jednocześnie na

ten sam. Pokiwali głowami milcząco, a ja złapałem właściciela zegarka za przegub, żeby pochwalić wbudowany w niego kalkulator oraz kolorystyczne nawiązanie do wystroju lokalu. Właściciel zegarka wyrwał dłoń i uniósł się nieco, lecz ramię kolegi sprowadziło go z powrotem na krzesło.

– Zakuta pała – stwierdziłem pod swoim adresem, leżąc na sraczkowatym dywanie. Ceniłem pokój, a mało nie doprowadziłem do bójki.

– Wyrażaj się – warknął Mariusz.

Z początku pomyślałem, że tradycyjnie uznał, że to jego nazwałem zakutą pałą, ale nie. Mariusz wyraźnie nabawił się jakiejś awersji do wulgaryzmów, więc zapytałem, o co chodzi. Odparł, że o tym później.

Przypadek dwudziestoparolatków nie dawał nam w Euphorii spokoju, więc zapytaliśmy, dlaczego przysiedli się do nas, skoro się nie integrują. Odparli, że nie integrują się z tubylcami, a przecież my jesteśmy z Australii, więc to kompatybilnie zmienia postać rzeczy.

– Chyba kompletnie – zauważyłem wówczas, a Mariusz uciszył mnie za pośrednictwem kopa pod stołem, bo tamci znów zaczęli patrzeć na zegarek i niemo kiwać głowami. Nie mieliśmy pojęcia, jak interpretować ten gest, ale wyglądał groźnie.

Mario wyraźnie cieszył się z towarzystwa młodych ludzi, więc domawiał im piwa przy użyciu gotówki, którą wyciągnął z mojej kieszeni, i coraz bardziej rozkręcał się w wątku australijskim. Chłopakom się to spodobało, zwłaszcza gdy Sylwek, mistrz pantomimy, zaczął udawać kangura. Po kangurze przyszedł czas na misie koala. Następnie jeden z nich przeistoczył się w aborygena i zaczął rzucać we wszystkich paluszkami, że to niby dzidy.

Atak spotkał się z dezaprobatą niejakiego Siwego, który dosiadł się do nas w pewnym momencie i którego akurat nieco zapamiętałem. Siwy pracował w klubie, na pierwszym piętrze miał siedzibę, ale nie zdążyłem się dowiedzieć, czym się zajmuje. Zwierzył mi się, że kiedyś był punkowcem, przez co od razu staliśmy się ziomalami i co później pozwoliło mojej ekipie przeżyć. Zaczęliśmy gadać o Exploited, kto jest większym fanem. Oczywiście ja, bo byłem na koncercie. Siwy okazał szacunek, wskazując dłonią moją pierś, a dokładnie napis *punk's not dead*. Niestety zanim doszedłem do relacji z koncertu UK Subs, na którym również byłem, dzida jednego z naszych przyjaciół ugodziła zezowatego przy bufecie.

Nastąpił zwrot akcji, zabawa się skończyła. Zezowaty wstał, podszedł do nas, urósł niewiarygodnie, poszerzył się w barach i powiedział, żebyśmy pakowali manatki w trymiga. Usłyszawszy to wyrażenie, uniosłem głowę z podłogi i spytałem Mariusza, czy to kolejne powiedzenie ze słownika slangu seniora, którym się dziś posiłkuje. Odparł, że bym się od niego odpierniczył i że przecież mówił, że dojdzie również do tego wątku.

Odpierniczył, paradnie. Leżałem na dywanie ze ściernej sraczkę, dookoła miałem karabiny i jakieś buławy. Mundury na manekinach musiały pamiętać czasy wojny. U moich stóp spoczywała armata i ogromna kula, a przyjaciel zmienił się w tetryka, którego z trudem poznawałem. Kazałem mu kontynuować, co uczynił.

Siwy podobno wstawił się za nami u zezowatego, przy czym radził, żeby jednak

zastosować się do instrukcji. Zezowaty miał w okolicy kiepską renomę i szerokie plecy, a nam zależało na utrzymaniu *status quo*. Wymknęliśmy się więc cichcem z baru. To znaczy wymknęlibyśmy się w ten sposób, gdybym nie stanął na środku knajpy i nie zaczął krzyczeć:

– Oddajcie mi dom!

Czym całkowicie zraziłem do siebie publiczność.

Zezowaty ruszył na nas, na co Siwy zaczął nam pomagać w opuszczaniu baru kopniakami. To były oczywiście takie przyjacielskie kopniaki, mające nam uświadomić powagę sytuacji. Siwy dostał od nas pięć dych, żeby uregulować rachunek. Uśmiechnął się i życzył spokojnej nocy. My jemu również.

– Jakby co – powiedział – śpię w klubie na górze. Nie krępujcie się wpaść w razie kłopotów.

Siwy – mój brat w punku. Jego propozycja okazała się zbawienna, kiedy wróciliśmy do internatu, bo przy recepcji czekała na nas grupa kwadratowych, rumianych i łysych żołnierzy, którzy wzięli nas na glany i kazali wypieprzać.

– To znaczy zmykać – poprawił się Mariusz.

Żołnierze nie okazywali litości, testowali na nas przeróżne bolesne techniki zadawania ciosów, co tłumaczyłoby mój kontuzjowany bark, u Mariusza krwawą miazgę zamiast oka, a u Sylwka nie wiem co, bo leżąc na podłodze, miałem go za głowę.

Skorzystalismy z propozycji Siwego, który w tamtej chwili miał wszystko gdzieś i pozwolił nam się przekimać w sali tradycji, której był jakby kustoszem. Tak uczyniliśmy. Niestety nasze rzeczy zostały w internacie, a Siwy, wychodząc rano, powiedział:

– Jak wrócę, ma was tu nie być.

– Ale Siwy... – wyjęczał Mariusz.

– Siwy to był wczoraj, dziś jest pan porucznik. Ja zostaję w Obiercu, wy się stąd urywacie. Nie szukam kłopotów.

Jak się okazało, zezowaty stanowił w Obiercu silną frakcję. Był miejscowym Fidelem Castro, którego obawiał się nawet taki eks-anarchista jak Siwy. Gdy zezowaty beknął, echo odbijało się na drugim końcu osiedla. Taką miał siłę rażenia. Dlatego mogliśmy być pewni, że jeśli wybrał ciebie za obiekt pogardy, awersję odczuwali automatycznie jego bracia, wielbiciele, a nawet okazjonalni sympatycy. Reasumując, mieliśmy przesrane u wszystkich.

Tak to pokrótce wyglądało – aż do tej chwili obecnej, kiedy uniosłem się z trudem z podłogi, bowiem zadzwonił mój telefon. Rozległa się melodia *London calling*, choć nie dzwonił nikt z zagranicy. Dzwoniła Kinga.

Za mundurem

– Gdzie wy, do ciężkiej cholery, jesteście?! – przywitała się. – Stoję na tym pekaesie, jakieś burki mnie otoczyły i zęby szczerzą. Pieprzone, kurde, Cujo.

Cujo to taki bohater powieści. Pies. Z początku był milusim bernardynem, dzieci go kochały, podrzucały mu po cichu steki z grilla, aż ugryzł go nietoperz i zwierzę zmieniło się w bezlitosną maszynę do zabijania. Nie czytałem tej powieści, gdyż ktoś dla ułatwienia nakręcił film. Po opisie stwierdziłem jednak, że na przystanku Kinga mogła spotkać kundla, z którym zapoznaliśmy się w drodze nad zalew. Moja Kinga natknęła się na psa wymyślonego przez Stephena Kinga. O losie, jakiś ty przewrotny.

– Już idziemy – odparłem, bojąc się o jej bezpieczeństwo.

Zgarnąłem chłopaków i udaliśmy się na przystanek. Zgodnie z umową, miałem ją stamtąd odebrać, choć chętnie powiedziałbym do niej:

– Nie wychodź z samochodu.

Po czym wsiadłbym i odjechał stąd na zawsze. Ale ona zdążyła już wysiąść. Czekala na ławce pod wiatą, wybijała butem rytm utworu zatytułowanego „Wnerw”. Dostyc często wystukiwanego w mojej obecności. Otaksowała mnie wzrokiem od butów aż po grzywkę, po czym wskazała napis na ścianie przystanku.

– Widzę, że sprawdzałeś.

Ani Pepsi, ani Cola nie zastąpi ci jabola – tak brzmiał tekst nasmarowany sprajem.

Ha, ha – pomyślałem, nie śmiejąc się. Wielka pani oskarżycielka. Chciałem okazać oburzenie, frazą rzucić płomienną, podnieść głos, pytając: za kogo ty mnie masz?! Nie uczyniłem tego jednak, ponieważ moja poranna niemoc nie pozwoliłaby mi odpowiednio zilustrować targających mną sprzeczności.

– Cześć – rzuciłem więc w odpowiedzi.

Mariusz i Sylwek uzupełnili powitanie pomrukiem.

– A ten co? – zapytała.

Wskazała na Sylwka. Wiedziałem, co ma na myśli. Zareagowałem podobnie, gdy ujrzałem go po raz pierwszy jakieś piętnaście minut temu. Młody odkrył w sali tradycji pasję do militariów. Przywdział rogatywkę i pelerynę kawalerzysty z międzywojnia. Pięknie wykończoną, idealnie zachowaną, o czym przeczytałem na manekinie, który nosił te ciuchy przed Sylwestrem. Peleryna łopotiała na wietrze, jej poły nabierały silnej rotacji, tarmosząc Sylwkiem, który w końcu ważył tylko pięćdziesiąt pięć kilo. Kolebał się jak wańka-wstańka, osiągając nienaturalne kąty nachylenia względem podłoża. Obserwowanie go było wciągające i dziwne jednocześnie, bo na mnie wiatr nie działał z taką mocą. Nie wrywał mi ziemi spod nóg, żyliśmy w komitywie. Miał na mnie zbawienny wpływ. Ziomal wiatr.

A Sylwek musiał się chwytać drzew. Właściwie to powinien nam dziękować, że

kazaliśmy mu iść lasem, bo miał tam dużo pni do podtrzymywania. Z początku nie chciał wejść między dęby, lamentował, rozkładając ręce, ale nie było innego wyjścia. Wepchnęliśmy go do lasu po spotkaniu z owczarkiem niemieckim towarzyszącym pyzatej matronie uczepionej na drugim końcu smyczy. Zdążyło nam wejść w nawyk mówienie wszystkim dzień dobry, więc postąpiliśmy zgodnie z procedurą. Matrona, zamiast dopełnić formalności, przestać się na chwilę szarpać z owczarkiem, odpowiedzieć na powitanie, w mgnieniu oka zwarła szeregi z psem. Nastąpił zwrot akcji o sto osiemdziesiąt stopni. Naprężona smycz opadła na ziemię, pies zrównał z panią krok jak żołnierz z batalionu reprezentacyjnego Wojska Polskiego i na komendę zaczęli na nas warczeć. Matrona i pies. Za główny cel obrali Sylwka.

Mariusz próbował się tłumaczyć. Co złego, to nie my. Ja jakąś mijankę zacząłem skutecznie. Pies w odpowiedzi zaszczekał. Zrobiło się zbiegowisko, ściągnęły dzieci i bezpańskie koty. Małolaty jęły się naśmiewać publicznie z cherlaka w pelerynie, choć myślałem, że na osiedlu wojskowym są przyzwyczajeni do takich widoków. Po prostu kolejny facet w mundurze – ale widać nie, byłem w błędzie. Może Sylwek nie wpasował się w epokę, kiepsko oddał realia?

Dzieciaki jak to dzieciaki, które mają w tym wieku dobry wzrok, wypatrzyły u Mariusza legendarne nagietki. *Flower power* – zaczęły krzyczeć. W Mariuszu odezwała się trauma z przeszłości. W ogóle staliśmy się jednym wielkim urazem psychicznym. Mariusz przypomniał sobie o Ostrym, że Kwiciarzem go ochrzcił, smętnie się zrobiło. Zaczął narzekać, że ma już dosyć ukrywania się na zadupiu i kolejny dzień na siłowni nie był. Chce już wracać do starego życia, usunąć z ręki ten syf, budować spokojnie masę, z czystym kontem, nazwiskiem niezbrukanym żadnym tatuażowym incydentem.

To może nie być takie proste – pomyślałem wówczas. Życie na ogół niewiele ma wspólnego z amerykańską komedią romantyczną. Popatrzyłem jednak na braci i postanowiłem nie dolewać oliwy do ognia. Sytuacja wyglądała żałośnie. Sylwek trzymał rogatywkę, którą wiatr zrywał mu z głowy. Stał w pelerynie nadętej jak sklepowa ze Społem. Oczy mu się szklily. Te strzelające iskierki, które zapowiadały narodziny nowego radosnego Sylwestra, po tym, jak założył mundur, wygasły. Zostawiły chłopaka ze starymi przygarbionymi plecami.

Mariusz założył bluzę, którą do tej pory nosił w rękę, bo było gorąco. Gmerał przy rękawie, rozprostowywał, przyglądał, chował te nagietki usilnie, jakby rękaw był prześwitujący. Kurczył się. Mój team się rozpadał, stopniowo tracił rezon, przebojowość, rozpuszczał się, flaczał. Dzieciaki wypatrzyły na chodniku wielce interesującą super obłą bryłę betonu i zaczęły ją kopać w kierunku wschodzącego słońca. Odeszły. Pies poszedł sikać. Długo mu leciało, więc zabijał czas, przypatrując się kotom. Odwrócił się do nas ogonem. Matrona odpięła go ze smyczy i przyłączyła się do spaceru swoich klonów: matron z wózkami. Zniknęły za zakrętem. Koty udały się do cienia.

Zawiodłem jako lider. Nie wiedziałem, jakim klejem zlepić kolegów do kupy. Zresztą sam czułem się jak kupa. Od paru dni ktoś nam co rusz obijał pyski, zaczynało brakować

nieuszkodzonych części ciała, nie mieliśmy kasy, za to na karku jakieś mendy, które zwietryły interes, nasze graty zostały w miejscu, z którego nas eksmitowano przy użyciu siły. O czymś jeszcze zapomniałem? A tak, zostałem spadkobiercą fortecy bronionej przez pijaków. Przepraszam, dawnych przyjaciół. I stado kur. Kurde! Dokładnie od tamtej chwili, gdy Piotrek wyjął nóż, gdy pękła bańka młodszej iluzji, wiedziałem, że mam gdzieś nowe auto, to całe wyciskanie ze Stana ostatniego grosza. Tu chodzi o sprawiedliwość. Tu sprawa się rozbija o mój dom, o ojcowiznę, czy tam jej matczyne odpowiednik, o przodków, o krew, o spuściznę. Za wolność naszą i waszą! Okej, może trochę się zagalopowałem.

Jednak kiedy Kinga zapytała: a *ten co?* i próbowała być taka sarkastyczna, uszczypliwa pani prokurator ze stolicy, po tym wszystkim, przez co przeszliśmy, po tym, jak Sylwek błąkał się po lesie, żeby nie drażnić psów, pomyślałem, że – cóż – jest nadzieja. Że oto stoi przed nami człowiek, który będzie umiał to pociągnąć, który złapie jelenia za rogi. Tego jelenia Piotrka, fałszywego majora, co odpadał po pięciu łykach alpagi. I poprzestawia miejscami dzień z nocą, znaczy Armagedon rozpęta, i świat narodzi się na nowo, odzyska kolory, a Sylwek iskiereki w oczach, Mariusz dobre imię, a ja na przykład miłość odzyskam.

Oto stała przed nami kobieta, symbol narodzin.

Kobiety

– Kto cię w ogóle wydał na świat? – zapytała Kinga, kiedy siedzieliśmy już całą czwórką w samochodzie i wskazywałem gestem, gdzie jechać. Tłumaczyłem właśnie, że odzyskanie naszych rzeczy może nie być łatwe.

– Mama – rzekłem.

Zawsze byłem przy niej błyskotliwy. Gdyby dali mi parę dni, brudnopis, ołówek oraz słownik synonimów, i tak nie wymyśliłbym niczego lepszego.

– A ja myślałam, że szympansica, która spółkowała z krasnorostem.

– Krasnorosty rozmnażają się przez...

– Milczeć – przerwała słowem i gestem. – Opisz mi, proszę, drogę do internatu.

Nie uczyniłem tego, bo już byliśmy na miejscu. To znaczy najpierw dwa razy skręciliśmy w prawo i pokonaliśmy siedemset metrów. Wskazałem Kingdze parking.

– Sprawa jest prosta – stwierdziła, wykonując manewr parkowania tyłem. – Idziecie do recepcji i regulujecie rachunek. Zachowujecie się jak uczciwi klienci. Jeśli recepcjonistka nie będzie chciała wam oddać rzeczy, zadzwonicie do swojego prawnika, czyli do mnie, i dacie mi ją do słuchawki. Ja jej objaśnię ewentualne zawiłości prawne. Zrozumiano?

– Tak jest – odparłem, czując, jak moje serce zaczyna pompować krew o nowym składzie chemicznym z domieszką zapachu.

– A może... – zaczął Mariusz, na co wykonałem gwałtowny zwrot na fotelu, gdyż siedziałem z przodu, a on z Sylwkiem z tyłu. Nie w takim momencie, kolego, to nie czas na wybrzydzenie. Tutaj królowa Kinga przejęła insygnia, więc na kolana, poddani, składać lenno i spełniać zachcianki.

– Tak, drugi synu małpy i glona? – zwróciła się do Mariusza nasza głównodowodząca.

– Co chciałbyś zmienić w moim planie, który twoim pomysłem nie dorasta do odcisków?

O rany, ta kobieta! Tajfun. Odebrało mi mowę i zrobiło się gorąco. Złapałem za kłamkę u drzwi. Może lepiej wyjdę? Wyszli wszyscy, oprócz Sylwka, który się jeszcze nie otrząsnął z traumy i zamknął w swoim komputerowym świecie, bo akurat znalazł na siedzeniu netbooka Kingi. Właścicielka nie miała nic przeciwko. Zatrzasnęła za sobą drzwi. Nie ruszyła jednak z miejsca, bo była ciekawa, co Mariusz ma do powiedzenia. Ja także. Mariusz, mój odważy przyjaciel, podpora moja.

– Sam to załatwię – podjął nieśmiało, a ja poczułem nagłą potrzebę poszukania czegoś w kieszeniach. Nie nastąpiło jednak trzęsienie ziemi, więc porzuciłem udawaną grzebaninę. – Tak się składa, że poznałem ciemnowłosą lokatorkę internatu, zakwaterowaną piętro nad nami. Nieziemskie stworzenie. Może się za nami wstawi?

Spojrzał na nas jak cielak, a moja istota szara zaczęła wykorzystywać swój potencjał i kojarzyć fakty. Jego nagła wrażliwość na brzydkie wyrazy. Taką przemianę mogła wyzwolić tylko kobieta. Zauroczył się. Tylko kiedy? Cały czas byliśmy razem. W nocy, po

Euphorii, gdy spałem? Czy to wtedy?

Wyciągnął komórkę i wybrał numer.

– Gosik, jesteś w pokoju? – zwrócił się do osoby po drugiej stronie linii.

Spojrzałem na Sylwka, który w międzyczasie wysiadł z peugeot. Położył netbooka na dachu i zaczął coś notować w Wordzie. Mariusz tymczasem ruszył dziarsko do hotelu, prawie tanecznym krokiem. Widać Gosik była w pokoju, a Kinga dała zielone światło dla misji. Stałem z wielkim znakiem zapytania na czole, który Sylwek rozszyfrował bezbłędnie, bo dał mi netbooka do rąk i wskazał, żebym czytał.

– Czytaj na głos – rozkazała nasza przedstawicielka prawna, a ja nie miałem powodu jej odmawiać.

– *Życie to wielkie pasmo porażek* – zacząłem. – *Spójrz tylko na mnie: uczynny, grzeczny.*

– Daruj ten fragment – nakazała Kinga tonem raniącym jak sztylety. – No już, nie maź się. Czytaj dalej.

Sylwester spojrzał na mnie ze współczuciem. Tak mi się wydawało, bo zdjął rogatywkę, a grzywka znów spływała mu falą na pół twarzy. Niewiele można było z niej wyczytać.

– *Wczoraj, gdy wróciliśmy z Euphorii* – kontynuowałem – *gdy panowie wojskowi zgotowali nam na progu powitanie, wstawiła się za nami obrończyni, Małgorzata o ognistym temperamencie. Zupełnie nie w moim guście, ale Mariuszek był wniebowzięty. Niewiasta o kruczoczarnych włosach wyprowadziła nas z internatu, przytuliła na szczęście, ciebie nie, bo leżałeś w krzakach, i zaprowadziła do pana Siwego, gdzie się dziś obudziłeś. Ja też, a Mariuszek dołączył do nas nad ranem, gdyż noc spędził z ukochaną w szatni.*

– Wzruszające – przerwała Kinga. – Już wystarczy, oko mi się rozmaże. – Wyszczrzyła się do mnie i mrugnęła. – A ty jesteś niemowa czy jak? – zwróciła się do młodego.

Sylwek wzruszył ramionami. Chciałem natychmiast znaleźć się w centrum jej uwagi, streścić historię dzieciaka emo. Nadarzył się idealny moment na zacieśnienie moich relacji z Kingą, ale wtedy Mariusz wyskoczył z hotelu i ruszył do nas szybkim krokiem.

– Spadamy – rzucił i wpakował się do samochodu. Wsiedliśmy również. Ja z przodu, Mariusz rzucił na Sylwestra stertę naszych gratów.

– A Gosik? – spytałem, szczerząc się do Kingi.

– Później się z nią spotkam – odparł, a ja wiedziałem, że to koniec tematu.

Tak naprawdę nie interesowała mnie ta dziewczyna, nie miałem też czasu o nią pytać, bo Kinga chciała wiedzieć, gdzie skręcić.

– W prawo – odpowiedzieliśmy z Mariuszem jednocześnie.

Skręciła więc, przepuściwszy wcześniej opla, gdyż ulica, którą jechaliśmy, była tak wąska, że obowiązywał na niej ruch wahadłowy. Przyspieszyliśmy. W kieszeni na drzwiach od strony kierowcy telepała się półlitrowa butelka Kropli Beskidu. Poczułem pragnienie. Chciałem poprosić o wodę, nie wychodząc przy tym na sępa. Postanowiłem

skorzystać z mowy ciała.

Obróciłem głowę w stronę Kingi i przybrałem wyraz głębokiego zainteresowania jej fizjonomią; przeprowadziłem studium twarzy. Nie znałem się na owalach, mogłem stwierdzić jedynie, że u góry czoła zaczynały się włosy, pod czołem znajdowały się oczy skupione na drodze, nos wystawał najdalej poza obrys, pod nim usta, a broda miękką linią przechodziła w szyję. Zależało mi na tym, by zauważyła, jak jestem nią zainteresowany.

– Co teraz?! – Zahamowała nagle, a butelka wpadła jej pod nogi.

O to właśnie chodziło – pomyślałem. Wyciągnąłem rękę w stronę jej kolan, żeby sięgnąć po mineralną. Zastosowałem łagodny, płynny ruch faceta zawsze gotowego do pomocy niewiastom w potrzebie. Przy okazji łydka, wiadomo, peugeoty takie ciasne.

– Daj, ja – powiedziałem.

Ale ona przechwyciła butelkę i wcisnęła ją z powrotem do schowka.

– Powiedz, gdzie mam dalej jechać – rzekła, a ja odkryłem, że skończyła się ulica.

Odwróciłem się do Mariusza:

– Nad zalew?

– Nad zalew – odparł.

Sprawę mieliśmy rozstrzygniętą. Kinga pojechała wzdłuż lasu najszerszą arterią w mieście, która była jednocześnie głównym traktem spacerowym. Tego dnia chyba cały tysiąc mieszkańców udał się na przechadzkę i wybrał nasz szlak, zapominając, że wzdłuż ulicy ciągnie się chodnik. Nikt z niego nie korzystał.

– Co ich tu tyle? – Mariusz pokazał środkowy palec dzieciakowi, który uderzył piłką do kosza o szybę naszego samochodu. Celował w czoło Mariusza. – Święto jakieś, że nie pracują?

– Trzeci maja – wyjaśniła Kinga. – Chyba nie myślicie, że specjalnie dla was poświęciłabym dzień urlopu?

– Nie myślimy – odparłem rozmarzony, teraz patrząc już tylko na butelkę z wodą.

– Dlaczego ty się tak na mnie gapisz?! – spytała Kinga, zajęta roztrącaniem przechodniów. No, no, wyczuła moje zainteresowanie. Uśmiechnąłem się w myślach.

– Bo ma chętkę na twoją... – zaczął Mariusz, po czym zrobił efektowną pauzę, żeby zbudować napięcie i wyszczerzyć się do mnie w lusterku – ...wodę.

Kinga strzeliła do mnie rzesami, więc przeszukałem błyskawicznie rejestr min i ubrałem twarz w coś łączącego Czarka Pazurę i Piotra Adamczyka. Słodki macho.

– Kretyn – skwitowała. – Trzeba było mówić.

I podała mi wodę.

– Matoł! – usłyszałem za plecami i zrobiłem szybki zwrot do tyłu, gotowy na ewentualną utarczkę słowną, ale Mariusz trząsał ramionami i wskazywał na faceta, który tulił dziewczynkę i wykrzykiwał coś w naszą stronę. – No co? – dodał niewinnie, ale dalej wyśmienieć się bawił.

Mariusz był jedynym pasażerem peugeotota w doskonałym humorze. Kinga odpuściła sobie dalsze straszenie przechodniów. Plotka musiała się roznieść, że oto nadjeżdża

zagłada, bo część spacerowiczów przeniosła się na chodnik. Mariusz wychwytywał z tłumu bystrzejsze dzieciaki i wchodził z nimi w wymianę gestów, ale z coraz mniejszym zapalem. Zaczął narzekać na nudę, jakbyśmy toczyli się Zakopianką, a przejechaliśmy raptem dwa kilometry i skręciliśmy w las nad zalew. W naszej pamięci jawił się on jako oaza spokoju, którą zamierzaliśmy zakłócić burzą mózgów. A była ona konieczna; plan przejęcia dworku i wydobywania kasy z sejfów cierpiał na istotne braki. Właściwie w ogóle nie istniał, ale po co zapeszać. Dlatego kierowaliśmy naszą przywódczynię na łono natury, żeby sielanka oczyściła jej umysł z cywilizacyjnych trosk, a płaskość terenu pomogła wygładzić projekt.

Normalnie w tym obiereckim otoczeniu, w które zdążyliśmy wrosnąć, nasz pomysł udania się nad zalew, czyli odludne łono natury, byłoby pierwszorzędny, gratulowalibyśmy go sobie nawzajem. Dziś jednak wypadł trzeci maja, który zmienił postać rzeczy. Obierec okazał się posiadać mieszkańców, a ci zdążyli dotrzeć nad zalew przed nami. Musieliśmy porzucić samochód przed hamburgerownią i udać się na spacer w poszukiwaniu miejsca, w którym moglibyśmy porozmawiać bez świadków. Rozejrzawszy się po okolicy, stwierdziłem, że może to oznaczać obejście akwenu tak, by znaleźć się na jego przeciwległym, dzikim brzegu, a to z kolei zapowiadało długą wycieczkę.

Urok

Często chadzam na długie wycieczki. Kiedy muszę się dostać do centrum, wyruszam Puławską. Ta zmienia się po paru kilometrach w Marszałkowską. Następnie w okolicy Hożej dostaję migreny, bo to bardzo głośne ulice. Mijają mnie po drodze setki samochodów i motocykli. Tym ostatnim mam ochotę wrzucić badył między koła, ale Warszawa to miasto, w którym trudno o wolne gałęzie, dlatego plan nie wyszedł nigdy poza sferę marzeń.

Wszędzie mogę chodzić pieszo. Nie mam pracy, nigdzie mi się nie spieszy, chodzę dla zabicia czasu. Pomyślałem, że może to genetyczne. W sensie, że wychowałem się w Obiercu, gdzie nie dociera nawet kolej, z rzadka przejeżdża jakiś samochód. Chyba przesiąknęłam tym pieszym klimatem. W moich żyłach płynie Obierec.

Nogi niosły mnie wydeptaną ścieżką wzdłuż zalewu. Jakiś czas temu musiało padać. Rybak przejechał na motocyklu i wyłobził koleinę. Szliśmy gęsiego jak pijani, sadząc dziwne kroki ponad śladami bieżników opon. Miałem dobre adidas, ale byłem przewrażliwiony na punkcie stawów skokowych, które wykrecały się nienaturalnie. Nie chciałem skrócić kostki w wyniku tego spaceru, bo źle by mi się odtańd kojarzył.

– Fajna trasa do biegania dla ciebie – powiedział Mariusz.

Eureka! W tym momencie nad głową rozblęsnęła mi żarówka. Przecież mnie się tutaj podoba. Próbowałem odegnąć pozytywne myśli o Obiercu jak faceta z ulotką baru sushi, bo nie lubię surowych ryb. Moje miejsce to Warszawa – przekonywałem sam siebie. To również miejsce Kingi, Mariusza, a nawet Sylwka, którego dotąd znałem pobieżnie, ale zacząłem rozumieć jego smutne jestestwo i potrafiłbym się z nim dogadać.

Ale tutaj szliśmy długo w milczeniu, całkowicie pochłonięci przez energetyczne powietrze, musujące trawy i wodę zagadującą do nas klap-klap. Przemykałem między towarzyszami spaceru jak pies, bardzo chciałem poznać ich reakcję. Gapiłem się im w oczy, sprawdzałem, czy ta łąka, to jezioro też ich zauroczyły i dlatego się nie odzywają, czy są po prostu niewyspani. Wierzgałem nogami, biegałem dla niepoznaki od jednego krzaka do drugiego, wymijałem ich i, buch, ukradkiem zerkałem w oczy, żeby się przekonać. O tak, poczuli te klimaty, wyczytałem to z ich nieobecnych spojrzeń, ale w końcu wszystko zepsułem. Taki przemyskający z lewa na prawo Maciek, w podskokach jak po Red Bullu, przypomniał im o kłopotach, więc zaczęli debatować nad jego rozwikłaniem.

Moim zdaniem głupio było nachodzić Piotrka i spółkę o tej porze, przed obiadem ich z domu wyciągać. Człowiek jak głodny, to zły. Jeszcze się zamieszanie zrobi, a tego byśmy nie chcieli. Wiemy, na co ich stać. I tak mosty mamy w Obiercu spalone do samego Golden Gate Bridge. Na przykład ten facet za nami z córeczką. Poznacie go? On nas poznaje, a zwłaszcza Kingi samochód.

– Po obiedzie pójdziemy, tak po piętnastej. Tutaj na wsi wcześniej się obiad jada – zauważyłem. – A do tego czasu możemy się przyrodą rozkoszować.

Ważkę im pokazałem.

– Po drugiej stronie wyspy łabędzie lubią się chować – zachęciłem.

Nawet na starą polanę chciałem ich zaprowadzić, bo niedaleko. Ładna gra świateł i cieni. Przez bagno trzeba się tylko przedostać, ale ja mogę pójść pierwszy, drogę sprawdzić, bo jestem tutejszy, nie zabłądzę...

Nie chcieli, w głowie mieli tylko plan, plan, plan i kasę, kasę, kasę. Nawet Sylwek. Zapomniałem, co powiedział, kiedy wywrócił się na schodach ganku. Ten cały urok natury tak mnie oczarował, że zignorowałem jedno z niewielu zdań, jakie wypowiedział Sylwek w mojej obecności. Tymczasem Kinga wpadła na pomysł, nie interesowała jej przyroda.

– Najlepiej pójde tam sama. Ubiorę się elegancko i zaproponuję obiad w restauracji. Macie tu jakąś, prawda? – zwróciła się do nas wszystkich. Dla niej już nie tylko ja, ale i bracia byli tutejsi. – W tym czasie wy zrobicie to, co wam się nie udało do tej pory, bo mnie nie było na miejscu. Wkradniecie się do budynku.

Miałem udać się na zwiady i rozejrzeć po pokojach oraz po stodole. Przepatrzeć stare kąty, w domyśle: zlokalizować sejf, sprawdzić, czy jest jeszcze pełen. Taka podróż sentymentalna mnie czekała dzięki temu, że Kinga zamierzała wywabić towarzystwo do restauracji. Nawet do miasta nieopodal gotowa ich wywieźć. Dla sprawy się poświęci, żebyśmy mieli wystarczająco czasu, by działać bez skrupowania. Pijaki powinny na to pójść, mimo że Krystyna, w gastronomii doświadczona, kotlety im pewnie smaży, ogórki sieka na mizerię i parujące ziemniaki okraszone skwarkami serwuje. Choć wydaje mi się, że na tym etapie życia zadowolają się kiełbasą i jajami od chłopa. Dlatego obiad w szykowej restauracji powinien na nich zrobić wrażenie. Przystawkę zamówię, pierwsze, drugie i deser z płonącymi lodami oraz *café au lait*, pod warunkiem że nazwę będą umieli wymówić.

Przyjęliśmy plan stosunkiem czterech głosów do zera. Nikt się nie wstrzymał. Postanowiliśmy zawrócić na osiedle. Czas naglił, bo było po trzynastej. Zgodnie z gminnym rytuałem Krystyna powinna właśnie szykować garnki albo przynajmniej kaszankę dzielić sprawiedliwie. Trzeba ją było ubiec, zastosowaliśmy więc krok Korzeniowskiego.

Tłum w okolicy budki z hamburgerami, gdzie zaparkowaliśmy, przerzedził się. Rozpoznałem kilka twarzy, które mijaliśmy po drodze tutaj, w tym dzieciaka z piłką do kosza. Z uwagi na kępy trawy nie mógł nią kozłować. Poza tym jadł frytki. Odprowadził nas wzrokiem. Było to spojrzenie z gatunku „laleczka Chucky”. Usiadł na ławce z widokiem na nas, wcinając metodycznie ziemniaki w paskach. Prawą nogą kołysał piłkę. Śmieszny taki dzieciak, który chce wyglądać na twardziela. Bestia z Obierca. Na plażę wpadła grupka smarków w towarzystwie wrzasków. Przebiegli obok koszykarza. Piłka wyslizgnęła mu się spod nogi i potoczyła w kierunku wody. *In your face! Masz za swoje!* – brzmiała moja dojrzała reakcja męzczyzny po trzydziestce.

Dotarliśmy do samochodu. Peugeot wyglądał dziwnie. Nieco jakby przechylony na prawo, jak gdyby przysiadł na boku, żeby odpocząć. Koleiny znajdowały się metr dalej, więc wykluczyłem je z kręgu podejrzeń.

– Kapeć z przodu – stwierdził mechanik Gardzioł, czyli Mariusz. Miał na nazwisko Gardzioł, ale można go było używać jedynie w szczególnych przypadkach.

In your face! – pomyślałem po raz drugi w krótkim czasie i odwróciłem się w stronę koszykarza. Raczej *in my face*. Nie wymieniliśmy jednak spojrzeń, bo ławka, na której wcześniej siedział „dzieciak Chucky”, była pusta. Powędrowałem wzrokiem w kierunku wrzasków wydawanych przez czwórkę smarków, gdyż ich jazgot zmienił brzmienie. Okrążyły jakiegoś grubego dzieciaka, górującego nad nimi o głowę. W wyciągniętych rękach trzymał piłkę, zastanawiając się, komu podać. Chucky przyglądał się im w zadumie z pewnej odległości.

– Jordan, może innym razem – stwierdziła Kinga, kopiając mechanicznie sflaczałą oponę. Czy to była dla mnie zachęta do działania?

Nie, Sylwek otrzymał dyspozycję, żeby zostać i zająć się kołem. Miał czekać, aż damy mu znać, że już po wszystkim. Trochę to potrwa, ponieważ mieliśmy tam iść na piechotę.

– To tutaj taki zwyczaj, czyż nie? Chodzenie na piechotę?

Owszem. Zwróciłem uwagę, że Kinga powiedziała to jedynie z odrobiną, a nie jak zwykle z pełną cysterną ironii. Przystąpiłem z nogi na nogę, bo chciało mi się siku i zacząłem odczuwać pierwsze oznaki stresu przedurazowego. Uraz miał nastąpić, gdy zakończymy przygotowania i staniemy u bram wroga. Pozwolono mi pójść w las za potrzebą. Gdy wróciłem uwolniony od nadmiaru płynów w organizmie, ale nie od obaw, Mariusz wyciągał z samochodu swój plecak, czyli skład broni. Przydał się podczas poprzedniej wizyty w moim domu rodzinnym, chwilowo okupowanym przez nieprzyjaciela, nie było więc powodu, żeby znów nie mieć go przy sobie. Przezorny zawsze uzbrojony, jak mówią.

Bronią podzieliliśmy się sprawiedliwie. Mnie przypadł brzeszczot i tasak – sprawdzone narzędzie z dobrym obciążeniem na końcówce. Mariusz zatrzymał dla siebie nóż sprężynowy, teleskopową pałkę i inne żelastwo, które pobrzękiwało jak kajdany wrogów inkwizycji, więc odpuściłem ich odbiór techniczny. W swoim plecaku nie nosiłem broni, chyba że policzyć długopis; mimo wszystko wziąłem plecak, bo pewniej się czuję z gratami przy sobie. Kinga stwierdziła, że i tak nie mamy jaj, żeby użyć broni. Stara dobra Kinga i jej wiara w nasze męstwo, ale nie robiliśmy jej wyrzutów przez wzgląd na to, że nie uczestniczyła w akcji „kury” i nie wiedziała, na co nas stać.

Wyciągnęła z bagażnika jakieś zwiewne ciuchy i spytała w hamburgerowni o toaletę. Skierowano ją do wychodka na tyłach. Stworzyło to dla nas szansę zakupu jedzenia, którego nie mieliśmy w ustach od wczorajszego popołudnia, ale nie zamówiliśmy niczego. Baliśmy się podejmować decyzje za plecami Kingi. Spędziliśmy więc czas na dłubaniu w nosie. Z wychodka wyszła w żółtej błyszczącej kiece z falbanami i w cienkim szalu, któremu zdarzało się spadać z ramienia i ukazywać opaloną skórę oraz mały pieprzyk na

szy. Do kompletu miała czerwoną torebkę wiążaną na rzemyki. Nie wyglądała tak, jak ustaliliśmy przez telefon, ale postanowiłem dać jej szansę, zwłaszcza że dodawała nam jako grupie wielu punktów do urody. Bez Kingi mieściliśmy się w kategorii: lump z dworca. Dzięki niej doszliśmy do dworku, nie zwracając na siebie uwagi.

Kinga uścisnęła na pożegnanie moją dłoń, życząc nam powodzenia. Przedłużyłem uścisk na niewzbudzającą podejrzeń chwilę, gdyż był ciepły i kojarzył mi się z plażą i drinkiem oraz ewentualnym dalszym ciągiem. Zostaliśmy z Mariuszem w krzakach na skraju ogrodzenia, podczas gdy ona poszła wyciągnąć ćwoków na obiad. Przyjeliśmy, że jeśli plan A nie zadziała, to przejdziemy do planu B pod nazwą „zajęcie posesji przez jej prawowitego właściciela, który wkracza w asyście prawniczki”. Nazwa była długa, ale mieliśmy czas, żeby obmyślić jakąś bardziej dostojną i budzącą grozę. To było ważne, bo nawet przy skutecznej realizacji planu A „rekonesans”, plan B i tak zamierzaliśmy zrealizować, tylko w innym stylu. W stylu prowadzącym do konkluzji.

Krzak miał metr wysokości, więc musieliśmy przykucnąć. Był gęsty, dlatego zasłaniał zarówno nas, jak i to, co działo się pod siatką. Mariusz podjął ryzyko i zerknął lewym okiem. Prawego i tak nie mógłby użyć, bo w jego miejscu tkwił rozkwaszony pomidor. Zdawał mi relację, z której wynikało, że wróg wyszedł na powitanie. Cała trójka facetów, Piotrek, Darek Mustang i ten z pekaesami (Waldek? tak się chyba nazywał) wyglądała na zadowoloną z wizyty pięknej pani. Doszło do intensywnej wymiany gestów ze wszystkich stron, aczkolwiek miała ona przyjacielski charakter. Kinga wskazywała ręką daleko w tył, a Waldek podtrzymywał Krystynę, która zakłócała pokojowe zgromadzenie. Jedną ręką oplatała kark mocno przygiętego Waldka, drugą wzięła się pod bok. W takiej pozycji i jeszcze na stelażu z kolegi jej ciało wysyłało komunikat: odwal się. Swoją drogą, zapomniałem spytać panią mecenas, w jaki sposób zamierza ich przekonać, że zaproszenie na obiad to oferta nie do odrzucenia, nie wzbudzając przy tym podejrzeń.

Zgłosiłem wątpliwość Mariuszowi, który chciał parsknąć śmiechem, ale się powstrzymał z obawy przed zdemaskowaniem. Następnie uzmysłowił mi, że skoro ja zachowuję się jak jej piesek, urok zadziała też na innych. Spytałem, czy na niego działa.

– Przemilczę przez wzgląd na naszą przyjaźń – odparł.

Pozostawił mnie bez wyjaśnień, a ja nie miałem pewności, czy chciał powiedzieć, że Kinga na niego nie działa z jakichś konkretnych względów, których mi nie zdradzi, żeby jej nie obrzydzić, czy też działa, lecz Mariusz walczy z tym uczuciem, ponieważ nie chce mieszać przyjacielowi w bigosie? Kazał mi się ogarnąć.

– A ta Gosia... – zacząłem, lecz ujrzałem w jego oku żądzę mordy. Urwałem w pół zdania.

– Krystyna się przewróciła – oznajmił. Zastygłem w oczekiwaniu na dalszy ciąg, więc kontynuował: – Kinga rzuciła się na ratunek, pomogła jej wstać. Chusteczkę wyciągnęła, brud ze spódnicy ociera.

– Dobra jest.

– Krycha chyba mięknie, opiera się na Kindze.

– Przełamały lody – zauważyłem.

Mariusz zatkał mi usta dłonią.

– Pekaes zaczyna machać rękami w stylu „poczekajcie”. Pobiegł gdzieś. Do szopy. Tam, gdzie mieszkałeś, tak?

– Miehhałem w obohe – wycedziłem przez jego palce.

– Nieważne – stwierdził i zabrał dłoń, ale szybko przystawił palec do ust, żebym siedział cicho. – O, skubany! Wyjeżdża traktorem. Słyszysz?

– Słyszę. Myślałem, że to śmigłowiec.

– Ciemna masa – skomentował. – Pokazuje, żeby się pakowali na przyczepę. Wyjrzyj, teraz są zajęci, nie zobaczą cię.

Wstałem z kolan i ujrzałem Krystynę, jak wtacza się na przyczepę. Darek Mustang jej pomagał; zrobił strzemień. Piotrek, który już siedział tyłem do kabiny, ułożył ramię w dźwignię i podciągnął pijaczkę do góry. Kinga przysiadła na brzegu. W letniej kiecce kojarzyła mi się z chłopką wracającą z sianokosów z piosenką na ustach. Pasowało to do niej. Pekaes robił za farmera-woźnicę. Kiedy wykręcał, skręcały nie tylko koła i kierownica, ale obracał się cały jego łeb. Nagle jego twarz znalazła się nad plecami.

– Siad! – warknął Mariusz i ściągnął mnie za koszulkę. Wylądowałem tyłkiem na kamieniu.

– Kurr...!

– Oj, płaczko, zamilcz. Nadjeżdżają, musimy być cicho.

Przejechali drogą jakieś trzy metry od nas. Twarz Pekaesa wróciła na swoje miejsce, choć minę miał ponurą. Widać lubił wykręty. Reszta ochlapusów leżała na kształt świeżo ściętych drzew, rzuconych niedbale na przyczepę. Konary się im wymieszały. Kinga siedziała tyłem do nas, ale kiedy traktor znalazł się na wysokości kryjówki, przeciągnęła dłonią po włosach, pokazując ukradkiem uniesiony do góry kciuk. Nadszedł czas, żebyśmy my dwaj przejęli inicjatywę.

Goście

Forsowanie ogrodzenia ani użycie brzeszczotu nie było konieczne, bo tamci zostawili otwartą furtkę. Przemieszczaliśmy się krokiem szybkim i posuwistym, lekko przygięci do dołu. Nie wiem, czemu tak szliśmy. Był środek dnia, a przestrzeń wokół rozległa. Każdy, kto chciał, mógłby nas zobaczyć. Chyba klimat akcji, trochę jak z *Tożsamości Bourne'a*, nam się spodobał.

Dotarliśmy do szopy, w której nie mieszkałem, co sugerował Mariusz. Mieścił się tam warsztat mojego ojca, a obecnie garaż na traktor. Poprosiłem Mariusza, żeby został na czatach. Tę wizytę musiałem złożyć sam, to były moje prywatne sprawy do poukładania. Jeśli coś mnie zaskoczy, łez wzruszenia nie uda mi się powstrzymać; nie chcę, żeby ktokolwiek przy tym był, nawet on. Zależało mi na nieposzlakowanej opinii, o ile jeszcze w ogóle mogę o czymś takim marzyć.

Mariusz oparł się o przymknięte skrzydło drzwi stodoły, zsunął się na ziemię i zaczął dla zabicia czasu obrzucać kamieniami gołębia, który – miałem nadzieję – dla nikogo nie szpiegował. Znajomy obrazek – pomyślałem, ale zanim oczy na dobre zaszyły mi mgłą, dostałem esemesa. *Wszystko pod kontrolą. Jedziemy do Euphorii. Dwa dania plus deser. Dużo alkoholu. Nie spodziewajcie się nas zbyt wcześnie* – napisała Kinga.

– Mariuszkule, w razie czego dzwoń – powiedziałem, ucieszony, że mam dwie kreski zasięgu. Pokazałem mu je, po czym wyciszyłem telefon, ustawiłem mocną wibrację i wszedłem do środka.

Wnętrze niewiele się na pierwszy rzut oka zmieniło. W warsztacie panował znajomy półmrok, mimo wczesnej pory dnia. Poszukałem włącznika światła. Nie działał. Wróciłem do wrót, by spytać Mariusza, czy przypadkiem nie ma latarki. Nastawiłem się na wyśmianie, nawet przyszykowałem wredną minę specjalnie na tę okazję, ale miał.

– Wow, cztery tryby świecenia – zauważyło moje wewnętrzne dziecko. Mariusz załamał się, widząc moją reakcję.

Odwróciłem się. W migającym trybie latarki stare rzeźby porzucone w kącie robiły wrażenie żywych. Wytrzeszczały oczy, obnażały zęby, wydymały grube wargi i wyprężyły brzuchy albo coś, co powinno być w ich miejscu. Zapachniało kinem grozy. Średnio się z tym poczułem, więc przełączyłem latarkę na tryb ciągły. Od razu lepiej.

Trochę się jednak pozmieniało. Nie było już tak czysto jak za naszych czasów. Rządził bałagan. Kurz zalegał połaciami, wirował w świetle latarki. Pająki kiwały się na nitkach pajęczyny, jakby schodziły ze ściany Mount Everest. Po narzędziach ojca nie było śladu. Zastąpiły je inne graty, nieużytki. Zardzewiałe żelastwo, poskręcane pręty, porozrzucone zębaki. Scena upadku z kłopotami w roli rekwizytów. Trzeba było iść powoli i uważnie, żeby się o nic nie potknąć. W każdej chwili coś mogło spaść na głowę i zebrać krwawe żniwo. Stapałem na palcach z rozłożonymi na bok rękami. Krok za krokiem szukałem

środka ciężkości i kilku pustych centymetrów podłogi, aż stanąłem nad dziurą. Poświeciłem w dół i ujrzałem drabinę. Oparta o krawędź wykopu prawie cała znikła w środku. Na pierwszy rzut oka wykop wyglądał jak kanał samochodowy, tylko z tego, co kojarzę, kanał ma cztery ściany, a ten prowadził gdzieś dalej pod podłogą.

– Mariusz! – zawołałem ze ściśniętym gardłem.

– Co? – wsunął łeb do stodoły.

– Tam jest dół i jakieś przejście pod podłogą. Wejść sprawdzić. Bądź czujny.

– Stary, stary, na pewno mnie nie potrzebujesz?

– Nie, przecież mamy tylko jedną latarkę – odparłem, choć w rzeczywistości nie chciałem, by mi towarzyszył. – Ale dzięki – dodałem, bo mu się należało za troskę.

Dół nie był głęboki, ale zakrył mnie całego plus kilkadziesiąt centymetrów. Żeby wejść do podziemnego korytarza, musiałem się pochylić. Poświeciłem w głąb, szykując się na szok, a przynajmniej na gnijące trupy, ale wyglądał jak zwykle starannie wykute przejście. Wykop wyposażony był w oświetlenie. Znowu poszukałem włącznika i znów go nie znalazłem. Cóż, i tak przywykłem już do latarki.

Korytarz wiódł prosto. Według zaktualizowanych obliczeń mógł prowadzić do domu. Szedłem powoli, spodziewając się szcurków albo stworów z głębin. Wyciągnąłem z plecaka tasak i wyglądałem głupio. Nic nie wypełzło mi na przywitanie, nie zawyło. Przekop był pusty, suchy i ciepły. Nie przypominał tunelu *Metra 2033*. Stwierdziłem po namyśle, że nuda.

Po pewnym czasie, w którym chętnie rozerwałbym się słuchaniem hard rocka, lecz nie zabrałem empetrójki, natknąłem się na wnękę z lewej strony. Od góry do dołu załadowana była skrzyniami. Ustawione z żołnierską precyzją, drewniane, ściśle zamknięte pudła leżały gotowe do transportu. Po oznaczeniach na ściankach nie byłem w stanie stwierdzić, co jest w środku. Wszedłem na pół kroku, bo tyle we wnęce pozostało wolnej przestrzeni i wymieniłem tasak na brzeszczot. Wsunąłem ostrze pod wieko pierwszego pudła z brzegu, ale równie dobrze mógłbym próbować zastawić drzwi kartką papieru. Metal wygiął się jak plastelina. W mordę jeża!

Schowałem pogięte w zygzak ostrze i podniosłem z pudła tasak. Wcisnąłem krawędź metalu na tyle, na ile się dało między deski ścianki bocznej i poruszyłem ostrzem. Drewno poluzowało się na gwoździach, więc napałem narzędziem jeszcze mocniej. Wyciągnąłem je po chwili, obróciłem w dłoni i tępą krawędzią uderzyłem kilkakrotnie w poluzowaną deskę. Ustąpiła. Wyciągnąłem ją, a z wnętrza skrzyni posypały się poplątane, cienkie paski papieru, jak gdyby ktoś upchał w niej kartki pochodzące z niszcarki. Służyły jako wyściółka. Wygrzebałem przez szczelinę całą masę sieczki i poświeciłem latarką do środka. W pudle znajdowało się kilka rzeźb, dokładnie takich, jakie widziałem w szopie. Wypisz, wymaluj niesławne dzieła mojego ojca.

To zastanawiające, jakim cudem udało mu się kiedyś wyprodukować tyle tego chłamu? Nawet nie musiałem liczyć, żeby mieć pewność, że liczbowo figury szły w tuziny. Nie miałem okazji przyglądać się jego pracy, jednak jeśli zsumować skrzynie i to, co piętrzyło

się pod ścianą szopy, zaczynałem podejrzewać, że wytwarzał figury tak szybko, jakby pracował przy taśmie. Tylko w jakim celu? Żyłem w przekonaniu, utwierdzonym we mnie przez dziadka, że absolutnie nikt nie interesował się ich kupnem. Tymczasem kogoś te rzeźby obeszyły, nagle okazały się intratnym interesem. Jakiś przedsiębiorca zadał sobie trud ich odnalezienia, zebrania, spakowania do skrzyń i przygotowania do transportu. Do jakiegoś dalekiego miejsca, jak mniemam, wnosząc po chroniącej przed zniszczeniem wyściółce. Z całym szacunkiem dla dawnych przyjaciół, ale nie podejrzewałem pijaków w ich obecnym stanie, żeby na to wpadli. Musieli z kimś współpracować, z człowiekiem obeznanym z regułami handlu. Tylko z kim? Zmarudziłem sporo czasu, który powinienem oszczędzać z uwagi na niepewność, jaka zwykle towarzyszy osobom włamującym się do domostwa pod nieobecność gospodarzy. Ruszyłem więc dalej, odkładając rozwikłanie zagadki na chwilę, w której zdobędę więcej informacji. Wsunąłem tasak ostrzegawczo przed siebie.

Nie uszedłem pięciu kroków, gdy po prawej stronie zauważyłem odnogę korytarza. W odnodze paliło się światło, ale po kilku metrach zakrecała, więc nie widziałem, dokąd prowadzi. Pomyślałem, że gdybym tam wszedł, minąłbym się z dworkiem i wylądował prawdopodobnie na przeciwnej półkuli Ziemi. Miałem wrażenie, że w oddali mignął mi jakiś cień, ale poruszyłem latarką i uzyskałem dokładnie taki sam efekt. Nie teraz – stwierdziłem. Przyjdzie czas na odnogi i analizowanie cieni rzucanych przez latarkę. Poszedłem dalej głównym korytarzem.

Za jakiś czas dotarłem do dziury, która miała mnie wyprowadzić na powierzchnię. Znów był to otwór z drabiną, którą wykorzystałem zgodnie z przeznaczeniem. Dwukrotnie. Pierwszy raz wspinałem się do czwartego szczebla, który trzasnął i zaprosił mnie z powrotem na twarde podłoże. Przyjąłem zaproszenie bez namysłu. Poleżałem chwilę, pogłaskałem tasak, który wypadł mi z dłoni i wylądował parę centymetrów od kuśki. Potrząsałem głową, porzuciłem broń i zaatakowałem drabinę po raz drugi. Tym razem ominąłem feralny szczebel i znalazłem się wreszcie na górze.

– Wszystko przez te ciemności – wyjaśniłem sobie i domowej spiżarni, bo w niej wylądowałem. Odbudowany po wojnie fragment ściany szczytowej raził kiepską murarską robotą. Stojąc nad otworem, zacząłem się zastanawiać, czy przypadkiem dziadek nie wykopał go w ferworze powojennego remontu. Pierwszy raz widziałem ten wykop na oczy, ale za moich czasów podłoga przykryta była linoleum. Ujrzałem jego wycięty, zrolowany fragment pod ścianą, o którą opierała się również zbita z desek płyta, na oko idealnie nadająca się do przykrycia dziury. Zrobiłem dwa kroki. Na dobry początek zahaczyłem o coś szklanego na podłodze i narobiłem rumoru.

– Odsiecz przybyła. – Zaczynałem lubić rozmowy z samym sobą. Byłem takim spolegliwym interlokutorem.

Nadstawiłem ucha. Odpowiedziała cisza. Nikt nie przybiegł mnie wykończyć. Poświeciłem latarką na podłogę. Truskawki 1989.

– Świętny rocznik – przypomniałem sobie.

To był wyjątkowy sezon. Babcia zrobiła dużo powideł. Zapamiętałem, bo własnoręcznie zbierałem truskawki przy pomocy rodziny i sąsiadów. Spaliłem się wtedy na słońcu. Babcia jedną ręką polewała moją skórę zsiadłym mlekiem, a drugą robiła weki, choć normalnie rzadko kiedy zdejmowała koronkowe rękawiczki. Dama to była jakich mało. A teraz mam na bucie powidła na pamiątkę tamtych wyjątkowych chwil. Wyglądały jak plama krwi; realistyczna charakteryzacja.

Zgasilem latarkę, zorientowawszy się, że jestem już na parterze. Wprawdzie w spiżarni było tylko małe okno u góry, ale w kuchni, do której przeszedłem, dysponowałem już mocnym światłem słońca wyglądającego zza pourywanych zasłon. Strzępy materii falowały na wietrze wpadającym przez uchylone okno. Kuchnia musiała być teraz królestwem Krychy, choć królowej wyraźnie brakowało rąk do pomocy. Garnki z nierdzewnej stali, na przekór swojej nazwie, pokryły się rudymi zaciekami. Dwa zlewozmywaki wydawały się uczestniczyć w zabawie „kto wciśnie jeszcze jeden talerz”. Panował chaos, ale artystyczny, taki kulinarny. Nigella smaży, waży i roztrąca cyckami garnki. Otworzyłem lodówkę. Kiełbasa, tak jak myślałem. Pachnąca i wędzona. Urwałem kawałek, bo natychmiast przypomniałem sobie, że jestem głodny. Schowałem pół laski dla Mariusza. Należało się chłopakowi. Resztę odłożyłem na miejsce, co złego, to nie my, choć smakowała wyśmienicie. Pewnie od miejscowego rzeźnika.

Dobre wieści – pomyślałem. Dom żył. Nie dostałby atestu Sanepidu, ale nie popadł w ruinę. Nie zalegała w nim warstwa brudu, pod którą nie mógłbym odróżnić szafy od toaletki. Dziadek po wojnie musiał go odbudować. Mnie się, jak widać, upiecze.

Z kuchni prowadził długi korytarz dwa razy przerywany przez drzwi do pokojów. Jeden był gabinetem dziadka, drugi sypialnią babci. Nigdy mnie do nich nie wpuścili. Gdy czegoś potrzebowałem, stawałem pod drzwiami i mówiłem przez deski, podobnie jak do ojca. Taka była ta moja rodzina – kiepska w rozmowach w cztery oczy. Ale wzory na białych drzwiach mógłbym bezbłędnie odtworzyć z pamięci.

– Babciu, kolacji jeszcze nie jadłem – mówiłem, zdrapując odpryskującą farbę.

Teraz pokoje też były zamknięte. Ciekawe, kto w nich mieszkał? Ciekawe, czy też rozmawiał z innymi przez barierę? Nie sprawdziłem, poszedłem dalej. Nie chciałem zakłócać ciszy skrzypieniem otwieranych drzwi. Po tylu latach mieszkania przy głównej ulicy w Warszawie, wciąż delectowałem się panującym tu spokojem. Nie przejeżdżał żaden samochód, ćwierkały tylko pojedyncze ptaki. Od czasu do czasu rozlegało się ciche pyr-pyr. Mariusz pewnie nie wytrzymał i z nudów przerzucił graty w warsztacie. Dobrze, niech posprząta. Niech się czymś zajmie, bo jeszcze tu za mną przylezie.

Dotarłem do salonu na planie otwartej przestrzeni. Na drugim końcu znajdowały się schody, po których wchodziło się na galerię. Trzymając się balustrady, żeby nie spaść do salonu na stół, można było obejść całe górne piętro, zaglądając do łazienki, jednego z trzech pokoi i mojej dawnej kryjówki. Z sufitu zwisał żyrandol udekorowany masą kolorowych szkiełek, które rzucały na ściany psychodeliczne refleksy. Dawały podobny efekt, jak kule z lusterek w dyskotekach. Teraz był wyłączony. Wątpię, czy w ogóle działał.

Brakowało żarówek, reszta pewnie się zepsuła. Tak, zdecydowanie, bowiem na stole jadalnianym dla dwunastu osób, na który powinno padać światło żyrandola, stała toporna peerelowska lampka z metalowym abażurem. Musiała się raz przepalić, bo kabel był osmalony i sklejonny taśmą, a obok podstawy lampki zauważyłem zwęgloną płamę. Szkoła stołu, dziadek opowiadał, ile kosztowała jego renowacja. Za odnowienie stołu i fotela, w którym babcia czytała książki, choć najczęściej chrapała, mógłbym kupić wielomiesięczny zapas piwa dla mnie i Mariusza. Fotel wciąż stał przy schodach, otoczony filarami z książek, fosą z magazynów i ściółką prasy codziennej, odwrócony tyłem do okna i do mnie. Babcia lubiła, jak jej świeciło na książkę, ale nie prosto w oczy. Oficjalnie. Bo nieoficjalnie: jak by inaczej zasnęła?

Kolejnym monumentalnym elementem wystroju był gobelin przybity do ściany między schodami a wyjściem na ganek. Utknęła go moja matka. Przedstawiał, a jakże, nasz dworek, tylko w wydaniu sprzed wieku. Nad wyszytą na dywanie posiadłością rosło drzewo genealogiczne. Nie pamiętam, na ile pokoleń wstecz. Musiałbym podejść. Nie widziałem z tej odległości. Na samej górze mama wyszyła herb, którego punktem centralnym był dywan.

– Chodź, Macieju, opowiem ci historię rodzinnego herbu – powiedział raz dziadek, stawiając mi przed nosem talerz z jabłecznikiem. Rzucił okiem na fotel. Upewnił się, czy babcia śpi, i podszedł do komody. Wyciągnął karafkę z nalewką pigwową i nalał mi pół szklanki. Miałem wtedy jedenaście lat.

Według słów dziadka dywan w naszym herbie to gobelin, który w wydaniu ze wzorami ornamentacyjnymi nazywa się kobierzec. Pramatki naszego rodu posiadały wielki talent tkacki. Podobno kobierce ich autorstwa zachwyciły polski dwór, a któryś z królów sprowadził kilka do swojego zamku. Moim przodkom w uznaniu za zasługi nadał ziemię i tytuł. Od tej pory mieliśmy w herbie dywan, a nasza okolica miała się nazywać Kobierzec. Niestety ówczesny skryba był obcokrajowcem, trudności sprawiały mu niektóre polskie słowa. W wyniku jego pomyłki, zwanej przez redaktorów literówką, pochodzimy z Obierca, zamiast z Kobierca, choć inna wersja mówi, że był pijany w sztok, kiedy próbował zapisać nazwę.

– Dziadku, nie kituj – powiedziałem, używając popularnego w tamtych czasach kolokwializmu, ale Tadeusz Borowski kłął się na wszelkie świętości, że to prawda.

– Klnę się na moją połówkę mapy, że tak było – oznajmił, a ja nie miałem powodów, żeby dalej się spierać. Historia brzmiała tak niewiarygodnie, że równie dobrze mogła być prawdziwa. Poza tym dziadek pilnował, żeby w mojej szklance z nalewką nie ukazało się dno, a ja byłem jeszcze młody i szybko odczułem działanie trunku. Umknęło mi wiele szczegółów. Złote czasy pijackie, w których mogłem pić litry alkoholu, zachowując trzeźwość umysłu, miały nadejść dopiero za kilka lat.

Już robiłem w myślach *fast forward* do momentu, w którym po raz pierwszy urwał mi się film, ale podskoczyłem porażony świdrującym dźwiękiem. Dzwoniła komórka. Poklepałem się po kieszeni, tyle że to nie był mój telefon. Poza tym ustawiłem tryb

wibracji. Odgłos pochodził z innego aparatu. Rozejrzałem się, leżał na stole. Dopadłem jednym susem i odrzuciłem połączenie. Przyzwoity model HTC, na oko mnóstwo bajerów. Nigdy takiego nie widziałem. Zagraniczny. Bałem się dotykać, żeby go nie zepsuć. Kiedy zgasł wyświetlacz, mój stary rozsuwany samsung zaczął mnie strasznie uwierać w kieszeni. A gdyby tak? Nikt nie wie, że tu byłem. Wyciągnąłem rękę po staruszka, po czym znów zamarłem, bo usłyszałem pyrkotanie odpalanego motocykla junak. Co robi motocykl w salonie? A nie! Zorientowałem się po chwili, że to babciny fotel chrapał. Naraz zarzęził i wyrwał się z drzemki.

– *What, what?* – wybełkotał po angielsku. Gadający mebel stał tyłem do mnie. Zza oparcia wypadła ręka, która zburzyła kolumnę książek. Wtedy zrozumiałem, że w fotelu siedzi jakiś facet. Nie zauważyłem go zza wysokiego oparcia. Najwyraźniej cały czas tu spał, kiedy ja dokonywałem oględzin. To by tłumaczyło pyr-pyr, które słyszałem wcześniej i niesłusznie przypisałem Mariuszowi.

Mężczyzna wstał – od razu zwróciłem uwagę na jego wysoki wzrost oraz okulary słoneczne ze złotymi literami Gucci na zausznicach. Opalenizna imponująca; chociaż facet był rasy białej, na widok jego skóry Shaquille O’Neal wpadłby w kompleksy. Wyglądał na wysportowanego, mimo że na oko dobiegał sześćdziesiątki. Podstarzały surfer z bezładnymi spłowiałymi włosami. Jasne workowate dzinsy, koszulka z napisem *Pensacola Beach*, a na niej wyciągnięty kardigan z grubym szarym splotem. Dookoła szyi okutał sobie jakąś kolorową szmatę. Nie mógł być stąd, nie mógł być nawet Polakiem. Wyglądał bardziej amerykańsko niż Amerykanin. To był Junior.

Telenowela

– Junior – stwierdziłem na głos, wkładając ręce do kieszeni. Broda i oczy do góry. Jesteśmy pewni siebie.

– *That's right*, Macieju – odparł i również wsunął dłonie do kieszeni. Kieszeni? Raczej worków wszytych do jednego dużego wora. Mówię o džinsach.

– *Surprise* – podchwyciłem zachodnią nutę.

Tylko kto kogo zaskoczył? Ani on, ani ja nie wyglądaliśmy na zdziwionych. Ja udawałem, on pewnie też. Kto pierwszy mrugnie?

– Nie spodziewałem się ciebie *so fast*.

– Ja ciebie w ogóle, wujku.

– Faktycznie, zaszły cyrkumstancje, które sprowadziły *both of us* w to miejsce.

Językowe kolegium nauczycielskie, dziękuję, że nauczyłeś mnie rozumieć angielskie wstawki, chociaż zamiast chodzić na studia, wolałbym zostać gwiazdą NBA.

– Cyrkumstancje?

– *Indeed*. Dostałeś ten *lousy letter* i przybyłeś odebrać, co swoje.

– W rzeczy samej.

– *Indeed*.

– Dostałem.

Przedłużałem gadkę szmatkę, w tym samym czasie rozsuwając w kieszeni samsunga. Wieczorze autorski pewnego kandydata do Nike, nie pamiętam nazwiska, jak wspaniale, że byłeś tak nudny. Opanowałem w trakcie sztukę bezwzrokowego pisania esemesów.

Wyklikałem SOS. Miałem nadzieję, że tyle wystarczy, żeby zasygnalizować Mariuszowi niebezpieczeństwo. Pożyjemy, zobaczymy, albo i nie pożyjemy. Ci Amerykanie i ich szajba na punkcie pilnowania prywatności. Właśnie wszedłem na jego terytorium, więc nie zdziwiłbym się, gdyby wyciągnął z kieszeni pistolet, mówiąc, że jestem na terenie jego nieruchomości. Nie zdziwiłbym się również, gdyby wyciągnął kałacha. Tyle miał w spodniach miejsca. Ale ani drgnął. Utrzymywał nieruchomą pozycję przy fotelu. *Stand-by*, przyczajony Junior, ukryty kałach. Coś jednak wybrzuszało mu się w tych nogawkach. Na udzie, oczywiście, na udzie. Wbijałem w niego spojrzenie i liczyłem na to, że nie zauważy, jak gmeram przy telefonie.

– *So...* – zachęcił, więc odparłem:

– *So...* – Poczulem wibrację raportu. Wiadomość dotarła do celu. Mogłem skupić się na rozmowie i czekać na wsparcie. – Dostałem list, którego treść, jak zakładam, znasz.

– *Indeed*.

– Więc jeśli ją znasz, to...

– Jestem *unhappy*, że list dotarł do ciebie. Miałeś go nigdy nie ujrzeć.

– Więc nie ty go wysłałeś?

– Nie.

Wiało nudą. Gdzie się odbywa ten wieczór autorski? Nagle wydał się konkurencyjny.

– Będziemy tak stać do północy? – Wyjąłem ręce z kieszeni i ruszyłem w jego stronę prężnym krokiem.

– Jak? – Spłoszył się, a przynajmniej takie odniosłem wrażenie. Zrobił krok do tyłu.

– Srak! Nie nudź, Junior. – Położyłem mu dłoń na ramieniu. Ścisnąłem, żeby nie uciekł.

– Co tu robisz, w czym rzecz? Skończ pierdoły, bo nie jestem taki głupi, na jakiego wyglądam. Spójrz mi prosto w oczy i mów. – Złapałem go za oba ramiona. – *Comprende* czy przetłumaczyć?

Pomajtałem nim trochę dla podkreślenia wagi słów. Portki zafalowały w rytmie cza-cza.

– A może tobie przetłumaczyć?

Poczułem przy żebrach twardy przedmiot. O kurde, psiamać! Spojrzałem w dół.

Paralizator. To ukrywał w nogawce. Kapitalnie, że do niego podszedłem. Strateg ze mnie jak ta lala. Czy możemy przewinąć czas parę minut do tyłu? Błagam, przemyślałem sprawę, rozegram to inaczej. Musiałem w Stanowej głowie przycisnąć jakiś guzik alarmowy, że postanowił wyciągnąć broń. Zaczniemy od początku. Jak to było? Podszedłem spokojnie, odnosiłem się grzecznie. W którym momencie popełniłem błąd? No tak! Dotknąłem ramion Amerykanina z Ameryki. Naruszyłem jego prywatny teren.

– Hola, hola, wujek. Spokojnie jak na wojnie. – Uniosłem ręce na znak, że się poddaję. Strzepnąłem mu z koszulki niewidzialny kurz. – *Friends?*

– Odwróć go przodem. – Wskazał głową na fotel. *No friends.*

Ostrożnie, żeby nie sprowokować ataku, zrobiłem mały krok w lewo. Złapałem oparcie fotela obiema dłońmi, podłoga zaskrzypiała, jakbym przesuwiał szafę trzydrzwiową. Obróciłem mebel, a powieści runęły. Teraz przed fotelem zalegały papierowe zgliszczka.

– *Sit on it!* – warknął Junior, więc posłusznie obszedłem hałdę. Wąska ścieżka doprowadziła mnie do siedzenia. Sprężyna w dupie – oto, co poczułem przy pierwszym kontakcie. Chciałem zmienić pozycję, ale celował we mnie paralizatorem. Znalazłem się w potrzasku. Za plecami wysokie oparcie, po bokach podłokietniki jak ścianki szafy, przede mną szaniec usypany z powieści. Za szanecem wróg z naładowaną bronią. Sytuacja nie do pozazdroszczenia. Po nosie spłynęła mi kropla potu. Gorąco się jakoś zrobiło.

– *Feeling comfortable?* – Stan zainteresował się moją wygodą, nie spuszczał mnie z muszki paralizatora, czy co tam mają na końcu urządzenia tego typu.

– Nie! – wrzasnąłem, a on pomyślał, że skarzę się na sprężynę.

– *Sorry*, moja córka okupuje łóżko w sypialni. Przyszła niedawno, ale taka zmęczona, że kazałem jej *take a nap*. *I can't offer you* nic lepszego.

Tak, tak – pomyślałem. – Ty sobie gadaj, Stan, a ja ponownie dam znak Mariuszowi, żeby nie ważył się ruszać. Obserwował nas z głębi korytarza. Nawet nie usłyszałem, kiedy przybył. Ciekawe, czy dotarł tu tą samą drogą co ja, czy wszedł przez okno w kuchni? Raczej okno, Mariusz jest wielki, usłyszelibyśmy, jak spada z drabiny. Albo i nie.

Przesuwany fotel mógł zagłuszyć hałas. Wytrzeszczałem oczy i kręciłem karkiem na prawo i lewo, jak bym chciał go rozluźnić. W rzeczywistości byłem mimem, który pokazuje przeczenie „nie”. Łypnąłem na Mariusza. Załapał? Chyba tak. Pokazał ręką, że „w porządku”.

– Mężczyzna z tatuażem.

– Mariusz?! – wyrwało mi się z gardła, a Mariusz wyrwał z kryjówki. Pomyślał, że go wołam. O, nie!

– Podobno ci akompaniuje. Christina mówiła.

Zdębiałem. Akompaniuje? Aha, towarzyszy, a Christina to pewnie Krycha.

– Nie! – krzyknąłem, gdy Mario zakończony teleskopową pałką zawisł kilka metrów za plecami Stana. – Zatrzymaj się!

– *I heard him* – rzekł Junior.

To co nic nie mówisz? – pomyślałem, a potem nagle poczułem wstrząs. Drrr!

– Aua! Ja pierdzielę! Jak boli, mamó! Aaa!

Stanisław Junior użył paralizatora.

Zatelepało mną jak szmaccianą lalką. Kończyny stężały, ale po chwili oklapły. Rozwaliłem się w fotelu niczym Stańczyk z obrazu Matejki. Włosy przywarły z powrotem do skóry. Poczułem pełen luz.

– *Better thank your friend*. Nieładnie to wygląda, gdy mężczyzna mężczyznę zachodzi od tyłu – rzekł z rozbawieniem i zrobił obrót na pięcie. Co za burak.

Skupił się na Mariuszu. Z urządzeniem w pogotowiu zaczął mu coś wyjaśniać. Świetnie, niech sobie gadają, a ja w tym czasie spróbuję ponownie uruchomić członki. Zaczniemy na przykład od powiek. Zamrugalem. Otwierają się, doskonale. Jak tylko obeschną łzy, poprawią się moje widoki na przyszłość. Z dłońmi nie poszło tak łatwo. Mogłem poruszyć kilkoma palcami, ale żeby coś więcej? Może później, prawa ręka ważyła tonę.

Mariusz tymczasem dostał zadanie. Złapał mnie pod pachami i ściągnął z fotela. Jaki ten Mario mięciutki. Nie to, co ta hałda, na której porzucił moje zwłoki. Coś kanciastego wbijało mi się w plecy. Nie ma sprawy, poleżę tu grzecznie. Usłyszałem, jak Mariusz klapnął na sprężynie. I jak, wygodnie? Teraz on był dla Stana tarczą ze spiralą w tyłku. Trzymaj się, stary. Przejmij dowodzenie, ja sobie tutaj podochożdę do siebie. Ile to przeważnie zajmuje? Wycharczałem parę sylab bez ładu i składu. Niezrozumiale. Stan musiał czytać z mojej mowy ciała.

– *You'll survive*. Za krótko trzymałem przy skórze.

– Błę, błę – wybełkotałem, czyli „świetnie” w narzeczu ofiary porażenia prądem.

Pokręciłem językiem z ligniny. Na razie nic więcej nie wskóram. Szkoda, bo wciąż nie wiedziałem, co jest grane.

– Co jest grane? – przyszedł z pomocą Mariusz. – Zły z ciebie człowiek, Amerykaninie.

– *Only the Germans are good* – odparł Stan, chichocząc pod nosem, że taki z niego znawca kinematografii.

Uduś się z tego śmiechu. Zakrztuś, opluj. Obetrzyj tę ślinę! Jak ty wyglądasz? Wyciągnij chusteczkę. W kieszeni masz? To odłóż na chwilę paralizator. Pozwól, żebyśmy ja albo Mariusz powalili cię w tym czasie na glebę. Rozumiesz, jaki jest plan? Posłuchaj mnie, dziadu: ty odkładasz broń, ja doskakuję. Jest po wszystkim, leżysz. Nie, to ja leżę. Nie mądruj się, mam Mariusza. On załatwi sprawę w moim imieniu. Na tym zakończyłem wewnętrzny dialog.

– Przestań bredzić – dobiegł głos z fotela.

Dziękuję, przyjacielu, który potrafisz czytać w myślach. Bardzo miło z twojej strony, że nie powiedziałeś: nie pieprz. Subtelna krytyka mniej boli.

– Jak długo chcesz nas tu trzymać? – dokończył po chwili, a ja się zorientowałem, że nie do mnie skierował swe wcześniejsze słowa.

– Dopóki nie wrócą moczymordy.

Pięknie. Stan też się umiał wyrażać o swoich towarzyszach. Moczymordy, czyli waćpanowie lubujący się w spirytualiach. Junior najwyraźniej posługiwał się wielkim słownikiem staropolszczyzny, a mój przyjaciel chyba go od niego pożyczył.

– A potem co? – kontynuował Mariusz.

– A potem was zmusimy, żebyście oddali klucz *to the safe*.

– Jaki klucz? – dalej się spierali.

Złapałem Mariusza za kostkę, bo powoli odzyskiwałem siły. Jeszcze chwila i będę się mógł obrócić. Omówimy spokojnie zagadnienie, ustalimy porządek działań. Co nagle, to po diable. A Junior poczeka, jest cierpliwy. Surfer w końcu. Na falę trzeba czasem czekać jak na Godota.

Miałem rację. Stan patrzył to na mnie, to na Mariusza. Ja patrzyłem to na niego, to na okładkę *Wojny i pokoju*, bo zasłaniała mi lewe oko. Nikt się nie ruszał, choć tylko ja w tym towarzystwie byłem faktycznie uziemiony.

– Ten, który Tad ukrył w rzeźbie – pół-Amerykanin odpowiedział wreszcie na pytanie Mariusza o klucz.

– Rzeźby nie ma – wydukałem, a Stan spojrzał na mnie jak Belzebub na siostrę Faustynę, która nieoczekiwanie zstąpiła do piekła.

– *You're wrong*, Macieju. Jest pod tobą.

– Ha, ha – wymamrotałem i łypnąłem prawym okiem w dół. Rzeczywiście, spod lewego biodra wystawała drewniana siekierka trzymana przez mój drewniany odpowiednik w skali jeden do dwóch. Na tyle, na ile mogłem, uniosłem kąciki ust w uśmiechu. Nie pozwolę się wyprowadzić z równowagi. Odwaga, gibkość, młodość.

– *Oh, sorry*. Nie możesz się ruszać. – Znow ten śmiech, przez który dłonie same zaciskały się w pięści.

– Skończyliście, panowie?

– Skończyliśmy – rzekł Stan i przystawił Mariuszowi paralizator do brzucha. – Jak ci się śpieszy, to powiedz koledze, żeby grzecznie oddał klucz.

– Jaki klucz, człowieku?!

Ależ ten Stan drobiazgowy. Męczy tak i męczy człowieka.

– Ten, po którego wysłałem moją rozpuszczoną córkę, ale nawet rzeźby nie znalazła. Aktu własności domu też nie. *What a mess!* Widziałeś jego mieszkanie? *You might get lost* – zwrócił się do mnie. – Musisz być kontent, że Margarita, *my dear child*, ci posprzątała. Stek chciała usmażyć, tylko mięso nieświeże. A ty się tak odwdzięczasz.

Na wspomnienie córki spojrział w kierunku korytarza. To mógł być właściwy moment, żeby odwrócić bieg wydarzeń, ale nie, surfer dopiero się rozkręcał.

– *But you know what?* – ciągnął. – Osobiście cię odwiedziłem. Nie pamiętasz? Skąd miałbyś? Nie było cię wtedy w domu. *I let myself in.* Wszyscy mamy klucze. *Surprised?* *My dad* ci nie powiedział? Wiń jego, nie mnie. Albo lepiej daj mu spokój! *He's pushing up daisies.* Stokrotki. Rozumiesz? Podobne do tych. – Wskazał na rękę Mariusza i zaczął się śmiać. Po chwili jednak podjął przerwany wątek: – Znalazłem rzeźbę pod górą twoich szmat. *Piece of crap*, naprawdę słaba robota. W rzeczywistości masz dłuższy nos. *Whatever.* Ale klucza nie było. Przyznaj się, gdzie go masz. – Stanął mi na nodze.

Tak bardzo nie bolało. Jak na razie nie potrzebowałem interwencji lekarza. Prędzej przydałaby się moja interwencja. Pogłótkowałem chwilę i postanowiłem spróbować. Do głowy i rąk zaczął napływać roztwór zwany życie. Pogrzebałem w plecaku.

– O niego ci chodzi? – zapytałem, unosząc w zwiędłej dłoni złoty klucz. Podczas monologu Amerykanina przypominałem sobie o prezencie od handlarki Heleny. Teraz albo nigdy, wyrwę klucz z podstawki albo nie wyrwę. Sam się wyłamał. – Łap!

Sflaczała ręka nie pozwoliła kluczowi odlecieć zbyt daleko. Upadł koło moich nóg. Junior się schylił i momentalnie poczułem dyskomfort.

– Macieju, jesteś takim samym frajerem jak twoi starzy – rzekł Junior, podnosząc klucz z uśmiechem. – Teddy myślał, że ich dopadła klątwa voodoo. Transmisja na odległość od tej wiedzmy z Haiti, która się do nas przyczepiła. Warczała za nami i syczała parę dni. Baliśmy się, *for real.* *But this was back in Africa.* Voodoo nie istnieje. Twoi starzy to zwykli naiwniacy. Tańczyli, jak im zagrałem. Nie tylko w Afryce.

Nie tylko, a gdzie jeszcze? Wyciągnij łapę spomiędzy moich nóg, ty mendo.

– Junior, Junior, gadasz i wyglądasz jak własny ojciec, ale charakter masz po sąsiadach z Bronxu. – Udawałem pewność siebie, choć w rzeczywistości umieszczałem z powrotem szczękę w zawiasach po tym, jak upadła na wieść o moich starych. Nim jednak skończyłem, domem wstrząsnął ogłuszający grzmot.

Obróciliśmy głowy w stronę, z której doszedł. Ktoś kopnął od zewnątrz w drzwi wejściowe, które dotąd trzymały się tylko na jednym zawiasie. Widać i tak niezbyt mocno. Ciężka rzeźbiona decha runęła na podłogę, zatrzymując naszą scenę w stop klatce. Gapiliśmy się w otwór, ciekawi, kim jest kopacz. Była nim prawniczka w żółtej sukience.

– A może, panie Junior, zechce pan uwolnić moich kolegów? – rozpoczęła Kinga, maszerując w naszą stronę. Lewą ręką wyglądała falbany, w drugiej trzymała przy uchu telefon. – Policję mam na linii, już są w drodze. – Pomachała Stanowi komórką.

– Co ty mówisz, dziewczyno? *I ain't no bad man.* – Stan rozłożył szeroko ręce.

– Twoim zdaniem nie liczy się, że machasz przed nimi paralizatorem? W tym kraju musisz mieć pozwolenie na takie cacko, prawda panie komisarzu? – mówiła jednocześnie do nas i do słuchawki.

Spojrzeliliśmy na nią pytająco.

– Potwierdza – potwierdziła, usłyszawszy odpowiedź gliniarza.

– A skąd ja wiem, że to nie *joke*? I kim ty jesteś, *young girl*?

– Mecenas Kinga Lelek. Przedstawiciel prawny pana Borowskiego.

– To ja jestem Borovsky.

– On też, a to komisarz Sypniewski. – Odsunęła komórkę od ucha i włączyła głośne mówienie.

– Sypniewski z tej strony – usłyszeliśmy głos pana władzy.

– *Hey, officer*, ja jestem porządny obywatel. *The teaser is for protection*.

– Co? – Sypniewski odchrząknął niepewnie, ale natychmiast odzyskał fason. – Nie pierdol mi tu, człenu, tylko rzuć broń i grzecznie na nas czekaj. Jesteśmy tuż-tuż.

Junior z wahaniem położył paralizator na podłodze. Mariusz doskoczył do niego i sprzedał mu plombę na dobry początek. Junior stracił równowagę, ale Mario przytrzymał go swoją wielką łapą.

– Mariusz Gardziół, ochrona osobista – przedstawił się głębokim głosem, który zapewnił mu angaż w call center. Wykręcił pół-Amerykaninowi rękę do tyłu. Stanęli w uścisku, który dla żadnego nie był przyjemnością.

– Złóż oświadczenie, że nie rościsz sobie praw do majątku. – Kinga podsunęła Stanowi słuchawkę.

Warknął, wierzgnął nogami, próbując się wyrwać z objęć, ale ramiona Mariusza działały jak imadło. Junior równie dobrze mógłby próbować przekonać babkę w tramwaju, by ustąpiła mu miejsca. Ustąpił i wyrzekł się dworku zgodnie z instrukcją.

– A teraz powiedz, że czwórka ochlapusów opuści posiadłość w trybie natychmiastowym. Zresztą to tylko formalność, policja i tak już jedzie im z pomocą. – Uśmiechnęła się wdzięcznie.

– Oświadczam, że czwórka ochlapusów... *God! That hurts!* – zawył Junior, gdy Mariusz przygiął go mocniej do podłogi. – *I can't remember the words, man!* – wyjęczał.

– Nieważne. Twoje oświadczenie zostanie spisane – orzekła Kinga, wyciągając z torebki długopis i czystą kartkę. Podsunęła je Juniorowi.

– Co tam się dzieje? – przypomniał o sobie Sypniewski.

– Łajza podpisuje oświadczenie – odezwał się Mariusz i kopnął Amerykanina z całej siły w kostkę. Popularny sposób łysego na podtrzymanie kontaktu z rozmówcą.

– Podpisuj – nakazała Kinga.

Junior wyciągnął wolną rękę i nabazgrał coś posłusznie na kartce. Nie widziałem co, gdyż nadal leżałem na podłodze.

– *There you go*, to tylko pusta kartka. – Junior wykrzywił wargi.

– Nie szkodzi – zabrałem głos, łapiąc się nogi fotela. – Mamy dwóch świadków,

prawniczkę i policję na linii. Nie wywiniesz się, Junior, nie wywiniesz.

Wstałem powoli, podtrzymując się podłokietnika. Rozciągnąłem kończyny, spróbowałem iść. Jakaś dziwna siła miotła mnie w różnych kierunkach.

– Właśnie, człeniu – zagrzmiał funkcjonariusz. – Nie wykręcisz się z tego, jesteśmy przy zakręcie.

– Dzięki, panie komisarzu. Czekamy – odparła Kinga i zakończyła połączenie. – Masz minutę – powiedziała do Stana. – Spieprzaj.

Skinęła na Mariusza, żeby go uwolnił. Mario gapił się to na nią, to na mnie, nie łapiąc, co się dzieje. W jego oczach malowało się wielkie „he?”.

– Puść go – potwierdziłem. Junior uwolnił się z uścisku i rzucił okiem na HTC na stole. – *Sorry, uncle*, komórka zostaje z nami. Nie chcemy, żebyś zdążył ostrzec swoich pijaczków.

– *The hell with it.*

Machnął ręką i wybiegł przez ganek, potykając się o przewrócone drzwi. Byliśmy trójką widzów, którzy na ekranie okna obserwowali faceta pędzącego do furki jak sprinter licealnej drużyny. *Go Florida High!* I tak nie wygrałby ze mną na setkę. Oto nogi geparda, proszę państwa. Jedną z nich wstrząsnęła wibracja.

Wyciągnąłem komórkę. Sylwek pytał w esemesie, czy wszystko w porządku. Odpisałem, żeby przyjeżdżał, jeśli koło już zmienione. U nas pozamiatane. Tęsknił? Za nami czy za kasą? Może zapytać? Za późno, butelka z listem do niego już unosiła się na falach. Postanowiłem, że to ostatnia wiadomość, którą wysłałem z samsunga. Okrutny będę dla mojego starego telefonu i wspólne chwile przehandluję za garść aplikacji w HTC. Obejrzałem komórkę Juniora, odprowadziłem wzrokiem właściciela, który wybiegał na ulicę, furkocząc spodniami. Dla niewtajemniczonych mógł wyglądać jak uczestnik wyścigu w workach. Nawet teraz bym go dopadł, ale nie zamierzałem tego robić ze względu na wątpliwości wobec policji, a konkretnie wobec pana władzy Sypniewskiego, który tyle miał z prawem wspólnego, co Lord Vader z prawidłami Mocy. Owszem, znał kwestię od podszewki, ale reprezentował jej ciemną stronę.

Co teraz? Przegoniliśmy jankesa. Pozbyliśmy się lumpów. Przynajmniej na jaki czas. Na jak długo? Cholera! Przecież oni mogli wrócić w każdej chwili.

– Co z pijakami? – spytałem, rozpaczliwie szukając środka ciężkości. Uczepiłem się blatu stołu.

– Wciąż w barze. Chyba że...

– Chyba że?! – zapytaliśmy z Mariuszem jednocześnie.

– Ktoś zdążył ich odwiedzić na tutejszą Kolską albo od razu do Monaru.

– Monaru? – zapytałem.

– To ośrodek... – zaczął Mariusz.

– Wiem, co to jest Monar. – Oparłem się o jego ramię. – Tylko dlaczego akurat tam?

Wiosenna promocja swetrów?

– Powiedzmy, że znam ludzi, którzy mają dostęp do niezbyt legalnych substancji.

Założmy następnie, że któraś z tych substancji wpadła lumpom przypadkiem do drinka. Rozumiecie?

– Rozumiemy. Pigułka plum, Mustang kaput.

– Otóż to. Takie substancje są w stanie wywołać nieprawdopodobne efekty. Ale co ja mogę wiedzieć? Oficjalnie mnie przy tym nie było. Mariusz wezwał mnie na pomoc, więc udałam, że muszę do toalety i przybyłam.

– Mariusz? – rozległ się głos, który nie należał do mnie.

Z korytarza prowadzącego do sypialni wyłoniła się dziewczyna o latynoskiej urodzie. U góry, pośrodku i w każdym innym miejscu. Znałem tę dzierlatkę ze zdjęcia. Margarita, córka miłośnika luźnej odzieży i obezwładniania ludzi za pomocą prądu.

– Gosik? – odezwał się mój przyjaciel. – Co tu robisz?

Wyśmienicie, po prostu wybornie. Niech państwo się poznają. Ale poważnie, już się znacie? Noc spędziliście w klubowej szatni? Cóż za zbieg okoliczności. To ja się nie wtrącam. Przepraszam szanowną panią za nietakt. Szacunek dla dam przede wszystkim.

Mariusz wyrwał w jej stronę. Zamachałem rękami jak narciarz bez kijków, któremu skończył się łagodny stok. Kinga, ratuj – spojrzałem błagalnie. Odsunęła się, żeby zrobić mi więcej miejsca do upadku. Dziękuję, dobra kobieto, skorzystam ze stołu. Złapałem się sprawdzonego blatu i powoli obróciłem, przysiadłszy na krawędzi, żeby mieć dobry widok na Latynoskę i kumpla.

Scena między nimi natychmiast zmieniła się w brazylijską telenowelę. Margarita gapiała się na don Mario swoimi czekoladowymi oczami o dziewięćdziesięcioprocentowej zawartości kakao. Jej ręce fruwały niczym witki na wietrze, loki podskakiwały w rytmie samby. Kajała się przed ukochanym przy użyciu bieglej polszczyzny z hiszpańską nutą. Don Mario zaś zachwycał rolą prezesa na posiedzeniu zarządu. Stał zasłuchany w spowiedź kolebiącej się dziewczki, której tajemnice odkrywał przez całą ubiegłą noc. Widać jednak nie dotarł do najgłębszych zakamarków jej latynoskiej duszy. Ja, trzymając się stołu, odgrywałem rolę głosu z offu. Zadawałem dodatkowe pytania, ilekroć wyznanie Margarity utykało w plątaniu wątków. Do czegoś się w końcu przydałem.

– Dlaczego nie powiedziałaś, że Stan to twój ojciec i że działacie w zмовie?

– Nie działamy w żadnej zмовie. Nienawidzę go!

– Nienawidzisz?

– Tak, to zły człowiek, ani uczciwy, ani patriota. Żerował na dziadku, kosztem Macieja pragnął się dorobić. Dla Maćka tu przyjechałam, on o niczym nie wiedział. Udałam tylko, że jestem po jego stronie.

– Nie wierzę! Nie miałaś powodu, żeby go nienawidzić.

– Miałam. Zerwał kontakty z polską diasporą na Florydzie. Jak można znieważać rodaków Lecha Wałęsy i Ojca Świętego? Lżył wszystkich przyjaciół imigrantów z Polski, a oni tak dobrze historii i języka mnie nauczyli. Meksyku, skąd pochodzi moja *mamãe*, też nie szanował. Nawet zniszczył ołtarzyk Matki Bożej z Gwadelupy, który ustawiła w salonie. Kolorowe wycinanki porozrywał na strzępy, krzyżyk z kwiatów połamał, ramkę

wyklejaną koralikami roztrzaskał o ścianę. Turlały się muszelki, świecidełka po podłodze, a on je deptał, kopał, rozgniatał buciorami. Święta Panienka się od nas odwróciła za to, że żyjemy z potworem. Poskarżyłam się przyjaciółce, która jest jego sekretarką. Ginger na to, że sypia z moim *padre* od Wielkanocy i jej zdaniem to ognisty rumak, a matka to rozhisteryzowana foka. Znienawidziłam tę dziwkę. Załatwiłam jej pracę, a ta szmata nasikała na płomień mojego domowego ogniska. Jak ukradniesz dla mnie testament Tada Borowskiego – powiedziałam jej – nie pisnę *mamãe* o was ani słowa. Musiałam wysłać testament Maciejowi, bo ten kapitalista od siedmiu boleści pakował już walizki do Polski. Jak dziadka kocham, przyleciałam, żeby ubiec tego potwora, żeby pomóc drogiemu kuzynowi. Niezwykły Polak na straży rodzinnego dziedzictwa, to zaszczyt mieć takiego romantyka za krewnego.

Uśmiechnęłam się zalotnie, grzebiąc dla zmyłki w telefonie. Wszak mówiła o mnie, a komplement od damy takiego pokroju należy przyjąć z właściwą skromnością.

– To dlaczego wczoraj nie pisałaś słowem? – Mariusz zepsuł moją piękną chwilę. – Miałaś okazję porozmawiać z Maćkiem w cztery oczy.

– Kiedy? Pierwszy raz go widzę.

– W internecie! Odprawiłaś mundurowych, mnie, Maćka i Sylwestra przytuliłaś na szczęście.

– Mnie nie, w krzakach leżałem – ująłem się za niewiastą. – Sylwek tak twierdzi.

– Aha, to się nie spieram.

– Ale to jeszcze nie wszystko. – Margarita uciszyła gestem Mariusza i podjęła przerwana historię: – Gdy przybyłam na miejsce, ojca nie zastałam, najpewniej kręcił się po okolicy i szukał guza, bo on lubi się przechwalać, że jest bardziej amerykański niż Amerykanin. Ja znam ludzi z prowincji i wiem, jakie mają zdanie o tych, którzy się uważają za lepszych. Aż dziw, że ocalił skórę i wrócił bez jednego zadrapania. Ja bym mu nie odpuściła.

– Ja też – wtrącił Mariusz zaczepnie, czym niechybnie zaimponował dziewczynie.

– Tak czy inaczej, miałam okazję porozmawiać z tymi opojami grubiańskimi, co się tutaj bezprawnie rozgościli. Bardzo byli wczoraj nie w sosie, bo podobno ktoś im nastraszył kury i psa przepłoszył i w związku z tym musieli odreagować stresy porządną porcją samogonu. A że języki im się rozwiązały, to się dowiedziałam, że mój nikczemny ojciec od dawna w tajemnicy przede mną i *mamãe* bywał tutaj i razem z nimi figurami handlował, których ojciec Macieja tak wiele wyrzeźbił. Podobno to niewiarygodnie dochodowy interes w Nowym Jorku, dokąd je wysyłają. Mieszkańcy po atakach na wieże zaczęli się bać własnego cienia i ku religiom zwracać, szukając otuchy. Religia to bardzo ważna rzecz w życiu, tak uważam, szkoda tylko, że ludzie raczej cudów oczekują, a takie obietnice dają im tylko szarlatani. Budzą fałszywe nadzieje magicznymi figurkami, totemami, które nie mają nic wspólnego z najwyższym Panem. Ale moda się rozszerzyła i ten niegodziwiec wyczuł interes. Sprzedaje ponoć te figurki za astronomiczne kwoty na Manhattanie, schodzą jak ciepłe bułeczki, a ojciec się bogaci cudzym kosztem.

– Ale to nie będzie trwać w nieskończoność – stwierdziłem, pocierając podbródek. – Figury się same nie dorzeźbią. Zapas wyschnie, a mojego ojca nie ma, żeby uzupełnić magazyn. I tak jestem zdziwiony, że tyle zdążył wyprodukować tego chłamu.

– Więcej szacunku dla rodzinnej spuścizny, kuzynie – upomniała mnie Margarita, odrzucając na boki czarne pukle. – Te figury to doskonała robota. Sam przyznaj, inaczej nie sprzedawałyby się tak dobrze. A twój ojciec musiał być niezwykle pracowitym człowiekiem, skoro tyle ich wyrzeźbił, żeby, jak miemam, zabezpieczyć twój byt.

– Chyba mówimy o innej osobie. Mój ojciec to wałkoń, który rzucił pracę, przestał się mną interesować, a w końcu uciekł gdzieś z matką i śladu po sobie nie zostawił.

– A mnie się wydaje, że mówimy o tym samym człowieku, tylko nie zadałeś sobie trudu, żeby dociec prawdy.

– Jakiej prawdy? – wychrypiałem, bo nagle jakaś niewidzialna kluska utkwiała mi w przełyku.

Wszyscy w salonie znieruchomieli, a ja zacisnąłem ręce na blacie stołu tak mocno, jakbym chciał go odepchnąć.

– Wiem tylko tyle, ile usłyszałam od pijaków. Sam powinieneś ich przepytać.

– Z pewnością to zrobię, ale teraz mów, co wiesz.

– Nie za dużo wyjaśnili. Więcej się naśmiewali i kiwali na stołkach, ale ten z bokobrodami palnął, że twoi rodzice z moim ojcem przebywali w Afryce jeszcze przed naszymi narodzinami. Tam nakłonił ich, żeby od twojego dziadka wielkie sumy wyprosili. Wmówił im, że będą realizować wiekopomne dzieło odrodzenia Afryki, dzieci przed nędzą będą chronić, świat zbawiać i przytułki budować. Tylko te przytułki watażkowie lokalni poniszczyli. Pijak się opluwał, rechocząc i opowiadając, że za wszystkim stał mój ojciec, który się z watażkami w tajemnicy zmówił, a potem jeszcze długiem twoich rodziców obarczył, którzy po powrocie do Polski wyłącznie pracą się zajmowali, żeby załagodzić gniew zbirów. A ojczulek siedział w Ameryce, śmiał się i bogacił. Twoi rodzice, żeby nie irytować dziadka, przekonali go, że to afrykańska czarownica rzuciła na nich klątwę i muszą się teraz oddać wytwórczości chałupniczej, produkując figury według wzoru, dla niej na sprzedaż. Potem twoja matka zaczęła tkać kilimy, żeby wiedźmę pięknym rękodziełem udobruchać. Żebym ja tylko o tym wiedziała, żeby *mamãe* miała świadomość, z jakim niegodziwcem małżeństwo zawiera! Jak jej powiem prawdę, to dopiero ziemia się zatrzęsie.

Margarita zanosła się szlochom i przyłgnęła do Mariusza, który otoczył ją szczerze ramionami, dając mi znak, żebym na jakiś czas się oddalił. Zrozumiałem go bez słów. Pozwoliłem im się pocieszać; przypatrywałem się chwilę temu wzruszającemu obrazkowi, ale że na filmach, w których brakuje strzelaniny i pościgów, odczuwam nudę, podniosłem paralizator i podszedłem do Kingi. Niech nakreślają plany na przyszłość, niech uzgadniają wersje, ja wykorzystam moment, żeby ustalić własną.

– Mam pytanie. – Sztachnąłem się zapachem perfum Kingi. Zesztywniałem. Atmosfera podniecenia udzieliła się również mnie. – Człeni? Czy to powinno mi coś mówić?

Od początku przeczuwałem, że z komisarzem Sypniewskim jest coś nie w porządku. Brzmiał zbyt znajomo, bym uwierzył, że to policjant przy słuchawce. Poza tym u nas stróże prawa raczej w ten sposób nie pracują. Na szczęście Stan był tak na wskroś amerykański, że się niczego nie domyślił. Pewnie uznał, że w kraju z centralnie planowaną gospodarką wszystko jest możliwe. Nawet komisarz, który w co drugim zdaniu mówi „człenu”.

– Powinno. – Kinga uśmiechnęła się. Wyjęła mi z ręki broń i włożyła do swojej torebki. – To był Bastek. Dla mnie liczą się tylko efekty.

– Co masz na myśli? – zapytałem, kątem oka obserwując, jak Mariusz ociera łzy Margarity brzegiem rękawa, po czym ona zachwyca się nagietkami.

– Mam na myśli pieniądze, które mi obiecałeś – rzekła Kinga, poklepując torebkę.

– Pieniądze – podrapałem się po głowie. – Z tym mogę mieć kłopot.

I nie tylko z tym, z tobą mogę mieć jeszcze większy – pomyślałem, wpatrując się w pieprzyk na karku, który odsłoniła wyzywająco. Nagle przestał mnie podniecać. Czar prysł, Kinga zstąpiła z Olimpu w samo serce Mordoru. Oklapłem, oklapł mój fiut. Sukienka błyszczała kolorem kwaśnej cytryny.

Skryba

– Łap – usłyszałem kobiecy głos, ale za późno, żeby uchylić brodę przed metalowym przedmiotem. Zabolało, rozmasowałem, nie jest źle. Zawsze mogła trafić w oko. Podniosłem z podłogi klucz. – Nadal mi nie wierzysz? – spytała Margarita.

Gdybyśmy grali w czarnej, gangsterskiej komedii, w naszych oczach wyświetliłyby się symbole dolara. Gniewny hip-hopowy soundtrack przerwałby dźwięk otwieranej kasy. Spojrzałem na klucz do sejfu, na kobierzec, pod którym był ukryty. Wyteżyłem umysł. Do głowy nie przyszła mi żadna wymówka, żeby wyprosić z salonu trójkę niepożądanych świadków. Przepraszam, czwórka, Sylwek gramolił się właśnie po przewróconych drzwiach techniką psa na zamarzniętym jeziorze.

Czy nadal nie wierzyłem Margaricie? Ależ oczywiście. Więcej, byłem przekonany, że zdążyła otworzyć sejf, podzielić się zyskiem z ojcem, założyć rachunek na Kajmanach, obejrzeć ostatni odcinek *Isaury*. Potem zapadła w drzemkę na kanapie w babcinym pokoju. W finale przedstawienia łaskawie rzuciła mi klucz. Prawie się nabrałem, świetna gra aktorska. Szanownej pani należy się Oscar.

– Otworzysz wreszcie skrytkę? – spytała. Nonszalancja wprost wypływała jej uszami. – Sama jestem ciekawa. Przyszłam przed godziną, *padre* nie wiedział, że mam klucz. Nie mogłam przy nim otworzyć. I wiesz co? Nikt nie wie, co jest w środku. Mój ojciec nie potrafił wezwać ślusarza, żeby samemu sprawdzić.

– Urzekła mnie twoja historia – powiedziałem.

Machnąłem ręką i ruszyłem w kierunku gobelinu. Raczej się nie nabiorą, jeśli powiem, że na rynku ogłosili promocję durszlaków. Nie pobiegną kupić dwóch ostatnich sztuk, więc równie dobrze mogłem załatwić sprawę od ręki. Falanga w zwartym szyku maszerowała trzy kroki za mną. Stałem, falanga też. Prezentuj włócznie.

– Może mi ktoś łaskawie pomóc? – spytałem.

Mariusz opuścił szereg i uniósł róg dywanu. Ciężkie płótno i kilometry nici stawiły opór, więc musiał wejść pod gobelin i zrobić dla mnie wąskie przejście. Dołączyłem do niego po chwili. Dziewczyny zostały z Sylwkiem z tyłu. Powietrze pod kobiercem było gęste, zbutwiałe, drażniące od kurzu. Kichnąłem. Mariusz wypiętym tyłkiem podtrzymywał dywan. Wygiął się w pałąk, lewą ręką oparł o ścianę, prawą złapał mnie za ramię i okręcił jak baletnicę w pozytywce. Zatrzymałem się tyłem do niego. Poczulem, jak grzebie mi w plecaku. Następnie odwrócił mnie z powrotem. W rękę trzymał kiełbasę i latarkę. Wskazałem latarkę i uniosłem do góry kciuk. Świetny pomysł! Między ścianą a dywanem panował półmrok. Bez oświetlenia nie trafiłbym kluczem do otworu.

Mariusz zapytał wzrokiem, o co chodzi z kiełbasą, więc mu powiedziałem bez słów, że to dla niego. Tym razem on mnie pochwalił uniesionym kciukiem. Pochłonął kiełbasę na dwa gryzy i oświetlił latarką sejf. Zanim pozwolił mi go otworzyć, skierował światło na

mój plecak. Natychmiast zrozumiałem, co mu siedzi w głowie.

Włożyłem klucz do metalowego, wmurowanego w ścianę pudełka i przekręciłem dwa razy w prawo. Mariusz odkaszlnął głośno.

– Jak wam idzie? – usłyszałem głos Kingi.

Mariusz dał znak, żebym coś powiedział.

– Powoli, ciemno tu. Ciężko trafić do dziurki – odparłem.

– Dobra, zamknij się. To obłeśne.

Przybrałem minę niewiniątka – takiego jak ona i pewnie każdy inny w tym salonie – szkoda, że nie mogła jej zobaczyć.

Wsunąłem rękę do sejfu, ale na nic nie natrafiłem. Mariusz poświecił latarką, więc zajrzałem głębiej. Pod tylną ścianką leżały dwie koperty. Nic więcej. Odwróciłem głowę. Patrzyliśmy na siebie pytająco, ale zabrakło nam gestów, żeby kontynuować dyskusję. Wyciągnąłem koperty i zamknąłem pudełko. Czułem się rozczarowany tak samo, jak wtedy, gdy dostałem na gwiazdkę koszulkę ze Spider-Manem, kiedy wolałem Batmana.

Mówiłem wszystkim, że Człowiek-Pająk to baba. Lata po mieście i strzela nitkami. Nigdy nie założyłbym takiego stroju. Miałem stanąć przed kolegami uzbrojonymi w karabiny na wodę dalekiego zasięgu i co zrobić? Utknąć im coś w odpowiedzi? Prawdziwy facet nie zajmuje się tkactwem na wojnie. Dziadek odpowiedział, że facet z rodziny Obierec by się tego nie wstydził.

Mariusz odebrał mi jedną kopertę i dał znak, żebym drugą schował do plecaka. Wymyślił, że ujawnimy tylko połowę znaleziska. Spytałem machaniem rąk, dlaczego akurat taki układ? A może koperta, którą pokażemy świadkom, zawiera ważniejsze informacje i już się nie da ich podmienić. Wyciągnąłem rękę ostentacyjnie, żebym w takim razie sam zdecydował.

– Żyjecie?

– Już wychodzimy – odparłem, odbierając sobie szansę do namysłu.

Mariusz wycofał rękę z kopertą. Ściągnąłem plecak, żeby ukryć drugą, lecz kumpel nagle mnie powstrzymał. Potarł podbródek dłonią, zawahał się, po czym wskazał na moje jaja. Tam włóż – miał na myśli. Nie było czasu się spierać. Wzbogaciłem klejnoty o papierowy ochraniacz, założyłem na ramię worek, do którego Mariusz w ostatniej chwili wsunął latarkę. Wyszliśmy.

Dziewczyny powitały nas jak weteranów wojennych. Nie zorganizowały wprawdzie fajerwerków ani hymnu, nie zagrały na trąbce, ale stały się przymilne i błyszczwały głodnymi kasy oczami.

– Zła wiadomość – zaczął Mariusz. – Znaleźliśmy tylko to.

Pomachał im kopertą przed oczami, które natychmiast zgasty, jakby weterani wrócili, ale w trumnach.

– Koperta? – spytała Margarita. Stanęła między nami, złapała nas pod ramiona i pociągnęła do stołu.

Na zewnątrz zmierzchało. Z zakamarków zaczynały wychodzić posępne cienie. Jedynym

źródłem światła była peerelowska lampka. Kinga nacisnęła włącznik, lampka zadziałała. Stłoczyliśmy się wokół świecącej na żółto żarówki. Oprócz mnie nie było chętnych do skorzystania z jedyne go biurowego krzesła, które pasowało do wielopokoleniowego stołu jak skarpety do sandałów, choć niektórzy faceci tak się noszą. Usiadłem i przytrzymałem się krawędzi blatu, bowiem straciłem równowagę.

– Czyń honory, to twoja własność. – Mario wręczył mi znalezione, które otworzyłem, jakby to była paczka z węglikami.

– Pokaż. – Kinga wyrwała mi z ręki stare kartki z charakterystycznymi dla starych dokumentów z pozółkłymi smugami i przetarciami w miejscach złożenia.

Pani prawniczka, specjalistka od prawa patentowego rozłożyła ostrożnie papier i zaczęła czytać:

– *Wypis z księgi aktów Notarialnego Archiwum w Zgierzu z roku 1946. 30 maja 1946 roku do kancelarii zgierskiego notariusza Wacława Starowęsa stawili się osobiście mu nieznani chłopi: Tadeusz Borowski-Obierec i Stanisław Borowski-Obierec, synowie Eustachego. Bla, bla, bla. Poczekajcie moment. Oświadczyli, że przybyli tu dokonać aktu zrzeczenia się przez Stanisława Borowskiego-Obierca na rzecz jego brata Tadeusza własności dworu w Obiercu wraz z przyległościami i dziesięciu hektarów gruntu. Grunty te składają się z ziemi ornej obok wioski Obierec. Tra ta ta. Wszystko jasne. Jakies pytania?*

– Nie.

Podrapałem się po głowie, a nuż wyskrobię jakąś wątpliwość. Nic, pustka. Znalazł się akt własności, byłem jedynym spadkobiercą. Nie miałem więcej pytań.

Kinga wręczyła mi dokument. Dwór, przyległości, dziesięć hektarów. To dużo czy mało? Poproszę Sylwka, żeby sprawdził w internecie, ale później. Akurat wiązał sznurówki, więc nie chciałem mu przeszkadzać. Jeszcze się pomyli, uzmysłowi sobie, że nawet pięciolatki to potrafią. Zdołuje się, on taki skłonny do depresji.

Wstałem z krzesła obrotowego z należytą ostrożnością. Zacząłem od efektownej pauzy. Wzięłem wdech długi na morgę i nie wiedziałem, co powiedzieć. Chciałem zachęcić gapiów, żeby się w końcu rozeszli. Wróćmy do domów, do rodzin. Ja prześpię się z tematem. Pogłównuję, mądrzejszych od siebie popytam. Wymyślę rozwiązanie, na którym nikt nie straci.

– I to wszystko? – przerwała ciszę Margarita.

– Chyba widzisz – odparł Mariusz.

– Jakoś trudno mi uwierzyć – zauważyła tonem, który sugerował, że nie rozstaniemy się tak szybko, jak bym chciał.

– Mnie też – odparłem i oddałem dokument Mariuszowi. – Jakkolwiek się staram, nie mogę uwierzyć, że jesteś taka uczciwa i nie zajrzałaś do sejfu przed nami.

– Co sugerujesz?

– Sugeruję, żebyś przestała odstawiać szopkę. Gdzie masz kosztowności? W pokoju ukryłaś czy już dawno wyniosłaś z domu?

Popchnąłem ją lekko w kierunku korytarza. Chciałem, żeby zaprowadziła mnie do sypialni i udowodniła, że się mylę. W jednej chwili Mariusz zastąpił mi drogę.

– Odpuść jej, mówi prawdę.

– Co?

Mario, mój ostatni bastion? On też przeciwko mnie? Sylwester siedział oparty o nogę stołu, wielce zajęty układaniem fali z grzywki.

– Na sto procent tego nie zrobiła. – Ukazał swój wytrzeszcz i zaczął mnie przekonywać głosem doradcy kredytowego. – Pomyśl tylko, gdyby kombinowała, czy wysłałaby do ciebie list?

– No właśnie – wtrąciła się.

– Gosik, daj mi mówić. Miałaś swoje pięć minut. Teraz czas na maestro.

– *Te quiero* – wyszeptała wargami z soczystej wołowiny.

– Maciek, pamiętasz tę notatkę, żebyś pilnował rzeźby? – kontynuował Mariusz, wymieniwszy spojrzenie z Dulcyneą. – Twoim zdaniem dołączyłaby ją, gdyby chciała przed tobą obrobić sejf?

– Może i nie. – Zaczynałem się łamać albo pod wpływem przekonującego głosu, albo coraz większego wstydu z powodu mojej nieufności.

– Poza tym...

– Poza tym co?

Aha! Czerwona lampka!

– Małgosiu, mogę zabluznić?

Latynoska pokiwała twierdząco.

– A mogę zdradzić nasz sekret?

Znów milcząca zgoda.

Mariusz wciągnął do płuc siedem ziemskich atmosfer i na jednym wydechu powiedział:

– Poza tym ona jest tak świętojebliwa, że ma na tyłku wytatuowanego Jezusa z Rio de Janeiro! Czy ktoś taki mógłby sobie pozwolić na nieuczciwość?! Dupa by się pod nią spaliła. Przepraszam Gosik, musiałem.

– Nie szkodzi – odparła.

Poddałem się. Mariusz miał rację, a ja byłem chodzącą podejrzliwością. Gdyby ktoś mnie zapytał, czy słyszałem, że Ziemia krąży wokół Słońca, odpowiedziałbym: niemożliwe, jeszcze wczoraj krążyła wokół mnie. Rozluźniłem się, zażenowany poziomem własnego skretynienia. Nie na długo, niestety. Kinga postawiła na stole torebkę. Natychmiast przypomniałem sobie, co do niej wcześniej włożyła.

– A ty, Maciek? Niczego przed nami nie ukrywasz? – Rozsunęła czerwone rzemyki, dzięki którym torebka wyglądała jak sakwa. Ręce oparła o drewniany blat. – Sporo czasu spędziliście za dywanem. Nie wnikiem, co się działo między wami, wasza sprawa. Ale może zechciałbyś pokazać, co masz w plecaku?

Czy można w jednej sekundzie poczuć naraz niepokój i ulgę? Można. Przestraszyłem się, że na moment opuściłem gardę. Uwierzyłem ludziom w ich dobre intencje. Jak zwykły

hippis zacząłem wielbić miłość i pokój. Mało brakowało, bym jeszcze adidasy zmienił na sandały. Ale uspokoiła mnie myśl o drugiej kopercie: istniała, jednak Kinga na pewno jej nie znajdzie. Żałuj, księżniczko, że nie miałaś chęci zaznajomić się ze mną naprawdę blisko. Wiedziałybyś, że to miejsce między nogami, gdzie spoczywają moje klejnoty rodowe, nie jest aż tak wypchane; choć oczywiście one same potrafią wykonać kawał dobrej roboty.

– Proszę. – Przesunąłem plecak na jej stronę stołu. – Nie mam przed tobą żadnych tajemnic, moja droga. Tylko nie patrz na zdjęcie w paszporcie.

Rzuciła mi podejrzliwe spojrzenie.

– Zrozum, młody byłem, Nirvany słuchałem.

Nie zrozumiała, otworzyła paszport i wywaliła język, jakby ugryzła wczorajszego hamburgera.

– Na twoim miejscu okazywałabym dowód – rzekła, wyciągając słuch w oczekiwaniu na oklaski.

– Na swoim miejscu też bym go okazywał, ale wyobraź sobie, że go nie mam. Byłem pewnego razu na Pradze. Dwóch kolesi mnie napadło. Wyobrażasz sobie? Niedaleko twojej kamienicy takie dramaty się rozgrywają.

– Ha, ha, ha.

– I *vice versa*.

Odrzuciła mi plecak.

– Nic tu nie ma.

– Wiem – odparłem, rozkładając ręce. – Nigdy bym cię nie oszukał. A skoro już poruszyliśmy temat dokumentów, jak stoją sprawy? Odzyskam kiedyś portfel, istnieje cień szansy?

– Istnieje. Sprzedasz dom, podzielisz kasę, załatwione. Chyba nie planujesz zatrzymać tej rudery? Z całym szacunkiem dla kaczych dołów, ale ty na gospodarstwie? Obornik przerzucający? Nierealne. Aha, i dolicz gażę za porady prawne – powiedziała i zaczęła zbierać się do wyjścia. – Muszę lecieć, blask miasta wzywa. Jeszcze minuta tutaj i zacznę śmierdzieć jak nawożone pole. Jesteśmy w kontakcie. Komisarz Sypniewski nie śpi, stokrotko. Postarasz się o tym pamiętać?

– Postaram – odparłem, machnąwszy ręką na znak, że skończyłem dyskusję.

Obrzuciła wzrokiem moich towarzyszy i spytała, czy ktoś ma ochotę wrócić z nią do Warszawy. Odpowiedziało jej milczenie.

– A niech to! Macie takiego lidera, na jakiego sobie zasłużyliście.

Posłała mi buziaka na pożegnanie i odeszła. Sylwek zaparkował peugeota przy furtce, więc nie minęła chwila, jak zupełnie straciliśmy ją z oczu. Przyczepności, bajo – pożegnałem ją w stylu posiadacza CB radia. Mam cię gdzieś.

W pokoju gościnnym zostałem ja i osoby, którym mogłem ufać. Zaufanie to emocje, których miałem się nauczyć z ich pomocą. Każdego zwabiła do dworku własna motywacja. Mówi się, że jeśli nie wiadomo, o co chodzi, to chodzi o kasę. Nasz przypadek do tego

właśnie się sprowadzał. Tylko czy mam prawo żywić do tych ludzi urazę, skoro sam widziałem jedynie znaki dolara?

Odprawiłem Kingę, zgniłe jabłko. Traktowałem to jak symboliczny gest, którym zamknąłem drzwi przed każdym, kto próbowałby rozpuścić spoiwo naszej nowej wspólnoty. Miałem na myśli umowne drzwi, takie, które posiadają zawiasy i nie wahają się z nich korzystać. Zrobiło się ciemno. Autobus do Łodzi zaliczył już ostatni kurs. Nie pozostało nam nic innego, jak rozejrzeć się po domu za wolną kanapą czy chociaż skrawkiem podłogi.

Margarita zasygnalizowała, że w sypialni znajduje się wygodne łóżko w sam raz dla dwóch osób, czyli dla niej i Mariusza, więc jeśli nie mamy z Sylwkiem nic przeciwko, to skorzystają. Nie mieliśmy. Zaproponowałem latarkę, ale według mojej kuzynki w całym domu działało światło, oprócz pokoju gościnnego, z uwagi na niedziałający żyrandol. Sylwester poszedł z nimi, jednak po chwili usłyszałem, jak otwiera drzwi do sąsiadującego z sypialnią pokoju, z którego już nie wyszedł. Uznałem, że widocznie znalazł w nim coś nadającego się dla faceta o wadze piórkowej.

Zaproponowałbym mu stół, wszak mógł pomieścić dwunastu głodnych ludzi, ale miałem wobec mebla plany, więc ucieszyłem się, że Sylwek już nie wrócił. Udałem się do kuchni. Tam zazwyczaj ludzie przechowują przydatne rzeczy. Podejrzywałem, że żyrandol działa, tylko nikomu nie chciało się wymienić żarówek. Wyposażony w latarkę, przegrzebałem wszystkie kuchenne szuflady. Zaaferowany ich zawartością, zupełnie zapomniałem, że w kuchni światło działało. Cóż, widać miejsce owiane tajemnicą lepiej się ogląda w blasku latarki.

Otwierałem i zamykałem szuflady, w których przeszłość łączyła się z teraźniejszością. Żelazko z duszą prasowało rachunki za gaz. Serwetki z inicjałami TBO kotłowały się między gumowymi rękawicami. Atmosfera jak w warsztacie, tylko tutaj cały bajzel poupychali w szafkach. Tłuczki, chochle, trzepaczki przyprawione pieprzem z kryształowej pieprzniczki.

W końcu udało mi się znaleźć dwie sześćdziesiątki OSRAM-u. Nie za wiele jak na koronę o trzynastu żarówkach, ale wystarczająco, by stworzyć namiastkę dawnego splendoru. Nie wiem dlaczego, ale coś w środku kazało mi uruchomić żyrandol. Wewnętrzny głos mówił, że nie spocznę, dopóki nie przywrócę tamtej magii.

Wyszedłem z kuchni ostrożnie; nie chciałem się o nic potknąć, a zwłaszcza obudzić towarzyszy. Poświeciłem latarką po salonie, żeby znaleźć coś, co mógłbym postawić na stole. Żyrandol wisiał wprawdzie na długim łańcuchu, ale i tak nie dosięgnąłbym do niego z blatu. W promieniu latarki ukazał się fotel. Od razu go skreśliłem. Był stary i potwornie ciężki. Nie wniósłbym go w pojedynkę na stół, nie mówiąc o tym, że narobiłbym rumoru. Przemknęła mi myśl o drabinie, która została w spiżarni, ale drabina też się nie nadawała. Nie miałbym jej o co oprzeć. Tylko w bajce można wejść po szczeblach między chmury.

Przypomniałem sobie o krześle obrotowym. Tym samym, z którego dało się spaść, nawet siedząc. Naparłem na nie całym ciałem, żeby sprawdzić stabilność i czy się pode

mną nie rozpadnie. Chybotowało się, ale postanowiłem zaryzykować. Przy dobrym ustawieniu stóp i właściwym środku ciężkości miałem szansę na zakończenie misji sukcesem.

Odsunąłem zapaloną lampkę. Ustawiłem krzesło na stole, wszedłem na blat i przeżegnałem się na wszelki wypadek. Cyrkowcy nie takie sztuczki znają – pomyślałem i położyłem dłonie na oparciu krzesła, po czym ostrożnie wspiąłem się na siedzisko. Ręce odrywałem od oparcia tak powoli, jak gdyby wokół mnie rozpostarta była niewidzialna pajęczyna laserowego alarmu.

Z kieszeni z przodu bluzy wyjąłem pierwszą żarówkę i milimetr po milimetrze wysunąłem rękę, by wymienić tę przepaloną. Udało się. Starą włożyłem do kieszeni. Wymiana drugiej była łatwiejsza, miałem już doświadczenie. Jednak z drugiej strony ból prawego barku stawał się coraz bardziej dokuczliwy. Po plecach strugami spływał mi pot. Myślałem tylko o tym, żeby nie spanikować, co skutkowało dokładnie tym, że panikowałem.

Uff, druga żarówka również znalazła się na miejscu. Pozostało zejść z krzesła. Przed sobą, od strony oparcia, zablokowałem je prowizorycznie plecakiem, więc uznałem, że jeśli zeskoczę do tyłu, to krzesło się nie wysunie. W najgorszym wypadku runę na plecy, ale postaram się wykonać przewrót na lewy bok i może nie trzeba będzie wzywać pogotowia.

Zeskoczyłem. Wylądowałem na ugiętych nogach. Adam Małysz byłby ze mnie dumny. Zszedłem ze stołu, zerwałem z grzbietu bluzę, potem koszulkę. Byłem cały mokry i momentalnie zrobiło mi się zimno. Otarłem plecy koszulką i wygrzebałem z plecaka ostatniego nieużywanego T-shirta. Poszedłem zapalić światło.

– O żeż w mordę. – Gwizdnąłem cicho. – Tylko dwie, a taki efekt.

Wróciłem do stołu. Zdjąłem krzesło i wspiąłem się na blat. Wyciągnąłem z kieszeni przepalone żarówki, zrolowałem bluzę i rozciągnąłem się wygodnie na zaimprovizowanej poduszce. Zgasilem metalową lampkę. Milion sopli i łezek puszczała na ścianach kolorowe zające. Gdybym był babą, pewnie bym się wzruszył, a tak tylko gapiłem się w górę, zaczarowany płasmi kryształów. Jak chińskie dzwonki obijały się o siebie na majowym wietrze. Dlatego postanowiłem nie złączyć z blatu, żeby zastawić drzwiami pustą framugę. Nie wiem, czy to zgodne z zasadami feng shui, czy jakaś energia przypadkiem nie uciekała teraz z domu. Ja się nigdzie nie wybierałem. Podjąłem tę decyzję mniej więcej w chwili, kiedy Stanislav Borovsky Junior strącił kolumnę książek, na której szczycie leżał tom wierszy Staffa. I w tym momencie rozlega się salwa śmiechu. Maciej Borowski, pierwszy nygus wszechświata, zainspirował się poezją. Otóż nie, to nie przypadek. Ten konkretny tom wiązał się z fragmentem mojej biografii.

Jako brzdąc seplenilem. Babcia starała się mnie tego oduczyć. Wyciągała tomik Staffa i czytała. Kazała powtarzać za sobą wiersz *Pokój wsi*. Orka, zbiory, woły, konie, dużo się w utworze działo, lecz niewiele miało wspólnego z naszym życiem. Dukałem te rechoty żabie, żmudną młóćbę i kosy ostrzone u bruska, wyobrażając sobie, jak babcia Aurelia Borowska przechadza się za pługiem w chustce i pozdrawia rolników dłonią

w koronkowej rękawicze.

– Uszanowanie, pani chłopko. Dorodne pacholę wokół pani płąsa. Synuś? Jak z obrazka, czerstwy. Proszę uważać, żeby go wół kopytkiem nie ugodził.

Kiedys po pijaku zaczęliśmy recytować rymowanki. Każdy pamiętał coś z przedszkola. Nawet nie zdawaliśmy sobie sprawy, a rymy wypływały jak regularnie ćwiczone. Ośmiu chłopca przekrzykiwało się, kto zna lepsze teksty. Zaczęłam chwalić wieś, Staffa stajl. Przekręcałem chrześzczące spółgłoski niczym Angol próbujący gadać po polsku. Nawet podniosłem się z sofy. Stałem na baczność, plułem i bryzgałem piwem. No ubaw po pachy po prostu. Jedna laska, taka cicha siedziała w rogu, typ intelektualistki, roztrzepana kitka, nauczycielka polskiego, wyraziła dezaprobatę.

– Ty nic nie wiesz. – Wychyliła się zza pleców Mariusza, żeby tylko ja usłyszał. – To wiersz z przesłaniem. Zachęca do pozostawienia za sobą wszelkich ambicji wielkomiejskich, odnalezienia sensu życia w prostych codziennych czynnościach.

– O, tak – odparłem. – Ja prosty chłopak jestem i właśnie się oddaję codziennym czynnościom.

Zarechotałem wtedy, a dziewczyna wyduła usta i odwróciła głowę. Uznała mnie za idiotę. Dziś przyznałbym jej rację. Byłem miejskim utracjuszem, hedonistą rozpędzonym na diabelskim młynie, z którego nie miałem zamiaru wysiadać. Kiedy to było? Jeszcze dwa tygodnie temu? Coś się od tamtej chwili zmieniło? Sporo. Ktoś na mojej karuzeli pootwierał zabezpieczenia i mogłem albo upaść na głowę, albo się wynieść z lunaparku.

Leżałem na stole, kolorowe szkiełka cofały mnie w czasie. Znowu byłem dzieckiem, znowu wierzyłem, że jest jeszcze szansa, by ten dom oferował serdeczność i gościnę. Zamknąłem oczy i spytałem ciemności, czy powinienem zaryzykować, ale ona, jak to ciemność, nie odpowiedziała. Pogrzebałem po omacku w plecaku. Wyciągnąłem pęk warszawskich kluczy. Na kółku zawiesiłem kiedyś przedziurawioną monetę. Zdjąłem ją z zamkniętymi oczami, myśląc: orzełek – wyjeżdżam, reszka – zostaję. Otworzyłem oczy, uniosłem się na łokciu i rzuciłem monetę między nogi. Przetoczyła się kawałek i upadła symbolem jednego złotego do góry. Zatem zostaję, ryzyk-fizyk – pomyślałem i odwiesiłem monetę na kółko.

Kupiłem ją kiedyś w sklepie ze śmiesznymi rzeczami. Nigdy nie potrafiłem podjąć decyzji, wahałem się całymi dniami, a potem i tak robiłem to, co umyśliłem sobie na początku. Dlatego wybrałem w sklepie monetę i, kiedy położyłem ją na ladzie, sprzedawca powiedział:

– Ale ona ma symbol złotówki po jednej i po drugiej stronie.

– Wiem, właśnie o to chodzi – oznajmiłem.

Tak oto wymyśliłem sposób, jak nie przedłużać wątpliwości i jak mieć zawsze rację. Siedząc w pustym salonie, pomyślałem, że nie mam nic do stracenia, a wiele do zyskania. Nie obejrzałem nawet połowy tego domu, który należał do mnie. Dokąd prowadzi odnoga korytarza? Może tam znajdę bogactwa i będę się mógł odwdzięczyć przyjaciołom. A jeśli niczego nie znajdę, żyrandol prehandluję. Przepraszam, dziadku, takie życie. Trzeba umieć

sobie radzić. Żartuję oczywiście, nigdy bym tego nie zrobił.

Jeszcze długo toczyłbym ze sobą wewnętrzny dialog w kolorowym mroku pośrodku pokoju gościnnego. Niemowlę Maciuś z Warszawy wyciągał piąstki do kryształów, by za chwilę skupić uwagę na czymś innym. Wciąż boksował, ale obrał sobie za cel Macieja z Obierca. Usiłował mu wybić z głowy kretyńskie pomysły. Chciał uciekać, narzekał. To dziadek ci w głowie namieszał. Stary pryk to największy bajarz na świecie.

Zaiste, Tadeusz Borowski-Obierec minął się z powołaniem. Powinien zostać skrybą. Jego listy i opowieści miały moc, dzięki której trudno było odróżnić prawdę od fikcji. Przypomniałem sobie o kopercie. Uśmiechnąłem się na myśl, że oto symbolicznie ochraniała organ mający zapewnić kontynuację dynastii Obierec. Może kiedyś; czułem, że jeszcze wiele przede mną i że rozpoczynam nowy rozdział. Rozluźniłem portki i wyciągnąłem ostrożnie starą kopertkę. Otworzyłem ją i wyjąłem zawartość. Na jednej z kartek, wyrwanej z zeszytu w linie, bez trudu rozpoznałem jego pismo. Tadek, Tadek, wielbiciel zagadek. Ile jeszcze wiadomości przewidziałeś w tym łańcuszku szczęścia?

Macieju, czytasz mój ostatni list. Dwie sprawy wymagają wyjaśnienia. Tylko dwie, optymisto? Nie byłem pewien, czy przyjedziesz do Obierca, czy będziesz chciał zaopiekować się naszym dworem. A teraz, kiedy okazało się, że w skrytce nie ma żadnych kosztowności, chcesz pewnie wracać do Warszawy. Nie zwieszaj nosa na kwintę, tylko spójrz na drugą, sklejoną kartkę. Spojrzałem i uśmiechnąłem się pod nosem, bo była to słynna mapa do dziadkowego skarbu, którego rzekomo nie udało mu się odnaleźć. Wyglądała na autentyczną. Dzięki, dziadek, ale z kopaniem poczekam do jutra.

– I tak niczego nie znajdę, prawda? – spytałem sam siebie głosem pełnym wątpliwości. Przy tym człowieku niczego nie można być pewnym.

Bałem się, czy majątek nie wpadnie w niepowołane ręce, dlatego wiemy o tym tylko ja, Stanisław i teraz Ty. Pamiętaj tę wyjątkową jabłoń, o której kiedyś wspominałem? Zaczynij liczyć kroki od niej, bez trudu znajdziesz to, czego szukasz. Nie śmieję się, to nie żart. Nie pakuj jeszcze walizek. Chciałbym powiedzieć Ci coś o rodzicach.

– Nie śmieję się? – szepnąłem. – Ledwo się powstrzymuję.

Miałem ochotę podrzeć kartki, ale nieznana siła zmusiła mnie do dalszego czytania. Nim jednak odnalazłem właściwe miejsce, na komórkę Juniora przyszedł esemes. Odłożyłem kartki, wziąłem do ręki zdobyczny telefon i z ciekawości odczytałem wiadomość.

– Skrzynie są gotowe do wysyłki. Ustawiliśmy je tam, gdzie zwykle. Spłaciliśmy dług. Żegnaj. W niczym nam już nie przeszkodzisz. Jedziemy szukać syna. Lidia i Krzysztof Borowscy – przeczytałem na głos.

W jednej chwili zaschło mi w gardle. Czy to znaczy, że moi starzy przez cały czas tu byli? Tuż pod nosem? Chodzili tym samym korytarzem co ja? Ten cień w tunelu... I oni spłacali jakiś dług? A teraz wyjechali? Szukać mnie? Kiedy, przed chwilą? Przecież ja jestem tutaj. I, cholera, nie wiem, czy mam ochotę na spotkanie. Odłożyłem komórkę, która nagle zaczęła mnie parzyć. Przełknąłem ślinę, bo wiedziałem, że czeka mnie bezsenna noc.

Muszę nakreślić nowy plan działania, zacząć od czystej kartki. Tyle tropów, nowych wątków, tyle osób, które okazały się kimś innym, niż myślałem.

Stwierdziłem, że muszę się napić piwa. Zwlokłem się ze stołu i poczłapałem do lodówki. Na wyczucie, jakbym był u siebie. Cóż, na dobrą sprawę byłem. Szarpnąłem drzwiczki. Niestety na półce znalazłem tylko kiełbasę.

A niech to! Przecież mi smakowała.

Oficyna [RW2010](#) proponuje:

Piotr Mrok: Olimpiada szaleńców

Rozejrzyj się. Olimpiada trwa. Musisz zdecydować czy weźmiesz udział, czy tylko kibicujesz? Może pognasz ulicami miasta w szaleńczym maratonie, ścigany przez futrzaka o mentalności Świętej Inkwizycji? Lubisz strzelać do faszystów? Świetnie, mamy dla Ciebie odpowiednią dyscyplinę. A może wypad na Kapitol z wizytą w baraku, *pardon*, u Baracka? Jeśli masz dzieci, nie czytaj tekstu „Junior i ośmiu gniewnych”. Lepiej żyć w nieświadomości. A jak nie masz, to od niego zacznij, koniecznie.

UWAGA! Osobom pozbawionym dystansu do świata i do siebie po lekturze „Olimpiady szaleńców” może się pogorszyć. Pisząc te opowiadania, autor znajdował się w amoku bezkarnej szczerości, a to znaczy, że nie zawracał sobie głowy tabu i podobnymi bzdurami.

Pamiętajcie, ostrzegaliśmy. A wszystkim radosnym wariatom życzymy dobrej zabawy.

Piotr Mrok: Lubelska masakra kotem podwórkowym

Dariusz jest nastoletnim pisarzem. Ma głowę pełną marzeń, ale też kompleksów. Spotkanie z bratem w jednej z lubelskich kawiarni staje się dla niego początkiem obłądnej przygody. Oczywiście gra idzie o miłość, bo o cóż innego warto walczyć? Na drodze chłopaka staje zakonnica i wielki gość w białym kapeluszu, przy którym Kuba Rozpruwacz to niewinna pensjonarka. Darek otrzymuje od tajemniczej pary propozycję nie do odrzucenia. Rozróżba ma szeroki zasięg. W sprawę zamieszani są faszyci, elfy, agenci służb, zombie, centaury, młodociani czarodzieje, fanatycy religijni i wielu innych. A że na wojnie i w miłości wszystkie chwytły dozwolone, wolno używać nawet kotów. Acz potem można żałować.

Darek w swoich literackich fantazjach, zawsze zdobywa ukochaną Basię i triumfuje nad zniechęconym nauczycielem. Czy będzie jednak umiał stawić czoła swoim lękom, przemierzając wraz z bandą odmieńców iście kafkowski świat, gdzie trzeba zabijać, by przetrwać, i wciąż od nowa unikać śmierci?

Czytelniku, jeżeli wierzysz w swoje poczucie humoru, czytaj i daj postaciom tej niezwyklej, szalonej powieści szansę na lepsze życie.

Marcin Orlik: Księga studencka

Nie bez przyczyny mówi się o tym, że studia to magiczny okres w życiu człowieka. Przekonują się o tym na własnej skórze dwaj studenci, kiedy to z głębin nieznanego człowiekowi na padole ziemskim pojawia się Pan Bajzelhaus, obecnością swą czyniąc porządek w mieszkaniu studenckim, co jest absolutnie nie do przyjęcia. A to dopiero początek studiów! Jak więc sobie na nich poradzić?

Z pomocą przychodzi Vademecum Studenta, obowiązkowa lektura każdego pierwszorzocznika, pomagająca odnaleźć się w wysokoprocentowej atmosferze studiów. Dzięki tej książce studenci dowiedzą się, jak poradzić sobie z sąsiadką z dołu, jak przeżyć w noc żywych kserokopiarek i dlaczego warto iść na najnudniejszy wykład świata. Odkryją też prawdziwą wartość uczelnianego papieru toaletowego i mroczne skutki podkradania szarego złota z uniwersyteckich toalet. Vademecum, niestety, nie zawsze może przyjść z pomocą i nieraz studenci będą musieli polegać na własnym... spirycie. Czy sobie poradzą? Odpowiedź znajdziecie w pierwszym tomie „Księgi Studenckiej”.

Tomasz Mróz: Fabryka wtórów

Wielki ponury budynek w centrum miasta, ginący w szarej kotłownianinie chmur. Nikt w okolicy nie wie, co się tam mieści, i nikt tego wiedzieć nie chce. Ci, którzy dostali się do wnętrza dziwnej budowli, znikają, by po jakimś czasie powrócić – ale zupełnie odmienieni. Strażnik Instytutu przegania wścibskich natrętów, lecz jeśli już ktoś pozna tajemnicę, nie ma drogi odwrotu. Co się wydarzyło setki lat temu na dalekiej Syberii? Kim jest człowiek w czarnej pelerynie biegnący do tramwaju? Czy można przekazać swe życie komuś innemu?

Wedrzyj się do „Fabryki wtórów”, poznaj jej sekrety. Lecz pamiętaj, kto przekroczy progi Fabryki, już nigdy nie będzie taki jak wcześniej.

„Fabryka wtórów” to powieść kryminalna z elementami thrillera i science-fiction, tradycyjnie dla serii z Komisarzem Wątrobą, okraszona dużą dawką humoru i kpiny. Komisarz swoim zwyczajem nie daje za wygraną, dopóki nie dotrze do istoty problemu.

Tomasz Mróz: Przejście A8

Kryminał nie z tego świata. Mamy tu: tajemnicze zabójstwa, kuszenie, cyrografy, złote sztabki, walkę dobra ze złem, satyrę i pełne ironii obserwacje rzeczywistości.

„Przejście A8” to kryminał paranormalny, w którym miesza Nowak. Znowu spotykamy komisarza Wątrobę (w roli kuszonego), posterunkowego Chwiejczaka (niezlomnego) i nieśmiertelną ławeczkową trójcę (Pająk, Marian i Stalowy), która postanawia iść... do pracy. Cud boży? Raczej szatańskie sztuczki.

Co zrobić, kiedy w twoim życiu pojawi się Nowak? Jak uchronić się przed jego knowaniami, bandą arabskich górników oraz fanatyzmem Bolka z działu marketingu? Jakie zalety ma mały mózg w dużej głowie? W „Przejściu A8” zostały połączone rzeczy straszne i śmieszne, płytkie i głębokie oraz wysokie i niskie. Wynik jest zaskakująco pozytywny oraz pozytywnie zaskakujący.

Tomasz Mróz: Szary cień

„Szary cień” to dyptyk, zawierający dwa literackie obrazy. W tytułowym „Szarym cieniu” policjanci zmagają się z zagadką tajemniczej śmierci. Mylne tropy, zjawiska paranormalne, półświatek, którego życie koncentruje się w miejscowym parku – to sceneria powieści. Historia dziwnego zgonu i jeszcze dziwniejszego podejrzanego kładzie się cieniem na życiu bohaterów, komisarza Wątroby i posterunkowego Chwiejczaka, nie dając im spokoju przez lata.

A na deser drugi obraz, opowiadanie „Kosmiczny Edek”, które jest zapisem przeżyć rencisty-pijaczyny, spędzającego czas na osiedlowej ławeczce w ekipie Stalowego Kazka. Zostaje on zauroczony potężną osobowością Kosmicznego Edka, który niespodziewanie urasta do rangi osiedlowego guru i organizuje coś w rodzaju sekty. Edek pomaga, kieruje, uczy, ale też wymaga od swoich podwładnych: posłuszeństwa niemal wojskowego i oddania duszy...

Jan Siwmir: Żabeł trojański

Powieść kryminalna z mocnym tłem obyczajowym. Historia dwóch inteligentów na samym dnie drabiny społecznej. Wygadany Żabeł i ambitny Maryśka zostają wyrobnikami na obczyźnie. Muszą się przystosować nie tylko do walijskich realiów i ciężkiej pracy fizycznej, ale i do stylu życia oraz poczucia humoru obowiązującego w rejonach z pogranicza klasy robotniczej, marginesu i jaskiniowców. A przy tym mają niełatwe zadanie: rozwiązać sprawę tajemniczych zaginięć Polaków na Wyspach...

Prolog dodaje powieści „poetyckich barw”, a epilog – zaskakuje.